Wł. Umiński

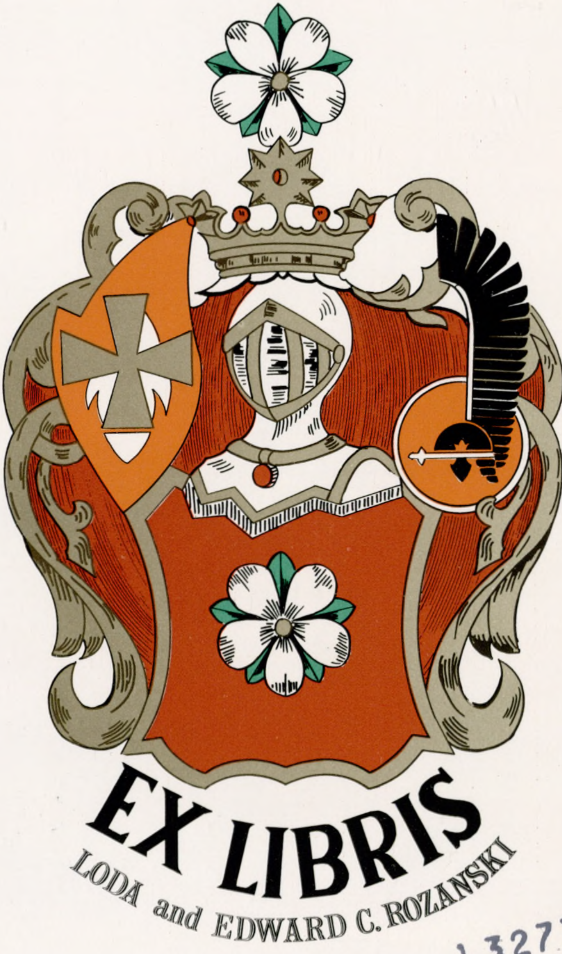
Przygody łodzi PODWODNEJ

Władysław Umiński

PRZYGODY ŁODZI PODWODNEJ

I INNE OPOWIADANIA

WARSZAWA
Nakład Księgarni Konstantego Treptego
1925



Druk Synów St. Niemiry, Warszawa, Plac Napoleona 4.

PRZYGODY ŁODZI PODWODNEJ

I.

Rozłąka.

W chwili, kiedy rozpoczyna się nasze opowiadanie, to jest jesienią r. 1916, zwykle pełen ruchu i wrzawy port holenderski Amsterdam był pogrążony jakby w głęboką drzemkę. Spały w nim zarówno wielkie parowce przeznaczone do przewożenia podróżnych przez ocean do Ameryki, jak niezliczone mnóstwo żaglowców, które pozwijawszy swe białe skrzydła, schroniły się tłumnie tutaj, niby gołębie prześladowane przez jastrzębie. Tymi jastrzębiami były niemieckie łodzie podwodne, blokujące porty angielskie i zatapiające każdy statek, dowożący kontrabandę wojenną dla koalicji.

W porcie, obok rdzewiejących już kominów od parowców, sterczał istny las masztów, ogołoconych z płótna, podobnych do jakiegoś uschniętego albo pozbawionego przez burzę liści i gałęzi boru. Góry pak z towarami, które zazwyczaj leżały na kamiennych bulwarach portowych, oddawna poznikały. Częścią spoczywały w magazynach, czekając lepszych czasów, częścią zaś leżały wraz z zatopionymi okrętami na dnie morskim, stracone na zawsze dla ludzi. Tragarze zajęci ładowaniem, snuli się w porcie.

rozpróżniaczeni, ziewając albo myszkując, czy jednak jaki śmielszy od innych statek nie zdecyduje się wypłynąć na morze.

Nuda, bezczynność, sen, czyniły powietrze jakby ciężkim, niezdatnym do oddychania dla marynarza.

Aliści pewnego dnia, a działo się to nie częściej jak raz na tydzień, port ożywiał się na chwilę, budził się jakby z głębokiej swojej drzemki wojennej. Jeden z wielkich parowców osobowych wczoraj wieczorem zbliżył się do przystani, zatrzymał się przy samym bulwarze, korzystając z głębokiej tutaj wody i widocznie był gotów do odjazdu. Z trzech bowiem jego kominów buchały kłęby gęstego dymu, który roznosił swąd węglowy po całym porcie. Na mostku rzuconym na pokład z brzegu uwijały się liczne postacie. Tragarze wnosili walizy i kufry podróżnych. Żóraw parowy ze zgrzytem chwytał paki towarów leżące na brzegu, podnosił je do góry, obracał się i wrzucał je do wnętrza ciemnego i bardzo głębokiego wnętrza statku. Właśnie zabrał ostatnią pakę, drzwi w pokładzie zatrzasnęły się z hałasem, ładowanie nielicznych towarów było skończone.

Olbrzym gotował się do podniesienia ciężkiej kotwicy, ale podróżni wciąż przybywali jeszcze.

Już marynarze zabierali się do ściągnięcia kładki, kiedy nadjechała jeszcze jedna dorożka i wysiedli z niej zapóźnieni pasażerowie.

Najpierw wyskoczył z powozu młody mężczyzna, ubrany wprawdzie po cywilnemu, ale w każdym ruchu jego znać było wojskowego.

Pochwycił na ręce czteroletniego chłopczyka, pięknego jak cherubinek, i postawił go na bruku. Potem równie szybkim ruchem zesadził dwuletnią zaledwie dziewczynkę i podał ramię młodej damie, znać mocno zmartwionej i zdenerwowanej.

Wszystko troje wbiegli pośpiesznie po kładce na pokład odchodzącego parowca.

— Chwała Bogu, zdążyliśmy jeszcze! zawołał z odcieniem ulgi mężczyzna. A lękałem się, że już nie odjedziecie.

— Co do mnie nie bardzo się z tego cieszę, odparła kobieta, patrząc w oczy mężczyźnie. Wolałabym się była spóźnić. Przynajmniej pozostałabym razem z tobą jeszcze przez parę tygodni.

— Mój Boże, dodała z westchnieniem, więc my naprawdę rozstajemy sie już obecnie? Nie mogę w żaden sposób pogodzić się z tą okropną myślą. Kto wie, czy... się jeszcze kiedykolwiek zobaczymy, dodała szeptem.

Ale on złowił te słowa wypowiedziane cicho, jakby do siebie samej, i objął żonę spojrzeniem pełnem wyrzutu.

— Skąd takie smutne myśli? Co znowu? zawołał, siląc się na wesołość. Pamiętaj najdroższa, że wszystko jest w ręku boskim.

— To prawda, ale kiedy sobie pomyślę, że ty na tej łodzi podwodnej będziesz otoczony zewsząd nieprzyjaciółmi i przeróżnymi niebezpieczeństwy, które serce moje zaledwie odgadnąć potrafi, wówczas przejmuje mnie lęk śmiertelny o ciebie. Uważam to za wielką niesprawiedliwość losu, żebym ja z dziećmi, zamiast dzielić o ile możności twój los,

twoje trudy, osładzać ci ciężkie życie marynarza, uciekała stąd do ukochanych rodziców za ocean, gdzie mnie otoczą zbytkiem, opieką, przyjemnościami; słowem ty idziesz jakby do okropnego piekła a mnie odsyłasz do raju. Tak być nie powinno. Robercie wiesz, że nie jestem egoistką, samolubną, i dlatego rozstanie nasze staje się dla mnie najsmutniejszą chwilą z tych wszystkich, jakie dotąd przeżyłam na świecie.

— Jesteś dzielną i zacną żoną, odparł mąż, całując kobietę w czoło, wiem o tem. Pamiętaj jednak, że mamy dzieci, że to dla ich dobra głównie wyprawiam cię za morze. Nie zniósłbym tego, żeby ten niewinny drobiazg pozostał tutaj i znosił niedostatek, kiedy można tego uniknąć. W domu twoich rodziców będzie im dobrze i bezpiecznie. O to mi właśnie idzie. Poświęcamy zatem nasze osobiste szczęście, narażamy się na rozłąkę jedynie dla ich dobra. — To przeświadczenie powinno ci dodać sił, Ludwiko.

— Boże, Boże! ja to rozumiem, ale nie mogę odpędzić złych przeczuć, Robercie, zawołała młoda kobieta z płaczem.

— Nic mi się złego nie stanie! — Służba na łodzi podwodnej jest bardziej niebezpieczną dla naszych nieprzyjaciół, niż dla nas samych, odparł młody oficer. Zobaczysz, że niebawem ujrzymy się znów tutaj cało i zdrowo.

Rozmowę tę przerwał przenikliwy gwizd potężnej syreny parowej. Olbrzymi statek wzywał tym donośnym głosem opóźnionych podróżnych, ażeby przybywali. Nadchodziła już godzina odjazdu,

Oficer całował rumiane buzie dzieciaków, nie zdających sobie sprawy z tego, co się w tej chwili działo w sercach ich rodziców, rozbawionych ruchem i wrzawą na pokładzie statku.

— Bywajcie zdrowe, dziecinki, a pamiętajcie o tatusiu, — mówił całując niebieskie, niewinne oczęta.

Gwizdawka zajęczała po raz ostatni. Marynarze przystąpili do żegnającej się pary.

— Proszę pana, zdejmujemy kładkę, rzekł jeden z nich do porucznika.

Nastąpiła chwila rozstania. Oficer tulił w ramionach rozżaloną małżonkę, która w żaden sposób nie chciała oderwać się od jego szyji. Płacz wstrząsał konwulsyjnie całem jej młodem ciałem.

— No, czas... szeptał. — Odpędź smutne myśli. Nie trać nadzieji, że wnet znów zobaczymy się. — Miej rozsądek...

Byłaby go jednak nie puściła, gdyby jeden z marynarzy nie był oderwał jej od męża. Siadła nawpół zemdlona na jakiejś skrzyni. On złożył raz jeszcze pocałunek na jej wilgotnych od łez policzkach i zbiegł z mostku, który już zaczęto podnosić.

Olbrzymie czarne cielsko okrętu zadrżało, głuche dudnienie dochodzące z jego wnętrza pozwalało się domyślać, że maszyny puszczono w ruch. Para zasyczała, gwizdawka odezwała się po raz ostatni, krótko rozległa się komenda kapitana stojącego już na swoim miejscu, śruby z tyłu kadłuba zaczęły się obracać, burząc spokojne, senne wody portu, i parowiec poruszył się leniwie, jakby niechętnie.

Tłumy zgromadzone na wybrzeżu żegnały odjeżdżający statek okrzykami, wiewaniem chustek. Każdy niemal z tych, co tu pozostawali, miał kogoś bliższego tam na pokładzie i zadawał sobie pytanie, czy aby ten dumny parowiec szydzący sobie z burz, zdoła szczęśliwie przepłynąć ocean. Młody porucznik łodzi podwodnej stał jeszcze wówczas, kiedy statek znajdował się daleko i znikał u wejścia do przystani. Serce ścisnęło mu się boleśnie. — Czy aby się zobaczymy? To pytanie, które odpędzał od siebie siłą woli, prześladowało go. Widział załzawione, przejętą tajemną trwogą oczy młodej żony i zadrżał mimowoli.

Szybko jednak opanował wzruszenie.

— Teraz jestem spokojny o nich, rzekł sobie twardo, trzeba spełnić obowiązek.

Z temi słowy skinął na dorożkę i kazał się wieźć na dworzec kolejowy. Niebawem pędził pociągiem pośpiesznym na powrót do portu wojennego, gdzie czekała nań łódź podwodna № 100. O północy znajdował się już na swoim posterunku, jako drugi porucznik.

II.

Łódź podwodna № 100.

Łódź podwodna to jeden z tych wielkich wynalazków, które zjawiają się raz na sto lat, ale za to stanowią jakby punkt zwrotny w dziejach ludzkości. Módz zstąpić pod powierzchnię oceanu, który dawniej był dostępny jeno dla ryb i potworów morskich, ukryć się w głębinach, gdzie panuje spokój i cisza nawet wówczas, kiedy szalejąca burza miota na powierzchni olbrzymie bałwany, żeglować cicho i szybko w łonie zdradzieckiego żywiołu, czy to nie zdumiewający tryumf ducha ludzkiego, który po kolei ujarzmił potęgi przyrody, czyniąc z nich posłuszne niewolnice?

Tak, zaiste łódź podwodna,—to wielki wynalazek, zdolny oddać ludziom nieocenione przysługi. Nieszczęśliwy los jednak, który, jak kolec róży, towarzyszy ludzkości w jej pochodzie ku szczęściu i panowaniu nad światem, sprawił, że łódź podwodna przyszła na świat w chwili wybuchu najstraszniejszej z wojen, kiedy krew zalała purpurowym morzem niwy Europy. Walczące ludy, poszukując najskuteczniejszych, najpotężniejszych środków zniszczenia, skwapliwie pochwyciły tę broń straszliwą i skiero-

wały jej ostrze przeciwko wrogom. Wskutek tego smutnego zbiegu okoliczności łódź podwodna i samolot, dwa wiekopomne wynalazki, z błogosławieństwa przedzierzgnęły się w przekleństwo. Jakąż to broń posiada łódź podwodna, która stała się postrachem najpotężniejszych, najlepiej opancerzonych i posiadających największe działa okrętów wojennych?

Bronią tą jest torpeda. Mieści się ona w rurze, podobnej do armaty. Wybuch słabego naboju prochowego wypycha ją na zewnątrz. Od tej chwili staje się ona jakby niezależnym stateczkiem podmorskim. Dzięki mechanizmowi, jaki zamknięto w jej wnętrzu, stateczek ten płynie szybko w kierunku, w jakim go wypuszczono, i nie zbaczając ani na włos, uderza ostatecznie w bok upatrzonego statku nieprzyjacielskiego.

Następuje okropny wybuch naboju znajdującego się w torpedzie. Nic mu się oprzeć nie zdoła; żelazna ściana statku, czy drewniana wszystko dlań jedno: rozbija ją w drzazgi, wyłamuje w boku okrętu olbrzymi otwór, przez który woda wdziera się do wnętrzna nieprzepartym strumieniem. Największy statek tonie od takiego uderzenia torpedy w przeciągu paru minut zaledwie.

Takich torped łódź podmorska ma w zapasie kilkanaście. Prócz tego jest uzbrojona w zwyczajne armaty, strzelające granatami. Potężny silnik pędzi łódź podwodną po powierzchni morza z olbrzymią szybkością tak, iż najbardziej chyże statki nie potrafią uniknąć jej pogoni.

Łódź podwodna № 100, na której służy porucznik Robert, jest wyposażona we wszystkie naj-

nowsze ulepszenia i należy do największych typów. Załogę jej składa kilkunastu ludzi odważnych, doskonale obznajmionych ze swoimi obowiązkami, gotowych na wszystko. Stanowią oni ze swoim statkiem jakby jedną całość. Ryba podwodna jest więc niezmiernie niebezpiecznym przeciwnikiem dla nieprzyjaciela. Kapitan dowodzący łodzią № 100, nieograniczony pan wszystkiego, co się na nich znajduje, jest starym „wilkiem morskim“, który pływał już przez dwadzieścia lat po morzach całego świata, ma doświadczenie, żelazną wolę, i jest uosobieniem obowiązku. Spełnia on bez zastanowienia się i bez szemrania każdy rozkaz swej władzy, chociażby napozór wydawało mu się to niemożliwym zgoła, lub w najwyższym stopniu niebezpiecznym. Krótko mówiąc jest karnym żołnierzem, i gdyby mu admirał *) rozkazał skoczyć do wody w pośrodku oceanu albo wysadzić łódź podwodną № 100 w powietrze, razem z całą załogą, spełniłby to bez najmniejszego wachania. Takim jest kapitan Szwarc.

Porucznikowi Robertowi, mężowi pięknej amerykanki, i ojcu dwóch ślicznych dzieciaczków, także nic nie można zarzucić, chyba to, że oddaje swoim obowiązkom oficera połowę serca i duszy, bo drugą ofiarował rodzinie, która kocha nad wszystko i ojczyźnie, która jęczy w jarzmie trzech zaborców. Nosi on nazwisko starej rodziny szlacheckiej, od wieków osiadłej w księstwie Poznańskiem, czuje się pomimo munduru oficera pruskiego, polakiem i w głębi duszy nienawidzi niemców, choć mu tego

---

*) Jenerał sił morskich.

okazać nie wolno. Walczy z musu, jak żołnierz, lecz serce jego po stronie szlachetnej Francji, najechane, przez wroga. Z trwogą i wstrętem uświadamia sobie, że wypadnie mu walczyć wespół z najzaciętszym wrogom Polski. Ale mimo wszystko, pamięta, że jest szlachcicem i że musi spełnić narzucone mu obowiązki korsarza, polującego na bezbronne okręty.

Ma trzydzieści lat zaledwie i ożenił się zaraz po otrzymaniu stopnia oficerskiego z zamożną amerykanką, pełni obowiązki oficera od torped, na rozkaz kapitana wyrzuca te wielkie lśniące metalowe wrzeciona z rury torpedowej i niszczy najpiękniejsze nieprzyjacielskie statki jednym, że się tak wyrazimy, dmuchnięciem. Dzierży w dłoni tę straszną broń, której tak lękają się Anglicy i Francuzi na morzu.

— Dobrze, żeś się pan stawił akuratnie, rzekł mu kapitan, kiedy przyszedł do jego kajuty, żeby się zameldować. Zaraz jutro o świcie wyruszamy na wyprawę i to dość trudną, dodał Szwarc, pykając z fajeczki.

Dla kapitana nic nie było trudnem, więc to powiedzenie zastanowiło nieco porucznika.

— Jakież mamy przeznaczenie? zagadnął, przeczuwając coś ciekawego.

— Mamy sforsować kanał angielski i dotrzeć do ujścia Tamizy, pod sam Londyn niemal, zaskoczyć tam strażnicze statki nieprzyjaciela i o ile się da, zrobić szkody jak największe.

— A więc musimy przedostać się po przez zagrody minowe, przez ów djabelski kocioł kapitanie, czy tak?

— Właśnie, poruczniku, i dlatego, powiedziałem, że mamy dość trudne zadanie.

Porucznik Robert mimowoli podrapał się w głowę.

— Hm, istotnie to będzie dość trudnem do uskutecznienia, odparł.

— Tak, ale pamiętaj pan, że już niejeden nasz towarzysz dokonał tego; teraz nasza kolej, rzekł kapitan.

Nie było co na to odpowiedzieć. Ale porucznikowi zrobiło się zimno, kiedy sobie pomyślał o tej przeprawie poprzez djabelski kocioł. Było to wielkie pole minowe, składające się z wielu setek min, pływających na kotwicach i ustawionych szeregami jeden za drugim tak, żeby zagrodzić zupełnie łodziom podwodnym przejście przez wąską cieśninę morską, dzielącą Anglję od Francji. Najlżejsze dotknięcie takiej miny, a w jednej chwili nieostrożny statek wylatuje w powietrze i bez ratunku ginie w zimnych nurtach oceanu. A jakże tu nie potrącić jednej z wielu setek tych piekielnych machin, kiedy są one ukryte pod wodą i można je widzieć tylko na bardzo krótko, na jeden moment, kiedy morze podczas odpływu cokolwiek opadnie? A nie było to jedyne niebezpieczeństwo, które należało pokonać w tej wyprawie okropnej. Przecież na każdym kroku można było natknąć się na statek strażniczy, na flotyllę torpedowców, na pancernik, który jak widmo wynurza się nieraz ze mgły i zada cios śmiertelny łodzi, zanim ona zdąży się zanurzyć pod wodę. A wyławiacze? a tyle innych pułapek?

— Tak, do licha, to będzie trudne zadanie, powtórzył sobie porucznik. Skoro jednak żądają od nas tego, trzeba spełnić, chociażby się miało przytem wylecieć w powietrze razem z łodzią № 100.

Porucznik, powiedziawszy sobie, że tak być musi, uspokoił się. Poszedł do swojej kajutki, gdzie na niego oczekiwał już służący.

— Jest gorąca kawa i koniak, może się pan porucznik nieco rozgrzeje z drogi, rzekł kłaniając się z uszanowaniem swojemu oficerowi.

— Tak, tak! podaj mi zaraz kawę i coś nie coś do zakąszenia, odpowiedział porucznik.

Był zdenerwowany, w oczach stała mu żona zapłakana i dzieci roześmiane, dwa aniołki, które jeszcze przebywają duszami w niebie, jak mawiał sobie porucznik, nie wiedząc nic o tych okropnościach, które dzieją się właśnie na ziemi, ani o tych niebezpieczeństwach, które czekają ich tatusia. Tem lepiej, że nie wiedzą; zapewne w tej chwili, kiedy on gotuje się na tę zdradną wyprawę, cherubinki śpią smacznie w objęciach mateczki, a fala oceanu kołysze je do snu. Tem lepiej.

Połykał jedną za drugą wonne filiżanki napoju tureckiego, zjadł parę biszkoptów, popił koniakiem, i rozmarzony, niemal rozgorączkowany, położył się spać w swem wiszącem łóżku, obok kolegów, którzy już byli pogrążeni we śnie.

Nazajutrz trzeba było wstać przed świtem!

Ale sen nie przychodził; przez całą niemal noc porucznik myślał o swojej rodzinie, o tem, że z każdą godziną odległość między nim a niemi zwiększała się, że już przepaście morskie przegradzają ich w tej chwili. Dopiero nad samem ranem zasnął na krótko.

III.

Niebezpieczna wyprawa.

Kiedy porucznik Robert otworzył znów oczy, poczuł lekkie kołysanie i dudnienie silników, które wstrząsały całym żelaznym kadłubem łodzi podwodnej, znak nieomylny, że podróż rozpoczęła się. Ubrał się więc szybko, zawstydzony tem zaspaniem, i wybiegł na pokład.

Łódź Nr. 100 pruła szmaragdowe fale oceanu z zawrotną szybkością. W sąsiedztwie ojczystych wybrzeży czuła się bezpieczną i nie zanurzała się. Potężne silniki naftowe pchały ją z chyżością pociągu osobowego w kierunku Anglji. Marynarz stojący na pokładzie przez szkła przyglądał się widnokręgowi. Należało mieć się nawet tutaj na baczności, lada chwila bowiem można było napotkać jaki śmiały torpedowiec angielski, który zapuszczał się aż do wybrzeży belgijskich w poszukiwaniu najniebezpieczniejszego przeciwnika, grożącego zniszczeniem wielkim okrętom. Ale linja zetknięcia się morza z niebem była pustą, nawet najmniejszy kłąb dymu nie zwiastował sąsiedztwa nieprzyjacielskiego statku. Ośmielony tem kapitan, kazał płynąć z całą

szybkością, do jakiej łódź podwodna była zdolną, Należało jak najprędzej dostać się do kanału angielskiego, gdzie roi się zwykle od okrętów, utrzymujących połączenie między Francją a jej sojuszniczką dumną Anglją, władczynią mórz. Tylko owe małe, niepozorne stalowe łodzie swymi zuchwałymi czynami dowodzą, że królowa mórz mogłaby zachwiać się na swoim tronie. Dlatego też uczyniła ona wszystko, co tylko leżało w jej mocy, żeby niszczyć łodzie podwodne. Kapitan i jego marynarze doskonale o tem wiedzą, znają niebezpieczeństwa, jakie im zagrażają, te niezliczone pułapki, jakie na nich pozastawiał nieprzyjaciel i gotowi są stawić im czoło. Lada moment np. mogą trafić na pływające miny, które angielskie statki porozrzucały na morzu i wylecieć w powietrze. Wróg ten jest wszędzie obecny, czycha na swoją ofiarę w dzień i w nocy.

— Oto mina! woła nagle marynarz, obdarzony doskonałym wzrokiem. Istotnie unosi się ona po lewej stronie łodzi, w odległości paruset metrów, miotana łagodnie falami, podobna do czarnego grzyba wyrosłego na zielonej niwie oceanu. Nie można takiego wroga pozostawić w spokoju, i pozwolić mu zniszczyć inną łódź, która będzie miała nieszczęście trafić nań w ciemności. Zatrzymano się; ludzie wynoszą na pokład karabin maszynowy i zaczynają prażyć do kołyszącej się na wodzie miny. Za dziesiątym czy dwudziestym strzałem kilka już kulek trafiło w zdradzieckiego potwora i przebiło blachę zbiornika z powietrzem, który utrzymywał minę na powierzchni. Woda wlewa się do wnętrza i wróg tonie wolno. Już zniknął na zawsze w otchłani morskiej. Można jechać dalej!

W biały dzień jazda po powierzchni jest niemal zupełnie bezpieczną, ale za to nocą... brrr. Nikt nie jest pewny życia od tych przeklętych, iście piekielnych maszyn! A jest ich pełno, unoszą się tysiącami wszędzie, gdzie pływają łodzie podwodne. Istnieją też statki umyślnie przeznaczone do poszukiwania ich i topienia, lecz niewiele to pomaga! Pomimo ich obecności łódź Nr. 100 mknie z całą szybkością naprzód. W miarę tego jednak, jak się zbliża do uczęszczanych przez okręty angielskie obszarów, kapitan staje się coraz ostrożniejszy, śledzi coraz uważniej widnokrąg. Zdaleka, na linji zetknięcia się morza z niebem, ukazuje się kilka dymków. Znak to, że flota nieprzyjacielska znajduje się w pobliżu.

— Zanurzyć się! komenderuje kapitan.

Ludzie stają przy kranach i wpuszczają odpowiednią do potrzeby ilość wody do zbiorników. Łódź, nabrawszy ciężaru, zaczyna się pogrążać w wodzie, ale nie tonie, bo w odpowiedniej chwili krany zamyka się; teraz z wody wystaje jeno szczyt wieżyczki i szklane oko łodzi zwane *peryskopem*. Siedzący w wieżyczce kapitan widzi, przez to oko szklane wszystko, co się dzieje dokoła, sam będąc niedostrzegalnym. Ma się rozumieć, że wszyscy z pokładu zeszli do wnętrza łodzi, gdyż teraz jest on zalewany przez fale.

— Co też to może być? pyta kapitan Szwarc porucznika Roberta, nie odrywając nosa od peryskopu.

Ale dymy nikną niebawem, nieprzyjaciel, liczny zapewne, oddala się; można znów wypłynąć na powierzchnię. Tymczasem zapada noc. Słońce zna-

czy wielką, złocistą drogę na morzu, która zda się prowadzi do samego nieba, i znika. Na łodzi nie pali się najsłabsze nawet światełko. Pod osłoną nocy mknie ona dalej. Mgła wstaje z łona oceanu i obejmuje w swoje ramiona wszystko. Trzeba zwolnić biegu. Łódź płynie teraz wolno, macając, jak człowiek niewidomy. Mgła, — to również jeden z najstraszniejszych wrogów łodzi podwodnej, najbardziej zdradliwy. Maszyny pracują ledwo, ledwo; słychać miarowe uderzenia tłoków w cylindrach i bicie skrzydeł śruby o fale. Wokół cisza ponura.

Nagle przez wszystkich przechodzi dreszcz trwogi. Z zasłony mglistej wynurza się olbrzymi cień, widmo jakiegoś statku, płynącego naprzeciw łodzi.

O nieba!, zaledwie pięćset metrów dzieli to widmo od łodzi. Wszyscy zdrętwieli. Jeżeli dostrzeże żelazną rybę, wynurzoną z fali, nic jej ocalić nie zdoła. Padnie jeden, drugi, dziesiąty pocisk, aż który trafi, zrobi otwór w pancerzu—i wszystko przepadło. Ryba stalowa, ranna, nie może się zanurzyć i szukać ocalenia w otchłani morskiej; woda bowiem wtargnie natychmiast przez dziurę i zaleje wszystko. Trzeba w takim razie wybierać między śmiercią a niewolą. Okropny wybór! Uciekać także niepodobna, bo turkot motorów zdradziłby obecność łodzi.

— Zanurzyć się, zanurzyć co prędzej, cicho, składnie, żeby nieprzyjaciel nie zauważył nic. Od tego zależy ocalenie!

Kapitan Szwarc stłumionym od wzruszenia głosem wydaje rozkazy. Robi się wewnątrz łodzi

ruch, wszyscy biegną na stanowiska. Odkręcają krany, woda wlewa się do zbiorników cicho, bez szelestu ale widmo tymczasem rośnie, rośnie. Jest to wielki statek strażniczy; jeszcze chwila, a spostrzeże łódź i pośle jej z dziesięciu paszcz stalowych naraz pociski śmiercionośne!

Już wszyscy znajdują się na dole. Łódź zanurzyła się do połowy, serce bije porucznikowi jak młotem. Nigdy jeszcze nie znajdował się w tak strasznem niebezpieczeństwie. Przeklęta mgła!

— Jeszcze parę minut! Boże, odejmij im wzrok na te kilka krótkich chwil, a dwudziestu ludzi znajdzie ocalenie. Oczekują oni z najwyższem napięciem nerwów pierwszego strzału, który nie może przecież chybić z tak małej odległości.

— Jakże ta woda wolno napełnia zbiorniki! Każda minuta wydaje się godziną. Pot śmiertelny zrasza czoła marynarzy, kapitan jednak nie traci zimnej krwi.

— Zobaczą czy nie zobaczą? pyta sam siebie porucznik.

— Nie mogą nie zobaczyć. Już tylko sto metrów, już tylko ośmdziesiąt, sześćdziesiąt!

Nagle stało się to, czego się wszyscy najbardziej obawiali. Z pokładu statku rozległo się wołanie i świstawka kapitana, tupot biegnących do armat artylerzystów. Ciemności nocne rozdarła ognista smuga i pocisk padł tuż obok łodzi, obryzgując wieżyczkę kapitańską.

— Trafił czy nie trafił? Oto pytanie. Ale już za późno szukać na nie odpowiedzi. Trzeba zanurzać się dalej. Już tylko szczyt wieżyczki wystaje

nad wodą. Tak, dość trudno trafić w taki cel po ciemku. — Aliści z masztu statku zabłysło nagle oślepiające światło reflektora *) elektrycznego. Snop jaskrawych promieni jak strzały pobiegł ku łodzi i utkwił w niej.

— Już po wszystkiem! rzekł do siebie porucznik, polecając duszę Bogu; jego ostatnia myśl powinna być o żonie i o tych cherubinkach niebieskookich, które płyną tam daleko, nie przeczuwając, że ich ojciec...

Nowy wystrzał! Wstrząśnienie wybuchającego granatu uderza o ściany stalowe łodzi, jak wielki młot. Ale krany są ciągle otwarte, woda wlewa się do zbiorników. Wieżyczka znika nareszcie pod wodą. —Czy tylko pudło łodzi całe? — czy to zanurzanie nie skończy się zapadnięciem łodzi na wieki w płynny grób? Trudno!

— Zbadać ściany! woła kapitan.

Kilkunastu ludzi rzuca się na wszystkie strony, ogląda pudło łodzi, uważnie szukając otworu.

Po chwili wracają z raportami. We wszystkich przedziałach sucho, ani jeden pocisk nie trafił. Teraz łódź jest zupełnie zanurzona pod wodą, może sobie drwić z granatów. Kapitan patrzy na manometr, który wskazuje jak głęboko łódź jest zanurzona.

Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści metrów! — No, jesteśmy bezpieczni. Chwała niech będzie Bogu na wysokościach!

---

*) Silna latarnia ze szkłem wypukłem zbierającem światło lampy elektrycznej w jedną wiązkę.

Kapitan zdejmuje czapkę i wznosi dziękczynne spojrzenie w górę. Tam ponad jego głową tłuką wściekle o wodę śruby statku angielskiego, kapitan nie posiada się z gniewu, że tak łatwa zdobycz wysunęła mu się z łap; pluje sobie w brodę, klnie na na czem świat stoi artylerzystów i oficerów.

—Całą siłą maszyn naprzód! komenderuje Szwarc. Tu pod powierzchnią, machiny naftowe nie mogą już pracować, nie mają bowiem niezbędnego powietrza. Uciekać się trzeba do silnika elektrycznego. Akumulatory dostarczają go maszynie, która zaczyna się obracać cicho, miarowo, ale silnie.

Łódź podwodna oddala się szybko, bezpieczna już od pościgu.

— Na ten raz udało się! myśli porucznik Robert. Ale czy jutro równie szczęśliwie unikniemy spotkania?

Kapitan Szwarc miał djablo zimną krew. Niebawem ochłonął zupełnie.

— Całą siłą maszyn na zachód! komenderuje.

W godzinę potem łódź znajduje się już zdala od owego miejsca, gdzie omal nie stała się zdobyczą strażniczego statku i znów wynurza się na powierzchnię.

IV.

Pierwsza zdobycz.

To wynurzenie się z głębi wód jest zawsze bardzo niebezpiecznem przedsięwzięciem, ale niema na to rady. Łódź z głębokości trzydziestu, czy nawet czterdziestu metrów, musi wypłynąć; kapitan daje więc rozkaz opróżnienia zbiorników. Pompy zaczynają pracować, ryba stalowa staje się coraz to lżejszą. Strzałki na manometrze wskazują dwadzieścia metrów, potem piętnaście. Kapitan stoi, jak przylepiony do okularów peryskopu, usiłując zmiarkować, czy daleko już powierzchnia. Nie potrzebuje patrzeć nawet na przyrząd, bo oto ciemne wody zaczynają się rozjaśniać, z szarych robią się ciemno zielone, potem jasno seledynowe. Maluczko a koniec peryskopu ukaże się na powierzchni. Ta właśnie chwila jest najniebezpieczniejsza. Łódź bowiem znajduje się na tak małej głębokości, że każdy statek może ją teraz najechać, przebić swym w stal zakutym dziobem i pogrążyć w otchłani, a ona nie jest w stanie się obronić. Licho nie śpi. Wokoło pełno statków strażniczych. Kto zgadnie, czy w pobliżu nie znajduje się jeden z tych strasznych niszczycieli, czy siedzący w bocianiem gnieździe majtek

nie krzyczy w tej chwili: „Łódź podwodna na prawo od nas“! Czy oczy wrogiego kapitana nakierują się w ten punkt, czy z ust jego nie wybiega komenda „steruj na prawo; całą siłą pary naprzód“! Każdemu wiadomo, że z pewnej wysokości łatwo dostrzedz łódź w wodzie, jeżeli się nawet znajduje na pięć czy dziesięć metrów pod powierzchnią, Z samolotu widać ją wyraźnie jeszcze głębiej.

A jednak trzeba się wynurzyć, trzeba zobaczyć, co się dzieje na oceanie, czy przeciwnik czuwa, czy też droga jest bezpieczna. Trudno! Peryskop obraca się na wszystkie strony. Kapitan śledz widnokrąg. Nic nie widać, pustka przerażająca dokoła.

Łódź tonie w powodzi srebrnego, oślepiającego światła dziennego. Narazie nic nie grozi. Można sobie pozwolić. Oficerowie ciepło odziani, ziawiają się na pomoście, albo siadają w otworze, który znajduje się w górnej części wieżyczki, zwieszają nogi w głąb i prowadzą wesołą rozmowę. Już wszyscy zapomnieli o tej strasznej chwili, jaką przebyli niedawno. Teraz kolej na łódź № 100, żeby napędzić strachu nieprzyjacielowi.

Piją kawę, którą im kucharz podaje tam z dołu, palą papierosy. Jeden z oficerów za pomocą przyrządów astronomicznych ocenia miejsce, w którem się znajduje statek. Jakże daleko już odjechano od portu. Dzielna jest ta łódź № 100: pędziła jak chart, zrobiła kilkaset mil morskich w ciągu kilkunastu godzin. Teraz znajduje się już niedaleko wybrzeży angielskich! Trzeba być podwójnie ostrożnym, w tej okolicy morze roi się od niszczycieli,

od torpedowców, od poławiaczy, przeszukujących głębie morskie żelaznemi sieciami, które wyławiają łodzie podwodne, jak wielkie ryby.

— Nie chciałbym się spotkać z trawlerami — mówi kapitan, pykając z nieodstępnej fajeczki. Walka z nimi jest dla nas beznadziejna, niestety.

Ale jak w tej chwili łodzi nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Jest zawsze czas zanurzyć się pod wodę, gdy się dostrzeże coś podejrzanego. Można odpoczywać po jeździe, która wstrząsała nerwami, można pić aromatyczną kawę, zajadać angielskie biszkopty, palić cygara na świeżem, chłodnem powietrzu, może nawet grać na gramofonie, którego dźwięki napełniają wnętrze łodzi. Jest prawie — że wesoło, naprawdę nawet wesoło, marynarze tam w środku ryby stalowej zamknięci, śpiewają, śmieją się.

— No i cóż poruczniku?—Nie wiele nam brakowało. — Co? — mówi kapitan Szwarc. Ale to dopiero początek naszych przygód. Czeka nas najtrudniejsza część zadania. Djabelski kocioł znajduje się już niedaleko stąd. Jutro będziemy mieli z nim do czynienia.

— Nic to, kapitanie! — odpowiada najmłodszy podporucznik który jeszcze nie widział wyławiaczy ani niszczycieli zbliska.

Ale Robert jest innego zdania. On zaglądał już nieraz śmierci w same oczy, już nieraz dreszcz trwogi nim wstrząsał!

— Zobaczysz kolego!—mówi poważnie do młodego oficera. Nie trzeba lekceważyć wroga, który jest potężny i przebiegły, jak sam djabeł z piekła.

Ale młodzieniec nic sobie z niego nie robi; jest zuchwały, jak dziecko, które nigdy jeszcze nie sparzyło się w ogniu, i igra z nim wesoło.

— Ja zaś obawiam się, że ostatnie spotkanie ściągnie na nas całą zgraję tych psów gończych, rzekł kapitan. Dlatego trzeba się mieć na ostrożności.

Po śniadaniu i wypoczynku łódź rusza dalej w drogę. Silniki zaczynają znów warczeć i dudnić w jej łonie, śruba wali gorączkowo w fale; jazda to wspaniała. Ryba stalowa pozostawia za sobą pienistą bruzdę. Fale oblewają jej grzbiet i nieraz pryskają aż na oficerów siedzących w otworze wieży. Nic to nie szkodzi, byle jechać prędko.

Wtem marynarz czuwający przy lunecie daje znak życia.

— Żagle na lewo! — woła.

Wszyscy zwracają się w tym kierunku. Na zielono-niebieskiem tle morza błyszczą w dali wierzchołki masztów, wynurzających się z pod widnokręgu. Cała flotylla statków rybackich! — woła kapitan. Anglicy łowią sobie spokojnie ryby, musimy im przerwać to miłe zajęcie. — Ster na lewo!

Jest coś trzy tych łodzi rybackich. Zarzuciły sieci i wyciągają je mozolnie z otchłani morskich. Nie widzą łodzi. Kiedy nareszcie ujrzą ją, będzie już zapóźno myśleć o ucieczce.

Łatwa zdobycz! kapitan nie śpieszy się. Każe objeżdżać naokoło flotylę. Wiadomo, że Anglicy nieraz poza łodziami rybackiemi chowają torpedowiec, który z nienacka rzuca się na przeciwnika,

przebija go ostrogą, albo posyła mu zabójczy pocisk; trzeba więc być ostrożnym. Ale nic takiego nie widać.

— No, poruczniku, mówi kapitan, — szkoda na nich torped, dość będzie posłać im kilka granatów z naszego działa!

Jeszcze jednak artylerzysta nie zdążył zjawić się na pokładzie i nabić armaty, gdy znów odezwał się głos marynarza:

„Dym przed nami“!

— Tam do licha! zaklął kapitan. Musimy pozostawić w spokoju tę hołotę rybacką, bo oto zbliża się daleko pokaźniejsza zdobycz. Sądząc z ilości dymu, wyrzucanego z kominów, których jeszcze nie widać, musi to być wielki parowiec; naprzód, całą siłą machin! Żeby tylko rybacy nie ostrzegli sygnałami zbliżającego się parowca!

Nie było jednak obawy, gdyż rybacy byli tak zajęci swojemi czynnościami, że nie spostrzegli łodzi, chociaż ta znajdowała sie w odległości małego strzału armatniego od nich.

— Tak jest, to potężny okręt, mówi kapitan Szwarc, i pędzi całą siłą pary. — Jednakże musimy go dogonić!

Ryba stalowa wytęża wszystkie siły, silniki pracują z największem natężeniem. Niebawem z pod widnokręgu wynurzają się trzy kominy, zionące kłębami czarnego dymu, potem widać już kadłub. Niby iskra elektryczna przebiega po wszystkich marynarzach.

— Okręt uzbrojony, mówi kapitan zbadawszy uważnie stan rzeczy przez swoje silne szkła.

Musimy się dobrze trzymać, żeby czego nie oberwać! — dodaje.

— Czy torpeda gotowa? — pyta po chwili.

— Tak jest, — odpowiada porucznik Robert.

— Widzę aż trzy działa i to dużego kalibru, mówi dalej kapitan. — Zanurzyć się!

Peryskop wciągnięto jąk tylko można było najgłębiej do wnętrza łodzi, tak że tylko sam jego wierzchołek wystawał po nad wodę. Była to niezbędna ostrożność, żeby nie być dostrzeżonym. Łódź gotuje się jak tygrys w gąszczu do skoku na wspaniałą zdobycz. Olbrzymi parowiec, ciężko snać wyładowany, pogrąża się głęboko w wodzie lecz mknie mimo to szparko. Zaczyna się polowanie. Zwierzyna nie przeczuwa grożącego jej niebezpieczeństwa, płynie bowiem, nie zmieniając kierunku.

Ale lada chwila może się spostrzedz i uciec. Peryskop wynurza się na parę sekund, akurat na tak długo, jak potrzeba kapitanowi, żeby dokładnie obejrzeć, co mu było potrzeba. Porucznik Robert, oceniwszy odległość statku, ustawia peryskop odpowiednio i czeka chwili, żeby dać rozkaz wyrzucenia zabójczej torpedy. Marynarze na pokładzie parowca nie domyślają się niczego; kapitan przechadza się po swoim mostku z lunetą w ręku, nie wiedząc, co go czeka. Majtkowie palą fajeczki, oparci o ogrodzenie pokładu. Maszyny pracują bez przerwy. Wielki okręt za małą chwilę otrzyma śmiertelny cios, ale teraz wszystko na nim spokojne, bezpieczne!

— Gapy! — syknął kapitan pogardliwie. — Poruczniku, baczność. Ale porucznik nie potrzebo-

wał wcale napomnienia, z całem napięciem uwagi śledził swój peryskop. Właśnie okręt znalazł się w punkcie upatrzonym.

— Pal! — zakomenderował porucznik przez tubę.

Rozległ się głuchy wybuch. Torpeda wybiegła z rury na przedzie łodzi i pomknęła żwawo, jak wypuszczony chart ze smyczy za zającem. Już płynie, widać wyraźnie bruzdę, jaką robi na powierzchni morza, skrada się cicho, wyrzucając bulki powietrza.

— Dwadzieścia sekund! — powiada porucznik.

Po tym krótkim czasie torpeda powinna dosięgnąć celu.

Wszyscy z najwyższym napięciem oczekują wybuchu, liczą sekundy razem z porucznikiem. Ośmnaście, dwadzieścia!

— Już!

Straszna to, groźna chwila. Wybuch nastąpił akuratnie jak obliczono. Straszliwe wstrząśnienie po przez wodę udziela się łodzi podwodnej. Jest ono tak potężne, że wszyscy w łodzi przewrócili się na ziemię. Równocześnie z boku okrętu trysnął w górę wysoko słup wody, istna góra, wysoka na sto, a szeroka na pięćdziesiąt metrów. Cios zadany! Na pokładzie parowca zamęt nie do opisania. Ludzie rzucają się do łodzi ratunkowych, tłoczą się, jeden przez drugiego, popychają, klną, płaczą... wyciągają pięści w bezsilnej wściekłości ku łodzi. Tam rozpacz, ból, rany, strach przed śmiercią; tutaj zaś, na łodzi, tryumf, dzika radość. Marynarze klaszczą w dłonie, cieszą się, że zadali wrogowi cios dotkliwy. Patrzą na walkę z falami marynarzy angiel-

skich. Okręt ugodzony śmiertelnie, pochyla się coraz bardziej na bok, kładzie się niemal na falach; widać cały pokład z armatami, które nie zdążyły dać ani jednego wystrzału. Ze wszystkich otworów w pokładzie wydobywają się obłąkani strachem ludzie, i biegną do przepełnionych łodzi, zakładając sobie pasy bezpieczeństwa. Kilkunastu już walczy z bałwanami morskiemi... Zamęt nie dający się wyrazić piórem. Minuty upływają, jedna, druga łódź odbija od okrętu, który zanurza się ponuro. Już pokład znika, kilkudziesięciu ludzi usiłuje pływać w zimnej, jak lód wodzie.

Wrzaski, wołania o pomoc, górują nad szumem fal. Cała ta okropna scena nie trwa jednak długo. Jeszcze chwila, jedna i druga, pudło statku znika w toni, już tylko widać kominy, potem tylna część pudła sterczy w górę, fala plusnęła pianą i zamknęła się na zawsze po nad grobem parowca.

Ze statku nie pozostało żadnego innego śladu, jak kilkanaście łodzi wypełnionych ludźmi, oszalałymi z trwogi i trochę unoszonych falą szczątków.

Dzieło zniszczenia spełniło się. Wspaniały parowiec, ciężko ładowny cennemi towarami, zstępuje w głąb do grobu.

Pokład łodzi podwodnej zaludnił się wyłowionymi z wody postaciami marynarzy angielskich, którzy znacząc każdy krok wodą, znikali w głębi wieżyczki. Ocalono kilkudziesięciu zaledwie, reszta uratowała się na łodziach, albo... podążyła śladem dumnego okrętu i znalazła grób w zimnej fali.

V.

W Matni.

Kapitan Szwarc chociaż zadowolony ze zdobyczy, był zafrasowany.

— Wiesz poruczniku, — rzekł wyjmując fajkę z ust, co u niego oznaczało wielkie zakłopotanie, — że nie zbyt dobrze się tutaj czuję. Zmykajmy czemprędzej. Morze jest płytkie w tych okolicach, a telegraf bez drutu napewno rozniesie wiadomość o naszej obecności na setki mil i zaczną się łowy na nas.

— Może nie zdążą, — rzekł Robert.

— Daj Boże!

Nie upłynęło i pięciu minut od tej rozmowy, kiedy marynarz pełniący straż na pokładzie uwiadomił kapitana, że na widnokręgu ukazało się kilkanaście podejrzanych statków.

— Tam do djabła, to pewnie oni — zawołał Szwarc.

Porucznik wiedział że „oni“ znaczyło poszukiwacze, czyli *trawlery*, i torpedowce, czyli niszczyciele.

Domysł jego okazał się aż nadto trafnym. Łódź № 100 była otoczoną zewsząd przez wroga, który rozjuszony świeżą stratą, za wszelką cenę

postanowił zniszczyć zuchwalca, zatapiającego niedaleko brzegów Anglji wielkie okręty.

Ale kapitan nie tracił dobregu humoru.

Rozejrzał się bacznie wokół.

Położenie było okropnem. Od wschodu płynęło kilka poszukiwaczy. Były to niewielkie statki, które zanurzały się tak płytko w wodzie, że wyrzucona torpeda przechodziła pod niemi, nie mogąc im zrobić żadnej szkody. Pomiędzy dwoma takiemi poszukiwaczami była rozpięta sieć stalowa, sięgająca dość głęboko, pod powierzchnię, tak, iż łódź podwodna nie mogła się pod nią prześliznąć, zwłaszcza, że morze było w tych okolicach płytkie.

Pomiędzy zaś każdą parą poszukiwaczy, płynęła jeszcze łódź torpedowa wlokąca za sobą grubą linę stalową, na której były przyczepiane miny. Jeżeli więc łódź, unikając sieci, chciała się przemknąć między poszukiwaczami, to wpadała na minę, która wysadzała ją w powietrze.

Statki te, posuwając się w porozumieniu ze sobą, tworzyły okrąg podobny do kotła myśliwskiego, w którym zgania się zwierzynę do jednego punktu, gdzie się znajdują myśliwi. A myśliwymi byli w tym wypadku—torpedowce ze swojemi armatami i minami na linach.

— No zdaje mi się, że z nami jest zupełnie, ale to zupełnie niedobrze! — mruczał kapitan. Najbardziej mnie to gniewa, że nic im zrobić nie możemy. Musimy bowiem pozostać zanurzeni w wodzie i nasza armata na nic nam się nie przyda. Torpeda również nic nie poradzi przeciwko wyławiaczom. Jesteśmy jak wieloryb, całkiem bezbronni.

Ja zaś tego bardzo nie lubię! dodał stary wilk morski, marszcząc brwi krzaczaste.

Rzeczywiście tak się sprawa przedstawiała. Łódź № 100, straszna dla wielkich okrętów, była zupełnie bezsilna wobec tych małych stateczków.

— Co robić, co robić? — pytał porucznik Robert trąc sobie czoło.

— A no, musimy za jaką bądź cenę przedrzeć się przez ten łańcuch przeklęty, który nas zewsząd otacza, póki czas!

— Ale którędy?

— Daj pan mapę morską. — Czy niema gdzie głębszego miejsca, którem możnaby się spodem prześliznąć, narażając się chociażby na zgniecenie łodzi przez ciśnienie wody.

Porucznik spełnił polecenie.

— Wszędzie jest płytko, na nieszczęście, odparł rozejrzawszy się.

— W takim razie musimy przemocą utorować sobie przejście, zawołał kapitan.

— To znaczy? kapitanie.

— Zatrzymamy się i będziemy się starali pogrążyć w wodę jedną z łodzi torpedowych. W ten sposób utworzy się luka, którą się wymkniemy.

— Ba, jeżeli niema innego wyjścia...

— Niema! poruczniku.—Schwytają nas inaczej w sieci, a potem zarzucą bombami w głębi morza i kaput!

Przy ostatniem słowie kapitan machnął wymownie ręką, co oznaczało zgubę ostateczną, bez żadnego ratunku.

— Pan wypuści torpedę, kiedy dam znak, ale

pamiętaj pan trafić dobrze, w sam środek kadłuba, żeby torpedowiec poszedł na dno odrazu. Gdybyś pan źle wycelował, to zanim statek zatonie, poszukiwacze zamkną lukę, zbliżając się do siebie, i nie ujdziemy przed siecią przeklętą.

— Postaram się kapitanie. — Idzie tu przecież o życie nas wszystkich.

Na szczęście nikt z całej załogi statku podmorskiego nie zdawał sobie sprawy z całej grozy niebezpieczeństwa. Każdy pełnił swoje. Jeden kapitan tylko i porucznik Robert widzieli, co się działo na powierzchni morza.

Nie było ani jednej minuty do stracenia. Koło zamykało się coraz bardziej.

Kapitan zatrzymał łódź tak, iż stanęła bokiem do zbliżającego się najbliższego torpedowca. Wysunięto z wody na jedno mgnienie oka peryskop, żeby widzieć, kiedy pora wypuścić torpedę. Porucznik celował, jak tylko mógł najstaranniej.

Majtek stał już przy rurze torpedowej, gotów spełnić rozkaz. Torpedowiec znajdował się zaledwie o sto metrów od łodzi № 100, kiedy rozległa się komenda — Pal! Torpeda poszła prosto, lecz w tej że chwili spostrzeżono wroga z niszczycieli i wyławiaczy. Inne torpedowce opuściły swoje stanowiska i rzuciły się w kierunku skąd wybiegła torpeda. Ale statek, w który wymierzono pocisk, nie uniknął swojego losu. Okropny wybuch, który rzucił wszystkich na żelazną podłogę, olbrzymi słup wody, dym czarno żółty, pomieszany z pianą morską, krzyki rannych.

Porucznik Robert spisał się doskonale. Pocisk

trafił pod samym kominem. Kotły parowe wybuchnęły snać, bo obłok biały rzygnął z wnętrza statku, który odrazu niemal zaczął się pogrążać w toni. Łódź Nr. 100 naśladowała go, zstępując razem z nim w otchłań. Po przez okienka wieżyczki widać było wyraźnie tonące pudło rozdartego wybuchem statku nieprzyjacielskiego, pasujących się ze śmiercią marynarzy. Był to okropny widok, którego trudno zapomnieć, jeżeli się go raz jeden miało przed oczyma. Łódź Nr. 100 pogrążyła się w samą porę, zaledwie bowiem znalazła się na głębokości trzydziestu metrów, gdy tuż nad nią rozległy się uderzenia śruby niszczycieli. Potem jedna czy dwie bomby groźnie przemknęły tuż koło jej stalowego cielska. Gdyby jedna z nich trafiła, zguba łodzi Nr. 100 byłaby niezawodną. Lecz nieprzyjaciel źle trafiał.

— Całą siłą maszyny naprzód! — zawołał kapitan na maszynistę przez tubę.

Mechanik spełnił w tej chwili rozkaz, i łódź posunęła się żwawo po za koło złożone ze statków wyławiaczy i wlokących się pod niemi sieci. Miny torpedowca, który znajdował się już na dnie morskiem, nie tamowały jej ucieczki.

Kapitan Szwarc pykał coraz energiczniej z fajki nie odrywając oczu od okienka. Pudło stalowe łodzi drżało od uderzeń śruby, uciekano z chyżością zająca, który się wymknął myśliwym z kotła.

— No komendancie, wyprowadziłeś nas z prawdziwej matni! — zawołał podporucznik.

Stary wilk morski uśmiechnął się lekko.

— Powiedz pan załodze, żeby sobie zagrała na gramofonie i rozdaj im po czarce rumu. — Niech wypiją za zdrowie Anglików!

VI.

Zabawna przygoda.

Jak w życiu, tak też podczas wojny, smutne, okropne, krwawe miesza się czasem ze śmiesznem i wesołem.

Nazajutrz po zatopieniu wspaniałego parowca i wymknięciu się z matni, łódź Nr. 100 płynęła powolnie w kierunku Djabelskiego Kotła. Znajdowała się ona na pełnem morzu Niemieckiem, o kilkadziesiąt mil morskich od wybrzeży Anglji. Był piękny dzień jesienny, słońce przyświecało jeszcze mocno, tak, iż porucznik Robert rozłożył się na pokładzie z papierosem w ustach, i patrzył w dal siną, rozkoszując się przyjemnem ciepłem. Na widnokręgu majaczyło kilka żagli, ale kapitan nie chciał na siebie zwracać uwagi, więc nie zamierzał napastować rybaków.

Nagle porucznik zerwał się na równe nogi.

Wyraźnie dobiegły jego uszu wystrzały działowe od północy.

— Cóż to miało znaczyć? — Czyżby pomyłka? Ale nie! Huk niebawem powtórzył się. Walono z dział gęsto. Bum, bum, bum! najprawdopodobniej potyczka morska toczyła się w pobliżu. W otwo-

rze wieży ukazała się zaniepokojona twarz kapitana. Pewnie jakaś jedna z łodzi podwodnych napastowana jest przez statek angielski! — zawołał stary wilk morski. — Musimy spieszyć kolegom z pomocą; naprzód całą siłą maszyn! — krzyknął w głąb otworu. — Sterować silnie na prawo!

Łódź Nr. 100 zaczyna pędzić chyżo, jak tylko pozwalają jej na to machiny naftowe. Wszyscy stają na swoich miejscach w oczekiwaniu, że lada chwila trzeba będzie zanurzyć się pod wodę. Płynie tak szybko, że woda płuszcze na pomost i zamoczyła papierosa, który porucznik Robert trzyma w ustach. Odrzuca go więc precz i schodzi do wnętrza.

Kapitan wpatruje się przez lunetę w ten punkt widnokręgu, skąd dolatuje huk armat. Dym, dym! jakiś okręt unosi się na morzu; jest sam jeden; najlepszy to dowód, że walczy z łodzią podwodną; tembardziej należy śpieszyć jej z pomocą. Błyskawice wystrzałów już się dają widzieć wyraźnie. Granaty gęsto padają. Pewnie już niejeden z nich trafił w łodź podmorską, która znajduje się w najwyższem niebezpieczeństwie.

Co najgorsza, że nie odpowiada ze swojego działa na wystrzały przeciwnika. To źle wróży o jej losie.

— Zanurzyć się do połowy! — komenderuje kapitan Szwarc.

Należało zachować tę ostrożność, zbliżając się do nieprzyjacielskiego statku wojennego. Tylko rura peryskopu wystaje nad oowierzchnię. Porucznik szykuje torpedę... Można już rozeznać okręt.

Jest to wielki parowiec, zapewne krążownik pomocniczy, przerobiony z pięknego statku handlowego na użytek wojenny. Widać przez szkła każdy szczegół na pokładzie. Pełno na nim ludzi, ale wszyscy są zwróceni w przeciwną stronę i bacznie przyglądają się jakiemuś czarnemu przedmiotowi, dokoła którego gęsto padają pociski z czterech armat.

— Tak, napewno mordują naszych! — trzeba im przeszkodzić w tem przyjemnem dla nich zajęciu! — mruczy kapitan Szwarc.

— No, poruczniku, każ strzelić.

Robert nachylił się do tuby.

— Pal! — zakomenderował marynarzowi, który już czuwał w pogotowiu przy rurze wyrzucającej torpedę.

Nie upłynęła i minuta, gdy wysoki słup wody tryska z boku statku. Stało się! Nieprzyjaciel, roztargniony walką, którą toczył z tamtej strony, otrzymał cios śmiertelny. Armaty zwracają żałośnie i bezradnie swoje lufy ku niebu, ludzie przewracają się, przedmioty znajdujące się na pokładzie przygniatają ich swoim ciężarem. Wielki parowiec chyli się, chyli coraz bardziej, aż brzegiem pokładu dotyka powierzchni morza; jeszcze minuta, a woda zalewa oba kominy, reje masztów muskają już fale. Nic go nie zdoła ocalić. Odsiecz przyszła w samą porę. Nie troszcząc się o marynarzy, szukających ocalenia w szalupach, kapitan pędzi do miejsca, w które padały pociski armatnie. Wszyscy rozglądają się po powierzchni morza. Pustka przerażająca.

— Niestety, spóźniliśmy się, jak widzę! — mówi kapitan. Nasza łódź musiała już zatonąć. — Przeklęty Anglik!

I stary marynarz zaklął potężnie, jak tylko marynarze to potrafią.

Łódź wynurzyła się zupełnie. Majtkowie z bosakami z pasami ratunkowemi stoją w pogotowiu, żeby wciągać na pokład towarzyszy walczących z falami; ale nie widać ani jednego rozbitka.

— Czyżby nikt nie zdołał się już ocalić? pyta kapitan chmurnie.

— Krew, krew! woła nagle jeden z majtków, wskazując na morze zarumienione.

Kapitan wychodzi także na pokład i kiwa głową.

Musiało zatonąć wielu rannych, mówi, wyciągając pięść!

— Ale jakoś dużo tej krwi! mówi porucznik. Chyba kilkuset ludzi rozerwało na strzępy.

Za chwilę łódź zanurza się w czerwonej wodzie.

Marynarze żegnają się pobożnie.

Wznoszą modły za poległych, których musiało być wielu, bardzo wielu. Istne morze krwi. Cześć bohaterom, zemsta wrogowi! Już z nim rachunki zakończone, ale ci.

— Gdzież u licha są ranni? --pyta zniecierpliwiony kapitan.—Nie masz ani jednego, któryby nam powiedział, jak się nazywała zatopiona łódź? To dziwne, bardzo dziwne, poruczniku.

— Łódź! łódź — krzyczy sternik, pokazując na czarny duży przedmiot, który nagle wynurzył się w odległości kilkudzięciu metrów.

— Nareszcie — mruczy kapitan.

Kierują statek podwodny do owego czarnego przedmiotu, który na pierwszy rzut oka wydaje się przewróconą do góry dnem szalupą. Nikt nie wątpi, że ma przed sobą łódź uszkodzoną. W tem nagle

porucznik Robert wybucha śmiechem, kapitan spogląda na niego, jak na warjata? — Jakto, śmiać się wobec śmierci tylu ludzi, nad takiem morzem krwi? — Cóż to znaczy, poruczniku? — pyta surowo mierząc okiem oficera.

Ale porucznik nie może pohamować się od śmiechu, który go zupełnie zadusza. Za nim zaczynają się śmiać wszyscy od oficera do ostatniego palacza.

— To bajeczne, doprawdy! to nieporównane! pyszny kawał. Łódź Nr. 100 zbliżyła się tak do owej przewróconej towarzyszki, że niemal można jej dotknąć bosakiem. W jej cielsku widnieje ,olbrzymia, ziejąca rana, zadana wielkim pociskiem, który wybuchnął w istnej górze mięsa. Krew jeszcze się z niej sączy, barwiąc fale.

Kapitan wreszcie sam wybucha śmiechem.

Teraz już zagadka wyjaśniona, mniemana łódź podwodna, to olbrzymi wieloryb, który zapędził się z oceanu otwartego aż w te okolice. Jego to wziął za wroga angielski statek, i zasypał kulami, ściągając przez to na siebie strzał torpedowy z łodzi Nr. 100. Był tak zajęty tą komiczną walką, że nie zauważył prawdziwego nieprzyjaciela i zginął marnie.

Kapitan teraz dopiero kazał wyciągać na pokład tonących marynarzy z zatopionego krążownika, powsadzał ich na szalupy, które błąkały się z paroma zaledwie ludźmi po morzu, i pozwolił płynąć w kierunku brzegów.

Tak się skończyła owa przygoda, która na kilka dni dawała sposobność do wesołych wspominek załodze łodzi Nr. 100.

VI

W djabelskim Kotle.

Łódź Nr. 100 szczęśliwie wydostawszy się z matni, znajdowała się teraz wobec najtrudniejszego zadania, jakie tylko może czekać podwodny statek w wojnie na śmierć i życie.

Musiała przebyć najeżone wszelkiemi niebezpieczeństwami, pole minowe, zwane słusznie „kotłem djabelskim".

Był to naprawdę djabelski wynalazek. Wyobraźcie sobie szeroki na kilkanaście mil morskich pas morza, płytkiego, tak, iż nigdzie niepodobna się w niem zanurzyć poniżej trzydziestu metrów: a na tym wąskim pasie wody nieprzyjaciel powieszał na kotwicach tysiące min, jednę obok drugiej, szeregami, w taki przytem sposób, że minąwszy jeden szereg musiało się niezawodnie natrafić na następny, a jeżeli jakim cudem i ten drugi udałoby się wyminąć, to już z całą pewnością wylecisz w powietrze przy trzecim. A owo wysadzenie w powietrze odbywało się bardzo prosto. Ledwie dotknąłeś jednej z min, ta natychmiast wybucha; uderza jakby olbrzymim młotem w statek podmorski, miażdży go, jak orzech na kowadle i wszyscy

giną bez ratunku. Kapitan Szwarc wiedział, jak straszne jest działanie min, bo ciągle niemi wojował, i pogrążał w topieli najpotężniejsze nawet statki; nic więc dziwnego, że nie miał najmniejszej ochoty wpaść na którąkolwiek z nich.

Ale nie same tylko miny tamowały przejście przez „kocioł djabelski“. Nie mało do nieprzenikliwości tej zagrody przyczyniała się olbrzymia stalowa sieć z lin grubości palca spleciona, unoszona na powierzchni morza przez pływaki korkowe, a sięgająca do samego dna morskiego. W dodatku do tej sieci Anglicy poprzyczepiali miny, tak urządzone że jeśli tylko statek podwodny zaczepił o sieć, natychmiast same się zapalały i wysadzały śmiałka w powietrze.

A jednak kapitan Szwarc otrzymał rozkaz przerwania się przez ową nad wszelki wyraz niebezpieczną zagrodę minową, ażeby módz wydostać się na ocean, gdzie się uwijały we wszystkich kierunkach okręty, przypływające z dalekich krajów, i dowożące różne niezbędne dla koalicji towary. Ma się rozumieć, że wówczas nie żałowanoby torped, i starano by się zatopić jaknajwięcej z pomiędzy tych okrętów. Trzeba jeszcze dodać, że po przeciwnej stronie zagrody minowej strażowały bezustanku zarówno dniem jak nocą uzbrojone w dziesiątki szybkostrzelnych dział statki wojenne nieprzyjacielskie. Jeżeliby nawet którejkolwiek łodzi udało się uniknąć zniszczenia skutkiem wybuchu miny, to zaplątałaby się niezawodnie w sieci. Wówczas do tego miejsca, wskazanego przez umyślnie w tym celu pozakładane przyrządy, nadpłynęłyby różne wyła-

wiacze i wyciągnęłyby statek podmorski na powierzchnię, żeby go wraz z całą załogą zabrać do niewoli, albo jeżeliby się to nie udało, to zniszczyć go przy pomocy bomb, rzucanych w głąb morską. Kapitan Szwarc znalazł się przy zapadającym zmroku wobec tej przeszkody, którą musiał wziąć, jak koń wyścigowy, chociażby przedtem miał karku nakręcić.

Trudno, i na karabiny maszynowe idą żołnierze, lubo wiedzą, że, one śmierć sieją. A więc naprzód! Chociażby się miało łyknąć z wielkiej filiżanki słonej wody, jak się wyrażał o oceanie stary kapitan. Zanim jednak przystąpiono do przezwyciężenia tej przeszkody, należało zbadać ją najdokładniej.

W tym celu kapitan musiał czekać odpływu morza. Wówczas, jak go zapewniali koledzy, którzy już przedostali się szczęśliwie na tamtą stronę „djabelskiego kotła“, miny stawały się na kilka minut widoczne, można było je policzyć i zamiarkować, którędy najłatwiej się przez nie prześlizgnąć.

Tak też uczyniono. Odpływ miał nastąpić zaraz po wschodzie słońca. Spędzono zatem noc na dnie morskiem. Kapitan poprostu kazał napełnić zbiorniki, statek osiadł powoli na dnie nie jako topielec, który miał tam na wieki wieków pozostać, ale raczej jak potwór drapieżny, który sobie tam uczynił bezpieczną kryjówkę, ażeby z nastaniem dnia porwać zastawione nań sieci, i rzucić się na bezbronne stado owiec.

Dziwna to była noc na dnie morskiem spędzona. Marynarze mieli po nad głowami warstwę

wody morskiej grubości trzydziestu metrów. Do tej głębokości nie dochodziło już światło księżyca wlokącego się po niebie. Ale za to był spokój rozkoszny. Ruch fal nie dawał się wcale uczuwać, chociaż morze nie było cichem. Czasami tylko jakiś silniejszy bałwan zachwiał stateczkiem podmorskim zlekka. Poza tem leżał on, jak w puchu, gęstym mule, podobny do olbrzymiej ryby, która się ułożyła do snu.

Marynarze mieli wypoczynek, co się zowie, czuli się zupełnie bezpieczni na tej głębokości od wszelkich wyławiaczy, poszukiwaczy, niszczycieli, słowem nic sobie nie robili z całego tłumu wrogów który czyhał na nich tam na powierzchni morza. Rozebrano się zjedzono smaczną wieczerzę, pito piwo, grano sobie na gramofonie, śpiewano, śmiano się, nie jak na dnie morza, ale jak w jakiej gospodzie w wielkiem mieście.

Kapitan Szwarc, porucznik Hajn, inżynier od maszyn, Weiss zasiedli przy wspólnym stole. Kucharz podał im doskonałe mięsiwa, zakąski, koniak, ciasta, wino, słowem urządzono sobie kolację co się zowie. Podporucznik miał przytem piękny głos i umiał różne wesołe piosenki śpiewać przy gitarze, więc i w kajucie oficerskiej panował przyjemny nastrój. Bawiono się rozmową i muzyką do samej północy, potem z głowami jak to mówią nieco ciężkiemi, położono się spać na czystej pościeli, zgaszono lampy elektryczne, które zastępowały słońce w otchłani morskiej, i zaśnięto snem twardym w oczekiwaniu, co przyniesie dzień następny.

Kiedy pierwsze promienie wschodzącego słońca ukazały się z pod widnokręgu, statek podmorski

opuścił swoje legowisko, i wychyliwszy rurę z okiem szklanem, bacznie rozejrzał się w około.

Niestety, nie było tu na powierzchni bynajmniej bezpiecznie. Po jednej, jak po drugiej stronie sieci i zagrody minowej włóczyły się tam i z powrotem aż cztery duże niszczyciele o czterech kominach każdy. Niechnoby spostrzegły statek podmorski, zaraz przywołałyby przy pomocy telegrafu bez drutu wyławiaczy i polowanie rozpoczęłoby się nadobre! Nie można więc pokazywać się na powierzchni morza; trzeba obejrzeć zagrodę min tylko przy pomocy ledwo wysuniętego peryskopu. A to zadanie nie łatwe. Morze burzy się, prądy rzucają statkiem, wody opadają; lada chwila ukażą się miny, jeszcze znajdujące się pod falami.

Nareszcie! — Jest ich bardzo dużo... tysiące! Wyglądają jak niewyraźne punkciki, znikające to znów ukazujące się między falami; tworzą iście nieprzebyte łańcuchy. Łatwo byłoby jednak prześliznąć się między niemi, płynąc na samej powierzchni, ale te przeklęte statki nieprzyjacielskie nie pozwalają wychylić nosa! Trzeba zatem płynąć pod wodą, i wymijać każdą minę po kolei, strzegąc się zawadzić o którąkolwiek z nich pod karą śmierci!

— Ha, trudno, co ma stać, to się stanie, ale naprzód, naprzód! Niepodobna nawet wysłać torpedy jednemu albo drugiemu nieprzyjacielskiemu statkowi, bo to sprowadziłoby całą zgraję poszukiwaczy w tę okolicę i zguba gotowa.

— Płyńmy głęboko, niech się dzieje co chce! — powiada kapitan Szwarc.

— Tam do licha, musimy je wyminąć! — uparcie powtarza kapitan.

Jechano tak godzinę z okładem, wśród bicia serc, i śmiertelnego oczekiwania wybuchu, który mógł lada chwila nastąpić.

— Nareszcie! ostatni szereg za nami, mówi kapitan zacierając ręce.

Nagle jednak statek podmorski napotyka na jakiś opór. Śruby przestają się obracać; inżynier wpada do środkowej izby, gdzie się znajduje kapitan i oficerowie. Jest blady, robi jakieś bezładne ruchy rękami.

— Co to jest? — pyta groźnie kapitan. — Maszyna się popsuła? — Pan jesteś odpowiedzialny za maszynę — dodał, unosząc się.

— Ależ maszyna w porządku, kapitanie! tłómaczy się inżynier.—Tylko śruby nie działają.—Nie posuwamy się naprzód wcale!

Nastała chwila ciszy.

— A więc cóż tego za przyczyna? — pyta kapitan, który zaczyna tracić równowagę ducha.

— Zdaje mi się, że wpadliśmy w jakąś pułapkę, w sieć może.

— W takim razie śruby znajdujące się z tyłu statku, powinny się obracać.

— Zaraz zobaczymy! — dodał.

Przyłożył oczy do okularów od peryskopu, obracał go na wszystkie strony i śledził bystrym wzrokiem dokoła statku. Wreszcie musiał coś zobaczyć, bo zaklął szkaradnie.

— Tak, jesteśmy w pułapce! — rzekł.

Silił się na spokój, ale mimowoli przygryzł

sobie wargi, tak, że krew ściekała mu po brodzie już dobrze szpakowatej.

— Co? jak? -- pytali oficerowie, blednąc także.

— Patrz pan, — zawołał Szwarc — czy widzisz to koło, tuż przy kadłubie statku?

Porucznik Robert spostrzegł je odrazu. Było to olbrzymie oko sieci drucianej, przez które wprawdzie statek podmorski mógłby się prześlizgnąć, jak kiełbik przez oczko sieci zastawionej na szczupaki, gdyby...

To gdyby miało postać lin, zwieszających się swobodnie w owem wielkiem oku żelaznem, a grubych na parę cali. Były one właśnie tą piekielną pułapką, które zastawia nieprzyjaciel na podmorskie statki. Przód żelaznej ryby przemknął się, ale ogon czyli śruba, zaplątała się w linach, które okręciły się koło niej, jak węże zdradzieckie i zatamowały zupełnie jej ruchy.

— Cofnąć się! inżynierze, każ maszynę puścić wstecz! — może te przeklęte liny same się odkręcą!

Puszczone maszynę nazad, ale śruba nie obracała się. Ryba ze stali była jak sparaliżowana.

— Co czynić? — pytał inżynier.

— Musimy za jakobądź cenę uwolnić się od tych więzów! — rzekł kapitan, zastanowiwszy się. Nie mamy przytem ani chwili do stracenia. Zapewne ciągnąc za linę, wprawiliśmy w ruch sygnały elektryczne. Dzwonki już dzwonią! O, słyszy pan? jakaś rakieta pękła tuż nad nami! Jej huk i dym sprowadzi nam zaraz na kark tłum wyławiaczy; niech ich piekło pochłonie! — Dwaj nurkowie na pokład!

— Z toporami! — dodał porucznik.

— Tak, odrąbać liny! — tylko spieszcie się, na Boga Wszechmocnego, moje dzieci! błagał kapitan marynarzy, którzy wystąpili naprzód.

Nurkowie podbiegli do komory dla nich przeznaczonej i wdziewali na siebie przy pomocy towarzyszy nieprzemakalne ubranie, buty z ołowianemi podeszwami, hełmy miedziane z rurkami, które miały im dostarczać powietrza do oddychania. W dziesięć minut zaledwie od rozkazu już byli gotowi. Zaprowadzono ich do dzwonu, otworzono krany, i obaj niebawem poczuli, że się znajdują w wodzie, która jednak nie mogła przeniknąć po przez szczelne zamknięcie do wnętrza łodzi. Potem otworzyli równie szczelnie zamknięte sklepienie dzwonu, i wyleźli przez nie na pokład, z toporami w dłoniach. Było to niezmiernie niebezpieczne zadanie. Statek podmorski chwiał się ciągle, tak, iż nurkowie mogli się poślizgnąć po żelaznej skorupie i spaść na dół. Szli, trzymając się stalowych lin, aż do samego końca kadłuba, gdzie znajdowała się śruba. Wiedzieli, że od ich sprawności zależy życie dziesiątka towarzyszy i całość statku. Jeden trzymał drugiego i niebawem rozległy się głuche uderzenia topora o liny.

Nie szło to jednak tak szybko, jak było pożądanem, zwłaszcza, że kawał liny wdarł się głęboko między kadłub a samą śrubę i trzeba go było stamtąd wydobywać po małym kawałku. Podczas gdy nurkowie pracowali do zaparcia tchu, tam na powierzchni morza odbywało się polowanie na osaczony statek. Ze wszech stron dążyły na to miej-

sce niszczyciele torpedowce i poszukiwacze, wlokący za sobą sieci, słowem cały zastęp ogarów, który cieszył się, że wpadł na trop grubej zwierzyny.

Kapitan wiedział o tem i liczył każdą sekundę z drżeniem serca. Spodziewał się lada chwila, że tam, z góry, spadnie na jego statek jaka bomba, albo w pobliżu wybuchnie niszcząca mina.

Obawy jego nie były daremne. Rozległ się niebawem głuchy huk; marynarze doznali tak gwałtownego wstrząśnienia, że wszyscy bez wyjątku padli na podłogę. Kapitana rzuciło na koło sterowe; podniósł się z trudem, ocierając krew z czoła. Porucznik Robert stłukł sobie bok o jakieś żelazo, każdy poniósł jakiś szwank mniej lub bardziej bolesny.

— To mina!—zawołał Robert, zrywając się. — Zginęliśmy!

— Jeszcze nie, ale niewiele do tego brakowało! — odparł podporucznik Klajn.

— Obejrzeć spojenia, czy gdzie woda nie przenika do wnętrza! — zakomenderował kapitan.

Marynarze rozbiegli się na wszystkie strony i niebawem zaczęli zdawać raporty.

— W komorze torpedowej szczelnie. — Na tyle statku również wszystko szczelne!

Okazało się, że statek podwodny jest mocniejszy, niż mina, która na szczęście wybuchnęła o kilkadziesiąt metrów, gdzieś z prawej strony; gdyby statek znajdował się bliżej, albo po nad nią, już by nikt w nim nie żył.

— Nieprzyjaciel nie wie dokładnie, gdzie się znajdujemy—rzekł kapitan, inaczej...

— Nurkowie, nurkowie! — krzyknął nagle porucznik. — Co się z nimi stało? — Biedacy!

Chwila milczenia Wszyscy nadsłuchują, czy nie rozlegną się jeszcze uderzenia toporów, rozcinających przeklęte sploty lin; lecz głucha cisza panuje dokoła. Słychać jeno warkot śrub nadpływających okrętów wojennych.

— Zginęli, jak na dzielnych żołnierzy przystało, przy spełnianiu obowiązków! —Niech ich Pan przyjmie do swojej chwały! westchnął pobożnie kapitan, zdejmując czapkę.

Ale nie było czasu na roztkliwanie się nad losem nurków; każda sekunda była drogą. Szło o to, żeby uratować statek z całą załogą.

Lada chwila mogła wybuchnąć nowa mina, i dokończyć dzieła zniszczenia.

— Inżynierze, każ puścić machinę. — Może pójdzie już.

Inżynier przesłał polecenie maszyniście. Znowu nastała chwila pełna wyczekiwania. Motory elektryczne zaczęły się z wysiłkiem obracać; śruby zrobiły pół obrotu.

— Idzie, idzie!

— Jeszcze nie! — odparł inżynier, marszcząc brwi. Ale trzeba próbować dalej. Nastawić na najwyższą siłę, puścić cały prąd! krzyknął.

Czy tylko pójdzie? myślał sobie w duchu porucznik.

Była to sprawa życia albo śmierci.

Kiedy elektryczna siła starała się przezwyciężyć opór lin, częściowo odrąbanych przez bohaterskich nurków, nieprzyjaciel na powierzchni się znajdujący czynił wszelkie zmierzające ku zniszczeniu

znienawidzonego statku podmorskiego przygotowania. Znowu wybuch, jeszcze straszniejszy od pierwszego, tak, iż nagle wszystkie światła pogasły. Teraz porucznik Robert był przekonany, że wybiła jego ostatnia godzina. Słuchał, czy nie dobiegnie go plusk wody, wdzierającej się niezliczonemi strumieniami przez szczeliny. Lecz nie; znowu głucha, grobowa cisza zaległa dokoła.

Rzucono się do lamp, naprawiono je i znowu światło elektryczne rozjaśniło wnętrze łodzi.

— Nie wiedzą dokładnie, w którem miejscu znajdujemy się, mówił kapitan, uśmiechając się złośliwie. Gdyby podpalili bliższą minę, już stawalibyśmy przed sądem Najwyższego. No i cóż inżynierze?

— Śruby obracają się, chociaż niezmiernie wolno.

— Ale obracają się przecie?

— Tak. Muszą im przeszkadzać jeszcze jakieś szczątki liny, ale poruszamy się naprzód, w każdym razie.

— No, chwała Bogu!—Byle wydostać się z tego piekła na kilkadziesiąt metrów chociażby. Z tej odległości miny już nie byłyby dla nas niebezpieczne. Pozostaną sieci...

Łódź rzeczywiście odzyskała wolność. Przedarła się szczęśliwie po przez zdradne oko sieci, i po paru minutach znajdowała się już po tamtej stronie.

— Kocioł djabelski za nami!—zawołał radośnie porucznik, wyjrzawszy przez peryskop.

— Zmienić kierunek. — Ster silnie na prawo! komenderował kapitan. — Trzeba zmylić pogoń.

Statek podwodny wlókł się z niezmierną powolnością i trudnością, ale z każdą chwilą oddalał się od swoich prześladowców. Teraz chodziło jedynie o to, żeby uniknąć sieci wyławiaczy, którzy już tam zapewne się zgromadzili i rozpoczynają swoje poszukiwania.

Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło, zmniejszało się jednak z każdą minutą.

— Czy daleko do głębszego miejsca? — pytał porucznik.

Przejrzano mapy morskie, z których się okazało, że większa głębia znajdowała się o kilkanaście mil morskich dalej w tym samym kierunku. Inżynier robił, co się tylko dało, żeby przyśpieszyć obrót śrub; zauważył z radością, że liny przetarte znać skutkiem ruchu wału, coraz mniejszy opór stawiały śrubom, gdyż te obracały się żwawiej. Statek nabierał rozpędu.

— Byle nas nie otoczono, wszystko będzie dobrze!—mówił kapitan, w którego nadzieja już wstępować zaczęła.

Po pół godzinnej żegludze pod wodą zdecydował się wynurzyć dla zbadania położenia. Wytknięto sam koniec peryskopu na krótką chwilę, żeby jeno rzucić okiem na powierzchnię morza. Kapitan dokonawszy spostrzeżeń, uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Poszukiwacze za nami! — rzekł.

VIII.

Nieoczekiwany rozkaz.

Ale takie wytężone polowanie na okręty nie trwało długo. Ameryka sprzeciwiła się temu energicznie, grożąc wojną niemcom, jeżeliby ci zatapiali w dalszym ciągu niewojenne okręty.

Rząd niemiecki na razie ustąpił. Odtąd miano zatapiać jedynie statki, stawiajace opór, albo też starające się uciec. Oszczędzano przytem załogę, dając jej czas na uratowanie życia w łodziach.

Ta ciężka służba po kilku miesiącach wyczerpała siły porucznika Roberta. Czuł się zmuszonym poprosić o dłuższy urlop, którego mu niebawem udzielono.

Nasz marynarz stęsknił się niezmiernie za rodziną i zapałał niepohamowaną żądzą ujrzenia jej znów przy swoim boku.

Wysłał więc następującą prośbę do żony, przy pomocy telegrafu podmorskiego: „Mam kilka miesięcy wolnych. Wracajcie holenderskim statkiem do Europy. Przyjadę do Amsterdamu na wasze spotkanie. Robert.“

W kilka dni nadeszła odpowiedź pomyślna. Pani Robertowa zawiadamiała męża, że stosownie

do jego życzeń, wsiada na holenderski parowiec „Roterdam“ odchodzący z Nowego Jorku za parę dni.

Radość porucznika nie miała granic.

Za dwa tygodnie najdalej spodziewał się ujrzeć swoją żonę wraz z ukochanemi dziatkami. Liczył dni a nawet godziny, marząc o tem spotkaniu.

Wszystko było już gotowe na przybycie pani porucznikowej z dziećmi. Mieszkanie odświeżone, zapasy żywności nagromadzone tak, żeby nikt nie cierpiał niedostatku, słowem porucznik robił, co tylko było w jego mocy, żeby żonie i dzieciom na niczem nie zbywało w domu.

Pewnego wieczoru jednak, kiedy kochający ojciec położył się spać i marzył słodko, że składa już pocałunki na białych, niewinnych czołach swoich dwóch synów, obudzono go brutalnie.

Woźny z telegrafu wręczył mu papier z urzędową pieczęcią.

Pana Roberta przeniknął dreszcz trwogi; przeczuwał coś złego, ale nie to, co go naprawdę spotkało.

Wiadomość była od naczelnej władzy marynarskiej. Brzmiała krótko, węzłowato, okrutnie:

„Zaostrzona wojna podmorska! Wracać natychmiast do służby na pokład łodzi Nr. 100“. Podpis admirała, komenderującego flotą statków podmorskich i koniec.

Porucznik nie wierzył na razie swoim oczom. Nie potrafił zdać sobie sprawy z tego, co to znaczy zaostrzona walka podmorska. Niebawem jednak oprzytomniał.

Znaczyła ona, iż odtąd Niemcy, nie licząc się już z nikim i z niczem, postanowiły uczynić ostatni

wysiłek, żeby uwolnić gardło od zaciskającej się coraz bardziej pętli angielskiej.

W ciszy przygotowano wielką flotę łodzi podmorskich, którą teraz miano rzucić na Anglję, niebacząc na protest amerykański. Od tej chwili zatem każdy statek czy to nieprzyjacielski, czy też neutralny, usiłujący przedrzeć się przez blokowany obszar, miał być bez litości zatopiony.

Porucznik stał, jak rażony gromem. To czego nigdy nie spodziewał się, stało się. Barbarzyństwo wzięło górę nad uczuciami humanitarnemi. Wojna zaostrzona wybucha nadto w chwili, kiedy jego rodzina znajduje się już, być może, na pełnem morzu.

Trzeba koniecznie zapobiedz nieszczęściu, które przecież może się teraz wydarzyć, i ostrzedz czemprędzej najdroższych!

Porucznik, ubrawszy się spiesznie, biegnie do urzędu telegraficznego, i podaje następującą depeszę:

„Powstrzymajcie się z wyjazdem, do nowego mojego rozporządzenia. Robert“.

Telegram ten jednak nie może iść prosto do Ameryki. Musi krążyć przez Holandję i Anglję, musi zmarnować wiele czasu! a zatem może się spóźnić. Porucznik szaleje z niepewności. Piękne marzenia pękły, jak bańka mydlana. Robert zabiera się spełnić rozkaz.

W dwanaście godzin po otrzymaniu owego nieszczęsnego rozkazu, znajduje się w drodze, a wieczorem następnego dnia stoi już w pośród kolegów, na pokładzie łodzi № 100.

Witają go w milczeniu. Potrząsają jego dłonią, patrzą mu w oczy zaczerwienione od ukrywanych sta-

rannie łez i z niewyspania; każdy go rozumie. Koledzy wiedzą, że spodziewał się połączyć z ukochanymi.

Nikt jednak nie probuje nawet dodać mu odwagi.

— Wypływamy o świcie — mówi starszy porucznik.

„Ha, trudno“ — myśii sobie Robert.

O oznaczonej godzinie statek podmorski opuszcza port i kieruje się na zachód.

Kiedy zrobił się dzień, zanurza się i jak drapieżny rekin rozpoczyna łowy. Tym razem będzie nieubłagany, nie znający litości. Wielka stawka na loterji losu narodów ma się rozegrać; wszystko idzie w kąt, nawet litość!

Tak sobie myśli porucznik Robert, ale serce zalewa mu się żółcią.

Tam na morzu znajduje się już, być może, jego żona z dziećmi u boku. Nie przeczuwa, że na jej drodze czatuje łódź № 100, i że, o zgrozo! może posłać właśnie w bok „Roterdamu“ zabójczą torpedę.

Porucznik na myśl o tem zagryza do krwi wargi, ale nie mówi nic.

Około południa sygnał! na widnokręgu ukazuje się wielki parowiec.

Łódź pogrąża się, ale niestety; nie jest całkiem ukryta. Morze pod uderzeniami piekielnego wichru burzy się niemal do samego dna. Od czasu do czasu jaki potężny bałwan, przedzierając się z szumem po nad jej grzbietem, obnaża go. Wówczas stalowa skorupa lśni w słońcu. Jest źle! kapitan ostrożnie zbliża się do wielkiego statku. Jeszcze nie znalazł się w odległości rzutu torpedy, kiedy buchają nagle

obłoczki niebieskawego dymu. Klika granatów z wyciem przelatuje niedaleko. Jeden pada tuż obok wieżyczki kapitańskiej, wyrzucając w górę słup wody.

— Spostrzeżono nas! — myśli sobie porucznik.

Rozpoczyna się walka. Parowiec nie jest już bezbronnym baranem, który daje się porwać wilkowi. Wilk natrafił na odyńca, mającego tęgie kły, gotowego zadać niemi cios śmiertelny.

Łódź Nr. 100 nie strzela, bo cóżby znaczyły jej małe pociski z działa polowego w porównaniu z temi wielkiemi granatami, wypuszczanemi z armaty morskiej?

Zresztą nie chce się narażać jeszcze bardziej na pociski. Sunie ostrożnie, zmieniając od czasu kierunek; pragnie zbliżyć się na strzał z torpedy i zakończyć te zapasy dla siebie bardzo niebezpieczne.

Działa z parowca grzmią; jeden z granatów rozerwał się tak blisko wieżyczki, że odłamek zrobił zaklęśnięcie w zbroi, omal nie przebijając jej na wylot. Już sto metrów tylko dzieli obu przeciwników. Parowiec zabiera się do użycia broni, jeszcze straszniejszej, aniżeli działowy pocisk. Staje przodem do nurkowca, rozpędza się całą siłą pary i płynie prosto na wroga, w zamiarze uderzenia go dziobem żelaznym.

Jeżeli mu się to uda, łódź podwodna jest zgubiona bez ratunku.

Ale kapitan śledzi bacznym wzrokiem każdy ruch przeciwnika; w samą porę wydaje rozkaz zmiany kierunku. Okręt przemyka tuż koło łodzi Nr. 100, nie dotknąwszy jej; teraz z kolei nurkowiec gotuje się do zadania ciosu.

Zwraca się przodem; kapitan posyła rozkaz przez telefon: „Wyrzucić torpedę“. Wypuszczony natychmiast pocisk trafia do celu. Rozlega się straszny huk; olbrzym pochyla się i wnet znika w toni. Ale nie jest to Rotterdam!

Nikt nie ocalał. Okrutne dzieło zniszczenia dokonane. Nawet nia było by czasu ratować rozbitków. Torpeda w ciągu paru minut zrobiła swoje.

To był pierwszy czyn łodzi Nr. 100 po ogłoszeniu zaostrzonej wojny podmorskiej. Po nim nastąpiły inne. Nie było dnia, w którymby łódź Nr. 100 nie pogrążyła w topieli jakiegoś statku, w najgorszym razie barki rybackiej.

Równocześnie posuwała się coraz bardziej na zachód.

IX.

Miłość i obowiązek.

Łódź Nr. 100 krążyła, nie napotykając nieprzyjaciela. Nawet okręty wojenne, zakute od stóp do głów w stalowy pancerz, nadziane jak jeż kolcami, różnej wielkości działami, nie ośmielały się w pojedynkę zapuszczać w te okolice.

Porucznik Robert uspokoił się nieco. Miał nadzieję, że żona otrzymała w porę ostrzeżenie i nie narazi się na niebezpieczeństwo.

Kapitan kazał mu dyżurować przy telegrafie bez drutu, przy którego pomocy którego łódź Nr. 100, chociaż znajdowała się na morzu, zdala od lądu, mogła w każdej chwili otrzymywać rozkazy od swej władzy.

Aż do wieczora nie było żadnej wieści. Ale kiedy już porucznik zamierzał ustąpić miejsca Kleinowi, na którego przypadała kolejka czuwania przy aparatach, nagle w telefonie odezwał się sygnał.

Porucznik z uwagą przyjął depeszę, która brzmiała jak następuje:

„Wielki parowiec holenderski „Roterdam“ znajduje się w odległości dwustu mil morskich od wybrzeży Anglji. Wiezie on na pokładzie jenerała

angielskiego, bawełnę, samochody i inne zapasy wojenne. Nie przepuścić w żadnym wypadku“.

Porucznik zdrętwiał, odczytawszy tę wiadomość. A więc „Roterdam“ znajduje się już tak blisko europejskiego wybrzeża? W takim razie żona nie otrzymała ostrzeżenia w porę i znajduje się na holendęrskim statku. Na domiar złego statek ten podjął się przewozu kontrabandy wojennej.

„Boże Wszechmocny, miej ich w swojej opiece!“

Porucznik trzymał w ręku fatalną wiadomość, i patrzył na nią obłąkanem okiem.

Przez chwilę wzięłą go chętka wrzucić ją do morza. W takim razie kapitan nic by nie wiedział o zbliżaniu się „Roterdamu“, który może zdołałby przedostać się szczęśliwie po przez zagrodę z nurkowców.

Ale po chwili wahania odepchnął od siebie tę myśl. Musi oddać depeszę do przeczytania kapitanowi, musi pozwolić, żeby na Roterdam zaczęto polować, jak na każdy inny okręt, wiozący przybory wojenne, musi..

Może się znajdzie inny sposób ocalenia najdroższych... Zresztą ukrycie depeszy wydałoby się prędzej czy później, a on poniósłby surową karę. Nie, niech się dzieje co chce!

Poszedł do kajuty kapitana i w milczeniu wręczył na otrzymaną przed chwilą wiadomość.

Komendant łodzi Nr. 100 nic nie wiedział, że pani Robertowa ma wracać na „Roterdamie“, przeczytał więc depeszę zupełnie obojętnie.

— Musimy koniecznie zatopić ten statek. Znajduje się na nim wojskowy z nieprzyjacielskiej armji

i w dodatku piastuje rangę tak wysoką. Ja sam będę dyżurował w wieży, żeby ten statek czasem się nam nie wymknął!

Kapitan Szwarc zacierał ręce z zadowolenia, że taka gruba ryba może wpaść w zastawione sieci. Porucznik wysłuchał jego słów w milczeniu. Nie zdradził się ani jednem spojrzeniem. Nie przestawał jednak obmyślać sposobu ocalenia ukochanej żony i anielskich dzieciaczków, których obraz nie schodził mu z wyobraźni.

— Co czynić, co czynić? powtarzał sobie w duchu, miotany rozpaczą. Czuł, że nie potrafi pozostawić rzeczy ich naturalnemu biegowi; przecież nie przyłoży ręki do tego okropnego dzieła, które ma pogrążyć w toni morskiej jego największe ukochanie, cały cel jego życia! To byłoby coś tak okropnego, coś tak nieludzkiego, że aż myśleć o tem się nie chce! Wyzna wszystko kapitanowi, będzie go prosił o pomoc, o ratunek. Ale miał wątpliwości, czy jego wstawiennictwo odniesie jaki skutek.

Siedział w kajucie i wahał się.

Tymczasem łódź Nr. 100 z całą szybkością płynęła w kierunku wskazanym przez wiadomość telegraficzną. Porucznik liczył niemal każde uderzenie stalowej śruby o fale i wciąż patrzył na zegarek. Może już za parę godzin nastąpi spotkanie. Nie podobna tracić ani jednej minuty drogiego czasu!

Wsparł się w sobie i wrócił do kajuty kapitana, który właśnie wybierał się zająć miejsce w wieżyczce, gdzie dotąd znajdował się starszy porucznik.

— Kapitanie — rzekł, jestem w niebezpieczeństwie największem z pomiędzy tych wszystkich, jakie przechodziłem kiedykolwiek! rzekł; błagam cię, ratuj mnie!

Stary wilk morski spojrzał ze zdziwieniem na młodego oficera. Wiedział bowiem, że ten znajdował się już w kilku gorących potyczkach na swoim okręcie, narażał się obojętnie na śmierć i na kalectwo. Wszyscy znali jego odwagę. Słowa te uderzyły więc kapitana.

— O ile mi wiadomo, nic panu nie grozi gorszego, niż nam wszystkim tutaj — rzekł.

— Niestety, idzie tu o osoby, które kocham bardziej, niż życie własne, to jest o moją najdroższą żonę i moje drobne dzieci, odparł poważnie Robert.

Kapitan zrobił ruch zniecierpliwienia.

— Nie rozumiem pana — rzekł. — Jakże mogę pomódz pańskiej żonie i pańskim dzieciom, będąc tutaj na pełnem morzu?

— Moja żona znajduje się z dziećmi na pokładzie Rotterdamu — odparł zdławionym głosem porucznik. – Liczyłem na to, że zobaczę się z nią podczas mojego urlopu i podałem depeszę, żeby wracała do Europy...

Porucznik nie mógł dłużej mówić; łzy bowiem zdławiły mu gardło. Zamilkł i stał jak kamienny posąg z oczyma utkwionymi w podłogę.

— To fatalne, okropne! — zawołał kapitan, zrywając się z miejsca. — Żałuję pana serdecznie... Tam do stu min!

Porucznik podniósł oczy i wlepił je w oblicze kapitana w śmiertelnem oczekiwaniu wyroku.

— Rozumiem pańskie położenie – mówił dalej stary wilk morski.—Ale postaw się pan na mojem miejscu. Jestem żołnierzem i muszę spełniać rozkazy, chociażby tam znajdowała się moja własna żona i moje własne dzieci! Obowiązek to święta rzecz; nikomu nie wolno go naruszyć. Pan pierwszy powiedziałbyś w takim razie o mnie, żem nie żołnierz, ale podły złoczyńca! Nie, nie żądaj pan nic odemnie! Z góry panu bowiem muszę powiedzieć, że to się na nic nie przyda! Służę od trzydziestu lat z górą i przez całe życie nie zboczyłem ani na jeden krok z drogi obowiązku. Boże dopomóż, żebym umarł takim, jakim do dziś dnia jestem.

— Nie miałem zamiaru namawiać cię, kapitanie, ażebyś postąpił wbrew obowiązkowi i sumieniu — rzekł Robert zimno. — Ale...

— Ale co? Mów pan, czego odemnie miałeś zamiar żądać?

— Ja sam nie wiem, kapitanie — bełkotał porucznik.--Zdawało mi się jednak, że jest jakiś sposób ocalenia mojej żony i moich ukochanych synów, bez uchylania się od obowiązku. Odwołuję się przeto do twojego rozumu. Uczyń co dla mnie, jeżeli możesz jeżeli zaś nie...

Porucznik uciął. W jego oczach ukazały się perliste łzy.

— Nie można, według mnie, pogodzić ze sobą takich sprzeczności, poruczniku – odparł kapitan. Jedno z dwojga: albo spełnię rozkaz, który trzymam w ręku, to jest zatopię „Rotterdam“, albo też nie zatopię go i wówczas pańska żona i dzieci ocaleją, ale ja nie spełnię rozkazu. To jest chyba bardzo proste, nieprawdaż?

Porucznik stał ze spuszczoną głową; istotnie na to nie było co odpowiedzieć.

— A gdyby?...

— Mów pan! Jeżeli pogodzisz pan jedno z drugiem, chętnie przyczynię się według możności...

Kapitan, jak widzimy, nie był skałą, o którą rozbić się musiała każda nadzieja.

— A gdyby ostrzedz „Rotterdam“?

— Ostrzedz? — powtórzył kapitan, podnosząc brwi. To znaczy?

— Moglibyśmy przecież postąpić z nim tak, jak dawniej, kiedy wojna podmorska nie była zaostrzona. Moglibyśmy więc wypłynąć na powierzchnię, dać strzał armatni, pozwolić załodze i podróżnym zająć miejsca w łodziach... a kiedy by się już wszyscy uratowali, wówczas dopiero zatopilibyśmy „Roterdam“...

— Byłoby to każdym razie ominięciem wyraźnego rozkazu. Pozatem zaś narazilibyśmy naszą łódź na niebezpieczeństwo. Wiadomo, że „Roterdam“ jest uzbrojony. Ustawiono na nim sześć dział morskich, które zatem mogą łatwo jednym, albo dwoma pociskami, trafnie wymierzonymi, pogrążyć nas w przepaści oceanu.

Rozumiesz pan, że dla ocalenia kilku osób, nie mogę narażać na śmierć całej naszej załogi, a państwa na utratę statku, który jest dziś tak potrzebny dla przyspieszenia zwycięstwa.

Komendant miał słuszność niezaprzeczoną. Robert nic nie odrzekł. Ale w jego duszy wrzało istne piekło.

— W takim razie...

Przestraszył się jednak własnych słów, które już miał na końcu języka i uciął nagle.

— Co pan chciałeś powiedzieć? — zawołał kapitan, chwytając go za rękę...

— Nic, nic, — bełkotał nieszczęśliwy ojciec. — Chciałem tylko powiedzieć, że nie mogę być zabójcą własnej żony i własnych dzieci!

— Żal mi pana, poruczniku. Odwagi, powołaj wszystkie siły swojej duszy na pomoc w tem ciężkiem nad wyraz położeniu. Niech Bóg ma pana w swojej opiece. Co do mnie jednak nie mogę nic uczynić dla pana...

— Nic? — powtórzył jak maszyna Robert. Nic?...

Schwycił się za głowę. Stał jeszcze chwilę, potem, nie chcąc widocznie sprawiać przykrości przełożonemu swoją rozpaczą, odszedł do kajuty i rzucił się bezwładnie na łóżko.

IX.

Okropna chwila.

Leżącemu Robertowi przychodziły do głowy prawdziwie warjackie myśli. Nie, ja nie mogę! To nad moje siły. Nie mogę ich zabić! szeptał, wijąc się w boleści. Lepiej niech ta łódź przeklęta razem ze wszystkiemi, co się na niej znajdują, wyleci w powietrze, zanim wypuści zabójczą torpedę na Roterdam! Pójdę, podłożę nabój dynamitowy pod skład torped i skończy się wszystko w jednej chwili.

Zerwał się, żeby natychmiast uskutecznić swój rozpaczliwy zamiar; ale zaledwie uczynił parę kroków, opamiętał się.

Nie! Mnie wolno umrzeć, jeżeli nie zdołam przeżyć tej okropnej chwili, która się zbliża, rzekł sobie. Nie mam jednak prawa godzić na życie kolegów. To byłoby z mojej strony podłością. Zginę sam raczej. Niech się dzieje co chce! I tak nie zdołałbym po tem wszystkiem żyć ani jednego dnia dłużej.

Schwycił rewolwer i przyłożył zimną lufę do skroni.

— Jeszcze czas! pomyślał. Może jaki cud zdoła ocalić drogich mojemu sercu. Trzeba wychylić do

dna czarę goryczy, a potem, jeżeli się nie da inaczej...

Odłożył broń zabójczą i zapadł w głębokie rozmyślanie. Szukał jakiegoś środka. Niestety jednak, nie potrafił nic wymyślić. A tymczasem łódz Nr. 100 zbliżała się szybko do miejsca, w którem miał niebawem ukazać się „Roterdam“.

Czas płynął, śruba uderzała miarowo w fale, pędząc nurkowca na spotkanie ofiary.

— Ostrzedz, ich ostrzedz, za jaką bądź cenę! dać im czas na opuszczenie „Roterdamu“. A potem odszukać ich na pustyni oceanu i pochwycić w objęcia ocalonych, szczęśliwych. Oto cel! Ale jak go dopiąć?

Podczas gdy Robert usiłował rozważać to pytanie, łódź Nr. 100 zatrzymała się nagle. Dosięgnęła znać celu swej podróży.

Porucznik wybiegł na pokład, który zaledwie nieco wystawał nad powierzchnię morza i rzucił niespokojnym wzrokiem w dal.

Jeszcze nic nie było widać. Pogoda była jednak piękna. Morze rzucało małemi falami. W takich okolicznościach rozbitkowie mogli się łatwo uratować, jeżeliby tylko mieli czas zająć miejsca w spuszczonych łodziach.

Straszne narzędzie zniszczenia czatowało teraz na swoją zdobycz, która lada chwila mogła się ukazać na widnokręgu.

Porucznik pobiegł po lunetę i przez silne szkła zaczął badać widnokrąg. Upłynęła jedna godzina, potem druga, a nic nie zwiastowało pojawienia się „Roterdamu“. Czyżby się opóźnił? Ale nie, to nie-

możliwe! Płynie na swoją zgubę! Ukazała się mała łódź rybacka. Nurkowiec rzucił się w pogoń; niebawem dosięgnął ją i pogrążył w otchłani. Potem nastąpiła dłuższa przerwa. Porucznik nie schodził z pokładu, nie odrywał lunety od oka.

Nareszcie, nareszcie na linii zetknięcia się nieba z morzem dostrzegł ciemny obłoczek dymu.

Nie ulegało wątpliwości; zbliżał się jakiś parowiec, ale jeszcze nie wyjrzał z poza wypukłości ziemi. Po upływie pół godziny porucznik ujrzał wierzchołki masztów, potem dwa kominy.

Każdy inny człowiek powiedziałby sobie, że jest to albo „*Roterdam*“ albo jaki inny parowiec. Czyż mało statków pruje fale morskie, pomimo obecności nurkowców? Ale porucznik nie miał żadnej wątpliwości. „To właśnie jest statek, na którym znajdują się moi najdrożsi“, pomyślał.

I był tego pewny, niezłomnie pewny! Dlaczego? Nikt, a tembardziej porucznik Robert, nie potrafiłby sobie tego wytłómaczyć.

Byłoż to jasnowidzenie, albo jak chcą inni widzenie na odległość, owo tajemnicze zjawisko odbywające się w wyjątkowych okolicznościach w duszy ludzkiej, uznawane przez jednych, a odrzucane i wyśmiewane przez innych? Mniejsza o to! Dość, że porucznik Robert wiedział napewno, nie zaś odgadywał, że te kominy, które dopiero co wyjrzały z poza linji widnokręgu, należą do „Roterdamu“. Czuł, że dusza opuściła jego ciało na chwilę i poleciała na anielskich skrzydłach tam daleko, dowiedziała się o strasznej prawdzie, i wróciła z ostrzeżeniem. Ba! Robertowi wydawało się nawet, że

widzi swoją młodą małżonkę, stojącą na pokładzie i wpatrującą się w dal, tak jak on w tej chwili. Rozeznaje jej piękne rysy, dostrzega troskę rozlaną po twarzy opalonej w słońcu.

Powziąwszy raz tę dziwną pewność, porucznik w jednej chwili decyduje się. Powolnym, ale pewnym krokiem, wraca do swojej kajuty, bierze pas korkowy i wybiega na pomost.

Nachyla się do szybki w wieży żelaznej i widzi przez szkła surowe oblicze kapitana, który mu daje znaki; przykłada ucho i słyszy wyraźnie:

— Zejdź pan do kajuty, jakiś okręt zbliża się; musimy się zanurzyć, żeby nas nie dostrzegł.

— Według rozkazu, idę! odpowiada, jak może najgłośniej. Nachyla się u zejścia, ale zamiast postawić stopę na żelaznych stopniach, prowadzących do wnętrza statku, robi parę kroków w bok.

Stoi na samym brzegu pomostu. Zapuszcza wzrok w dal. Już wyraźnie rysuje się kadłub „Roterdamu“! Przesyła mu pocałunek, potem cicho zanurza się w fali. Płynie śmiało w kierunku kominów, które zioną wstęgami czarnego dymu.

W jego duszy budzi się niezłomne postanowienie: dosięgnie statku skazanego na zagładę, wprzód zanim go ugodzi zabójcza torpeda. Tak chce! Tego dopnie, chyba że go siły zawiodą! Wie, że jest doskonałym pływakiem, że przez kilka godzin potrafi utrzymać się na powierzchni morza. A w dodatku to morze sprzyja mu widocznie, całuje go łagodną falą, wiatr popycha go naprzód w pożądanym kierunku. Musi się jednak bardzo spieszyć, żeby w porę zdążyć. Płynie miarowo, uderzając

rękami i nogami w wodę. Posuwa się powoli, ale ciągle. Oczy jego są utkwione w statek. Bada uważnie jego drogę, starając się ją przeciąć.

Czy dosięgnie celu? Nie wie! Ale napiął całą swoją męską wolę, przywołał na pomoc wszystkie swoje siły, spotęgowane wielokrotnie miłością i rozpaczą. Płynie, płynie. Nie widzi nawet, że wnet po jego oddaleniu się łódź, spełniając rozkaz kapitana, zanurzyła się w toni. Teraz wygląda z niej tylko rurka peryskopu. Straszne narzędzie śmierci czatuje tam pod osłoną fali i gotuje się spełnić swój straszny czyn. Ale nikt Robertowi nie przeszkadzał!

Parowiec zaś, nie domyślając się, jakie niebezpieczeństwo mu zagraża, płynie dalej, nie zbaczając ze swojej linji ani na jeden włos. Łódź Nr. 100 ma bardzo ułatwione działanie.

Pas ratunkowy krępuje ruchy porucznika. Odwiązuje go.

Niech się dzieje co chce! Jeżeli utonie, tem lepiej. Nie będzie świadkiem okropnej sceny, która lada chwila ma sią rozegrać. Pruje wodę silnemi ramionami, i widzi z radością, że dobrze się kierował. Niebawem znajdzie się akurat na drodze „Roterdamu".

Fala podnosi go na swoim grzbiecie; wówczas może lepiej widzieć w około.

Ma przed sobą wielki parowiec, płynący pod flagą holenderską. Rozeznaje już jej barwy, dzięki swojemu sokolemu wzrokowi marynarza.

Chwilami wątpi, czy zdąży. Trzeba dać jakiś znak! Ale jaki? Krzyk nie doleci na taką odległość.

Porucznik wyciąga z kieszeni mokrą, białą chustkę i macha nią po nad głową.

Może dostrzegą.

Powtarza to kilka razy. Nareszcie zdaje mu się, że go dostrzeżono z pokładu parowca. Ale, o Boże! okręt, chcąc znać przyjść z pomocą rozbitkowi walczącemu z żywiołem, zbliża się doń coraz bardziej, ułatwiając łodzi Nr. 100 wyrzucenie pocisku. To podwaja energję porucznika. Płynie teraz szybciej.

Już tylko pół mili morskiej dzieli go od „Roterdamu“. Tak, bo to „Roterdam“! wyraźnie białemi literami widnieje wypisana jego nazwa na kadłubie. Nie może jej jeszcze odczytać ale — *wie.*

Energja, nawet nadludzka, wyczerpuje się jednak. Uderzenia ramion porucznika nie są już tak silne, jak z początku. Wstępuje w nie omdlałość. Odzież ciąży pływakowi nieznośnie. Ciągnie go w otchłań.

— Nie dopłynę!

Ta straszna myśl przemyka mu się przez głowę. Ale tłumi ją wola.

Musi! musi! chociażby nie wiem co stać się miało!

Odpoczywa nieco, kładąc się na wznak; potem znów przecina wodę miarowemi ruchami.

Bałwan nieco wyższy od innych wyniósł go na swoim grzbiecie. Teraz porucznik przeczytał już nazwę okrętu: „Rotterdam“. Dokładnie widzi duże litery białe na czarnem tle katłuba; radość znowu rozpiera jego piersi.

A więc serce dobrze mu powiedziało, że właśnie na tym, a nie na innym statku znajduje się jego ukochana żona i dziatki. Nie pomylił się. Zwycięstwo! Jeszcze kilkanaście minut wytrwania a spełni swoje zadanie.

Krzyczy, macha znowu chusteczką. Słyszy już dudnienie maszyny, głosy marynarzy zgromadzonych na pokładzie. Cały tłum ludzi stoi przy barjerze, i przypatruje się walce człowieka z żywiołem.

Teraz już mogą go i oni dosłyszeć. Wychyla się jak może najbardziej z toni i rozdziera pierś:

— Łódź podwodna! Szalupy na wodę!!! Szalupy na wodę natychmiast!!!

Powtarza ten złowrogi wyraz, starając się wymawiać go jak najwyraźniej.

Na okręcie powstaje zamieszanie. Zrozumiano go; chwała ci, Boże na wysokościach! Marynarze rzucają się do szalup. Rozlega się zgrzyt łańcuchów, jedna z łodzi spuszcza się i dotyka powierzchni morza. Jest napełniona ludźmi. Widać sukienki kobiece i dziecinne!

Porucznik wytęża wzrok, czy między temi kobietami i dziećmi są oni? Oto pytanie, które go w tej chwili najbardziej obchodzi.

Nie jest tego pewny. Płynie więc dalej.

— Szalupy na wodę! — powtarza z rozpaczą.

Teraz już nie ulega wątpliwości, że ostrzeżenie poskutkowało. W ślad za pierwszą na morzu znalazła się druga, po niej trzecia łódź...

Porucznik jest już tak blisko „*Roterdamu*", że rozeznaje twarze na pokładzie. Szuka między niemi

słodkiego oblicza swojej żony, ale daremnie. Czyżby znajdowała się akurat w swojej kajucie?

Boże, Boże, sprowadź ją tutaj! Niech nie zostanie na skazanym okręcie.

Już sto kroków zaledwie dzieli porucznika od Roterdamu, gdy wtem stało się, to czego się ciągle lękał. Słyszał wyraźnie, jak tuż, niedaleko od niego, pod samą niemal powierzchnią morza, przemknęła się zdradziecka torpeda. Omal nie dotknęła go, widział ją nawet, podobną do olbrzymiego rekina. Jeszcze chwila... Głuchy łoskot, niemiłosiernie suchy, i krótki jak uderzenie młotem, słup niebotyczny rozbitej na pianę wody, pomieszanej z dymem czarnym. Potem porucznik poczuł jakgdyby uderzenie tępem narzędziem w głowę, uderzenie straszne, które w jednej chwili odebrało mu zmysły. Zanurza się, i ciemności ogarnęły go, jakgdyby zstąpił do grobu.

* * *

Czy to była śmierć?

Porucznik, znikając pod wodą skutkiem okropnego wybuchu, który nastąpił tak niedaleko od niego, był pewien, że umiera. A jednak po upływie pewnego czasu, którego nie potrafiłby ocenić, otworzył oczy.

Znajduje się w swojej własnej kajucie, ma owiązaną głowę. Nad jego łóżkiem pali się, jak zwykle, elektryczna lampka, obrzucając go swojem żółtawem światłem. Podnosi dłoń do czoła i natrafia na bandaż.

Ach Boże, Boże, myśli sobie biedak, byłem pastwą strasznego, albo raczej pięknego snu. Musia-

łem dostać gorączki. To wszystko było bredzeniem chorego. Boże, Boże, oni pewnie już nie żyją!

Chciał się zerwać z posłania, ale przekonał się że siły mu nie pozwalają na to; wyciągnął dłoń i dotknął palcem elektrycznego guzika od dzwonka.

Zadźwięczało wyraźnie. Po chwili drzwi żelazne otworzyły się i stanął w nich kapitan łodzi podwodnej № 100.

Robert patrzy na niego ze zdziwieniem.

Tak, niezawodnie, to był sen!

— Jak się masz poruczniku? mówi kapitan Szwarc, wyciągając do niego rękę przyjaźnie. Obawialiśmy się o ciebie. Ale teraz widzę, że to była tylko kontuzja, nic więcej.

A jednak wybuch mógł cię zabić na miejscu. Warjat jesteś! Popełniłeś bowiem prawdziwe szaleństwo!

— A więc to nie był sen! Nie był sen!?

Porucznik zrywa się z okrzykiem radości!

— Ocaleni? Mów pan! ocaleni?

— Kapitan uśmiecha się, cofa się nieco; wysadza głowę do sąsiedniego przedziału i daje jakieś znaki.

Potem usuwa się na bok a we drzwiach ukazuje się anielska kobieca twarz, tak dobrze znajoma porucznikowi.

Robert chce otworzyć szeroko ramiona i ująć w nie ukochaną małżonkę, ale radość odbiera mu siły. Bełkoce niewyraźnie.

— To ty? To ty?

A dzieci?

Postać kobieca nachyla się nad nim. Czuje jej oddech, czuje dotknięcie malinowych ust, które spoczęły na jego czole.

Robi mu się lekko, anielsko na duszy. Wielki kamień spadł mu z piersi i utonął w morzu bezpowrotnie.

— Są, są, odpowiada kobieta, uspokój się, drogi!

Pani Robertowa znika i po chwili wraca, prowadząc za ręce dwóch prześlicznych chłopaczków.

— Uściskajcie ojca, mówi do nich.

Dzieci przypadają do porucznika i wieszają mu się u zwisłej bezwładnie dłoni.

Słyszy ich głosiki. „Tatusiu, tatusiu"! które brzmią w jego uszach, jak najpiękniejsza muzyka.

Robert czuje się szczęśliwy, niewymownie szczęśliwy. Robi mu się słabo ze wzruszenia. Zamyka oczy.

KONIEC

BUMERANG

I.

Ze wspomnień kolonisty australskiego.

Cała ta dziwna przyroda australska, do której nie zdążyliśmy jeszcze nawyknąć na naszej kolonji, po krótkiej dżdżystej porze, budziła się na nowo. Mnie i mojemu bratu Józefowi nie mogło się dotąd w głowach pomieścić, jakim sposobem grudzień i styczeń w Australji i na całej południowej półkuli są najgorętszemi miesiącami w roku. Brak zimy, Boże Narodzenie bez śniegu i bez choinki, do której tęskniliśmy już od dwóch lat, zupełnie odmienne zwierzęta i rośliny, wszystko to stanowiło dla nas ciekawą, lecz niesympatyczną nowość.

Ojciec nasz, porzuciwszy kraj rodzinny, osiadł po kilkunastomiesięcznej włóczędze na północ od stolicy południowej Australji, Adelaidy, w prawdziwej pustyni, i tutaj twardą pracą dobijać się począł utrzymania dla siebie i dla trzech swych wisusów którzy, prawdę mówiąc, więcej sprawiali mu kłopotów, aniżeli przynosili pożytku.

Pierwsze kroki były niezmiernie trudne. Zajęliśmy bowiem kawał żyznej, lecz porosłej gęstemi krzakami równiny, graniczącej z obszernemi łąkami,

na których ojciec chciał, za przykładem innych osadników, hodować owce i konie, gdyż tą drogą najprędzej można dojść w Australji do majątku.

Pozbawieni od dzieciństwa czułej opieki matki, musieliśmy sami sobie radzić, a nadto zajmować się w domu gospodarstwem, narówni z dwoma najętymi służącymi. Było nas trzech: ja Stach najstarszy, średni, imieniem Józef, i młodszy, piętnastoletni dopiero, Michałek, ulubieniec ojca.

Przez pierwsze pół roku zrobiliśmy bardzo dużo: w sierpniu zoraliśmy już kilkanaście morgów, ogrodziliśmy drucianym płotem przeszło 1000 morgów na pastwiska i postawiliśmy dom, w którym zagospodarowaliśmy się prawdziwie po europejsku; mieliśmy nawet bibljotekę, złożoną z kikudziesięciu książek poważnej treści, bo ojciec ani razu nie wracał z miasta, bez pokarmu duchowego.

Zwaliwszy z bark najcięższą robotę, mogliśmy odpocząć nieco po kilkumiesięcznych trudach. Do żniw, które w Australji przypadają około Bożego Narodzenia, był jeszcze kawał czasu. Ojciec nasz pozwolił nam tedy wziąć się do bibljoteki. Będąc sam wykształconym, dbał o nasze umysły równie jak i o ciało; nie żałował swych krótkich wolnych chwil na udzielenie nam części swej wiedzy.

Trzem takim, jak my, osłom, którzy na książkę patrzyli, jak na rozrywkę, wpakować do głowy najpotrzebniejsze wiadomości, była to praca nielada!

Nareszcie przypadek zesłał naszemu kochanemu ojcu wyręczyciela. Pewnego wieczoru do naszej kolonji zajrzał pan Feliks, poczciwy, pięćdziesięcioletni Anglik, który, sterawszy zdrowie w kopalniach

złota i nie dorobiwszy się niczego, przedzierzgnął się na starość w nauczyciela wędrownego.

Taki nauczyciel na pustkowiu, gdzie jedna kolonja od drugiej leży o kilkanaście kilometrów, jest nadzwyczaj pożyteczny; nie przebywa bowiem nigdzie na stałe, lecz przechodzi z miejsca na miejsce, zatrzymując się na kilka miesięcy zimowych tam, gdzie znajdzie trochę pustych głów.

Ojciec z wielką radością przyjął p. Feliksa. Umowa stanęła odrazu: stary górnik za skromną opłatą zobowiązał się nauczyć nas do żniw rachunków, geografji, gramatyki, czyli tego wszystkiego, bez czego żaden ucywilizowany człowiek obejść się nie może. Wiadomości te miały nam zastąpić szkołę, której, na nieszczęście, daremnie byłoby szukać w promieniu choćby stu kilometrów od naszej kolonji.

Zaczęła się tedy nauka.

Ja w książce widziałem tylko przyjemność; to też praca pana Feliksa, co do mnie, nie trafiła na grunt jałowy. Michał przykładał się także nieźle; jeden tylko Józef stanowczo boczył się na starego nauczyciela i przekładał konia lub strzelbę nad jego wykłady.

Pamiętam, zawsze musieliśmy go szukać do lekcji. Ja wybiegałem na pole, Michał krzyczał po lasku, a często nadaremnie. Braciszek wracał z wycieczki dopiero po południu i jakąś marną niby to nowiną starał się okupić przed ojcem swój błąd.

— Widziałem kangury w zbożu, proszę ojca — mówił, stawiając w kącie strzelbę; albo: płot druciany nad rzeką był przewrócony, musiałem go więc naprawić i t. p.

Z początku wybiegi takie udawały mu się; nakoniec jednak ojciec poznał się na nich i przestał wierzyć.

— Nie chcę na teraz twojej opieki—rzekł pewnego razu stanowczo — nie opuszczaj lekcji, bo potem nie zdążysz już powetować straconego czasu; pamiętaj, że pan Feliks do żniw tylko bawi u nas. Gdybyś nie zrobił zadawalających postępów, nie będziesz mógł wziąć udziału w wycieczce do stryja.

Przy tej sposobności dowiedzieliśmy się, że plan podróży, o której ciągle marzyliśmy, nie został zaniechany. Należy tu dodać, że ojciec nasz posiadał brata, takiego, jak i my, kolonistę, który od roku już osiadł nad rzeką, o 400 kilometrów na wschód od nas. Z dziećmi jego, a naszymi braćmi stryjecznymi, oddawna już nie widzieliśmy się, wzdychaliśmy więc ciągle, żeby ich odwiedzić. Odległa wycieczka przez górzysty kraj miała także niepospolity urok w naszych oczach. Łatwo tedy pojąć, że nadzieja tej przyjemnej wizyty stanowiła dla nas niemały bodziec do pracy, ojciec bowiem stanowczo oświadczył zaraz po przybyciu nauczyciela, że weźmie nas z sobą do stryja pod tym tylko warunkiem, jeżeli przejdziemy wskazany z góry program nauk.

Sierpień, wrzesień i październik minęły szybko. Mister Feliks doskonale wykładał. Zgodziliśmy się na to, z wyjątkiem Józefa, który ciągle powtarzał, iż nic nie może zrozumieć.

Co prawda, wykręcał się od lekcji po dawnemu a na nasze przestrogi odpowiadał zwykle:

— Po co mam się spieszyć! trzeci egzamin dopiero w listopadzie.

Czuliśmy, że skończy się to źle, lecz nie mogliśmy wpłynąć na naszego braciszka, żeby zmienił postępowanie.

Tymczasem oznaczony dzień zbliżał się.

Ojciec zapowiedział, że 1 go listopada odbędzie się w jego obecności egzamin z dokonanych przez nas postępów, poczem niezwłocznie mieliśmy wyruszyć w drogę.

Mister Feliks przenosił się do sąsiedniej kolonji, gdzie czekali na niego nowi uczniowie.

Był to pierwszy i ostatni mój popis w naukach. Ojciec zasiadł obok mister Feliksa i zadawał nam zadania arytmetyczne do rozwiązania, pytania z geografji i temat, na który musieliśmy napisać ćwiczenie bez pomyłek gramatycznych.

Wszystko odbywało się nadzwyczaj uroczyście. Ja i Michał wywiązaliśmy się wcale nieźle. Ojciec pochwalił nas nawet. Józef zato, tak jak spodziewaliśmy się, odpowiadał najgorzej.

Paryż np. umieścił w Melbournie; o Missisipi powiedział, że leży nad jeziorem Michigan. Kiedy ojciec spojrzał na jego ćwiczenie, podniósł brwi tak wysoko, że obaj z Michałem o mało nie wybuchnęliśmy śmiechem. Jedne tylko rachunki umiał lepiej od nas, choć prawie wcale niemi się nie zajmował.

— Dziękuję, panie Feliksie—rzekł ojciec, ściskając serdecznie prawicę naszego nauczyciela. — Gdyby nie pańska praca, moje dzieci nie umiałyby nawet tego; bo ja mimo chęci, nie mam czasu ich kształcić; sam nadto zapomniałem, czegom się uczył. No—dodał, zwracając się do nas—teraz na was kolej

wyrazić swą wdzięczność panu. Dał on wam pokosztować tego, co stanowi największe dobrodziejstwo, co wywyższa człowieka ponad wszystkie żyjące istoty, czyni go niezależnym od przyrody, uczy ją zwalczać. Potęgą tą jest wiedza. Im więcej zdołacie jej nabyć, tem lepiej dla nas i dla całej ludzkości; macie początki, obowiązkiem waszym jest iść dalej. Pamiętajcie zawsze, że tylko dzięki wiedzy człowiek z barbarzyńcy stał się tem, czem dziś jest: panem świata. Chcę w was widzieć ludzi rozumnych i dzielnych; chcę wiedzieć, że kiedyś, gdy mnie zabraknie, potraficie dać sobie radę...

To przemówienie wzruszyło nas do łez; ucałowaliśmy ręce skromnego pana Feliksa i podziękowaliśmy ojcu.

— Jedziemy pojutrze, chłopaki — rzekł ojciec— musicie gotować się do drogi.

— Hura! niech żyje podróż! — huknął na cały głos Józio.

— Niepotrzebnie krzyczysz — przerwał mu ojciec — zdaje mi się, że nie pojedziesz z nami; sam chyba rozumiesz, iż pozostały czas trzeba obrócić na powetowanie straconych dni. Musisz po naszym powrocie dowieść, iż lepiej znasz gramatykę, niż teraz. Pan Feliks oddali się jutro, ale jego pomoc nie jest ci niezbędna. Do żniw brak jeszcze trzech tygodni; termin to zupełnie dostateczny.

Wysłuchawszy tych słów, Józio zbladł. Zapomniał bowiem o przestrodze ojca i nie brał jej przytem na serjo.

— Ojczulku najukochańszy — wybuchnął płaczem, rzucając mu się do rąk—weź mnie, przyrze-

kam ci, iż nauczę się doskonale na przyszły rok, czego tylko zechcesz.

Ojciec potrząsnął głową.

— Wybacz, ale wątpię o tem; wszak sam nie pozwoliłeś mi wierzyć twym przyrzeczeniom; przypomnij sobie, ile to razy obiecywałeś, że weźmiesz się do nauki i powetujesz straty.

Na to nie było odpowiedzi; Józio też zamilkł i, stanąwszy w kąciku izby, począł szlochać rozpaczliwie, aż się nam obu serce krajało.

— Proś ojca za nim—szepnął Michał, trącając mnie łokciem.

— Dobrze, ale i ty także — odparłem.

Zawarłszy takie przymierze, pochwyciliśmy ojca za ręce i nuż w prośby za bratem; Michał, zarażony przykładem Józefa, rozbeczał się także nadobre.

— Nie rozumiem was — rzekł ojciec, pojmujecie chyba dobrze, iż nie mogę cofnąć powziętego postanowienia.

— Ojcze, zmniejsz mu karę — rzekłem — ta jest zbyt okrutna.

Nie przypuszczałem nawet, że słowa te dotkną ojca.

— Jakto—zawołał z gniewem—sądzisz więc, że ja wymierzam karę temu leniuchowi? I to jeszcze w dodatku okrutną? Głupi jesteś. Nie miałeś chyba nigdy sposobności przekonać się o mojem okrucieństwie; nie masz bo też pojęcia o tem, jak postępują ze swymi synami ojcowie, zasługujący na miano okrutnych. Wiedz o tem, że nie chcę wcale karać, lecz pozwalam poprostu, żeby brat twój znosił następstwa naturalne swej opieszałości i lekceważe-

nia obowiązków. Dość tego! Józef nie pojedzie, bo nie ma na to czasu: musi uczyć się ortografji.

W słowach ojca brzmiała taka stanowczość, iż nie śmieliśmy nalegać dłużej.

Józio musiał pogodzić się ze smutną koniecznością i patrzeć z żalem na nasze przygotowania do podróży. Nie zajęły one wiele czasu. Konie mieliśmy gotowe, broń w porządku; chodziło tylko o zaopatrzenie się w zapasy żywności na cały tydzień, gdyż w drodze nic kupić nie było można.

Dnia 3 listopada, równo ze świtem, siedliśmy na nasze wierzchowce. Odjazd jednak nie był tak wesoły, jak spodziewaliśmy się, marząc niedawno o nim. Zapłakany Józio, stojący w oknie, zepsuł nam do reszty humor.

Gdy ojciec ruszył wolno za wrota, przesłaliśmy zostającemu braciszkowi kilka serdecznych pocałunków i patrzyliśmy na niego, dopóki nie schował się za krzewy, rosnące po obu stronach drzwi naszego domu.

— Biedny Józio! — westchnąłem półgłosem.

— Mów, co chcesz — rzekł cichutko Michał, nachylając się ku mnie ze swego siodła — ale ja powtarzam za tobą, że tatko bardzo surowo ukarał Józefa. On tam zanudzi się bez nas w samotności.

— Prawdę mówiąc, sam sobie winien, choć zawsze mi go żal — odparłem.

Przez cały czas jechaliśmy, nic nie mówiąc; ojciec zauważył nasze usposobienie i nie przerywał ogólnego milczenia.

Wkrótce przekroczyliśmy granice kolonji i znaleźliśmy się wpośród gęstego lasu eukaliptusów,

ciągnących się, jak mówił ojciec, o trzydzieści mil na wschód. Stryj nasz mieszkał na skraju tej puszczy australskiej; musieliśmy więc trzymać się tej drogi. Na zachód rozpościerały się niezmierzone łąki, zarosłe wysoką, twardą i ostrą trawą, w której, jak nam było wiadomo z doświadczenia, chętnie chowały się kangury, największa zwierzyna australska.

Urządzaliśmy na nie często polowania, głównie dla skór i przyjemności, gdyż mięso tych zwierząt ma smak, do którego trudno się przyzwyczaić.

Bawiło nas niezmiernie, gdy stado kangurów, spłoszone z żeru, uciekało olbrzymiemi susami; zwierzęta, wspierając się na grubych ogonach i odpychając tylnemi nogami, posuwały się naprzód tak szybko, że daremnie byłoby ścigać je konno.

My z ojcem wszakże zawsze używaliśmy tego sposobu; należy bowiem wiedzieć, że kangury męczą się daleko prędzej, niżeli konie; z początku zwykle wyprzedzają jeźdźca; jeżeli jednak nie dawać im przez parę godzin wypoczynku, pozwalają w końcu zbliżyć się do siebie na pewny strzał.

Brała nas chętka urządzić sobie takie wyścigi, lecz ojciec odmówił stanowczo: zapasy żywności były więcej aniżeli dostateczne, a przytem leżała przed nami długa droga; należało tedy oszczędzać sił naszych koni. Wiedziałem nadto, że kungury stanowią najważniejszą zwierzynę dla krajowców i że ci, w braku ich, polują z konieczności na owce osadników i wyrządzają szkody. Zabijać dla przyjemności to okrucieństwo.

Pozwoliliśmy więc ujść gromadzie skoczków.

Rozrywki tymczasem nie brakło; co chwila bowiem spotykaliśmy coś nowego i godnego uwagi; to jakąś nieznaną sobie roślinę, to ślady rozmaitych zwierząt, to oryginalną grupę drzew.

Ojciec, obznajmiony doskonale z miejscową florą, ku czemu głównie pomogły mu książki, objaśniał nam ważniejsze kwestje. Piękna pogoda uprzyjemniała podróż. Gdyby tylko nie te eukaliptusy, które zawsze trzymają liście prostopadle i skutkiem tego nie dają cienia w południe, kiedy najgoręcej, wszystko byłoby dobrze.

Nasze koniki szły raźno, skubiąc od czasu do czasu listki z sąsiednich krzaków, w czem nie stawialiśmy im przeszkód.

Okolica nabierała coraz oryginalniejszego charakteru; o dziesięć mil angielskich od naszej kolonji równina zmieniła się niedostrzegalnie w długie pasma falistych, łagodnie wznoszących się pagórków, z których wierzchołków roztaczał się rozległy widok.

W Australji podróżuje się tak samo bezpiecznie, jak i w Europie; niema tu wcale drapieżnych zwierząt, tak jak w innych częściach świata. Ojciec opowiadał, iż jedyny szkodnik, zebra opossum, gatunek wilka workowatego, zamieszkującego te strony, został już całkiem wytępiony, a i on zresztą nigdy nie napadał na ludzi. Baliśmy się tylko czarnego węża, bardzo jadowitego, który jednak, na szczęście, dość się rzadko napotyka.

Jechaliśmy więc zupełnie swobodnie, zaglądając po drodze do każdej szczeliny pomiędzy wystającemi gdzieniegdzie skałami wapiennemi i zatrzymując się, gdziekolwiek było co ciekawego do obejrzenia.

O drugiej po południu, ze szczytu wysokiego pagórka, na który z trudnością wdarły się nasze koniki, ujrzeliśmy wielką płachtę wody, zamkniętą dokoła w ramie zielonych lasów. Było to jezioro, którego brzegami musieliśmy jechać.

— Proszę ojca — rzekł Michałek, wspinając się na siodle—ja widzę tam nad wodą dym; pewno to jacy podróżni gotują sobie obiad. Czy ich odwiedzimy?

Wistocie braciszek mój nie mylił się; z poza grupy wierzb, rosnących nad samym brzegiem jeziora, wznosiła się w prostej linji ku niebu czarniawa wstęga dymu, nieomylny dowód obecności człowieka.

Ojciec zbadał poważnie wskazane miejsce i potrząsnął głową.

— Może to i ludzie, najprawdopodobniej jacyś nowi koloniści, lub może kopacze złota. Możemy podjechać cokolwiek, choć niezbyt blizko; niewiadomo bowiem, z kim będziemy mieli do czynienia.

Rzekłszy to, uderzył ostrogą swego konia i zjechał wolnym truchtem z pagórka; my podążaliśmy z tyłu. Jechaliśmy przez pół godziny gęstemi krzakami lnu australijskiego, którego szerokie liście doskonale nas ukrywały. Zarośla te graniczyły nad brzegiem jeziora z laskiem płaczących wierzb, z poza którego wydobywał się dym.

Ojciec, pozostawiwszy nas w cieniu rozłożystego drzewa żelaznego, sam wymknął się chyłkiem naprzód. Po upływie dziesięciu minut usłyszeliśmy, jak nas wołał głośno.

— Niema nikogo!— rzekł, gdyśmy się znaleźli obok niego.

Jakoż, w samej rzeczy, dokoła dymiących jeszcze ognisk nie było żywej duszy; liczne ślady dowodziły jednak, że przed godziną najdalej znajdowali się w tem miejscu ludzie.

— To czarni—rzekł ojciec, wskazując na zwęgloną do połowy głowę jakiegoś węża, która wystawała z popiołu — nasi nie wzięliby do ust takiego specjału. Patrzcie, tu znów głowa wielkiej australskiej jaszczurki, obok ślady nogi z długiemi palcami.

— Dzicy!—powtórzył z przestrachem Michał;—więc oni mogą nas napaść?!

Ojciec uśmiechnął się.

— Widzę, że nie grzeszysz nadmiarem odwagi; lecz uspokój się; tutejsi krajowcy, pomimo swej dzikości, nie są bardzo wojowniczego usposobienia względem Europejczyków. Pozostała ich dość mała zaledwie garstka; biedacy ci, prześladowani przez kolonistów za szkody, jakich się dopuszczają na fermach, są godni litości; unikają też białych, jak ognia. Nie dość, że zagarnęliśmy im ziemię, wytępili zwierzynę, z której żyli, ale chcemy jeszcze zabronić im oddychania tem samem powietrzem, co i my.

— To bardzo brzydko! — zawołał oburzony Michał.

— Zgadzam się z tobą, mój chłopcze; Europejczycy postępują bardzo nieszlachetnie; wcale nie pochwalam tych nikczemnych obław, które np. urządził na nich w przeszłym roku nasz sąsiad Kucks, za to, że zabili mu kilka owiec.

— Ale, pamięta ojczulek, oni zranili mu przecie parobka!

— I bardzo słusznie: stawali wtedy w obronie własnego życia; nie można brać im tego za złe.

— A czy zaczepiliby nas, gdybyśmy ich tutaj spotkali?

— Wątpię. W każdym razie — dodał ojciec po chwili namysłu—postaramy się zobaczyć, dokąd dążą ci biedacy. Obawiam się, czy za cel podróży nie obrali naszej kolonji. Dżems i Will nie zdołaliby się im opędzić; straciłbym kilkanaście owiec, a nadto przykroby mi było, gdyby moi ludzie wyrządzili im jaką krzywdę. Pokażemy im się zdaleka, żeby wiedzieli, iż czuwamy nad fermą. Sądząc ze śladów, banda składa się z pięciu osób: z dwóch kobiet i trzech mężczyzn, z których jeden nie ma więcej nad kilkanaście lat.

— To znaczy, że ten mały dziki jest w moim wieku—rzekł Michał. — Ciekawym—dodał ze śmiechem—czy i on się uczy czegoś i czy podobnie, jak i my, musi składać egzamin przed swym ojcem.

— Ależ ma się rozumieć, mój chłopcze. Pomiędzy wychowaniem, jakie ty odbierasz, a jego wychowaniem istnieje wszakże wielka różnica: ty np. uczysz się geografji, twój zaś dziki rówieśnik uczy się orjentować w lesie i wśród gór; czarni nie znają liczb i z trudnością mogą oznaczyć ilość, przechodzącą pięć jednostek; język ich jest nadzwyczaj prosty i pierwotny; przewyższają nas za to znajomością przyrody żywej i znajomością rozmaitych środków, służących im do zaspokojenia pierwotnych potrzeb. Wiadomo ci przecie, iż wynaleźli bumerang, niezmiernie dowcipną broń, której mechanizmu nie potrafimy sobie wytłómaczyć. Widzieliście go: jest to kawałek drzewa płaski i zgięty łukowato na podobieństwo dwóch skrzydeł wiatraka;

broń posiada tę własność, iż powraca do nóg myśliwego, który ją wyrzucił.

— Wyobrażam sobie, jak trudno jej używać— wtąciłem — prawdopodobnie młodzi Australczycy długo muszą się uczyć tej sztuki.

— Jeżeli jesteście ciekawi, mogę wam zrobić podobne widowisko; dzicy nie odeszli daleko; dogonimy ich i zażądamy, żeby w naszej obecności użyli swej ciekawej broni.

Projekt ojca przyjęliśmy z radością. Michał, klasnąwszy w ręce, popędził cwałem śladami bosych nóg, wyciśniętemi wyraźnie na wilgotnej ziemi. Ja z ojcem podążyliśmy za nim.

Przypuszczenie nasze sprawdziło się: nie ubiegliśmy bowiem jednego kilometra, gdy nad brzegiem jeziora ukazała się naszym oczom gromadka czarnych.

Zwolniliśmy trochę jazdy, żeby ich nie przestraszyć; ojciec wyciągnął z kieszeni chustkę i powiewał nią na znak pokojowych zamiarów.

Biedacy, dostrzegłszy nas, rozsypali się w mgnieniu oka po sąsiednich krzakach; butelka z wódką, którą mój ojciec podnosił w górę, wywołała ich wszakże z ukrycia.

Najpierw zjawił się przewódca gromadki, któremu przyjrzałem się z ciekawością; po raz pierwszy bowiem od czasu przybycia mego do Australji wydarzyła mi się sposobność oglądania prawdziwego dzikiego z bronią.

Spotykaliśmy ich już w Adelaidzie i w innych miastach podczas podróży na kolonję; ale byli to albo starcy, trudniący się handlem skór, albo młodzi chłopcy, których wzięto do posług domowych.

Nie wyglądali oni wcale zajmująco: brudni, chudzi, z ogromnemi, poplątanemi, kędzierzawemi czuprynami, z tatuowanemi twarzami, pijani, budzili we mnie wstręt. Chłopcy czynili wrażenie dużych małp, które oglądaliśmy z ojcem w ogrodzie zoologicznym w Sydney.

Mężczyzna, którego mieliśmy przed oczami, przedstawiał prawdziwy typ krajowca, zbliżony do tych, jakie spotykałem niejednokrotnie na kartkach książek, opisujących podróże po Australji. Dźwigał na sobie cały swój rynsztunek bojowy i trzymał się w postawie obronnej. Wysunąwszy głowę z poza dużej tarczy skórzanej, mierzył nas nieufnie czarnemi, świecącemi oczami; zauważyłem natychmiast jego bumerang, wiszący na rzemyku u pasa.

Kilka przyjaznych gestów z naszej strony ośmieliło go, gdyż złożył na ziemi swój puklerz i dzidę, poczem, zbliżywszy się, wyciągnął rękę po manierkę, którą mu ojciec podawał.

— A gdzie inni?—zagadnął Michaś, oglądając się dokoła.

Dziki zrozumiał widocznie, o co chodziło, gdyż podniósł wysoko rękę. Na ten znak wypełzły z krzaków dwie kobiety, obładowane rozmaitemi sprzętami, a z poza pnia sąsiedniego eukaliptusa ukazała się kędzierzawa głowa młodego dzikiego.

Ojciec przemówił kilka słów, chcąc upewnić krajowców o swem przyjacielskiem usposobieniu; ku wielkiemu naszemu zdziwieniu, mężczyzna odpowiedział po angielsku, choć, co prawda, poprzekręcanemi niemiłosiernie wyrazami; szyk ich pozo-

stawiał wiele do życzenia. Pomagając sobie gestami, można było jako tako z nim się rozmówić.

Ojciec wyraził mu swe życzenie zobaczenia rzutu bumeranga.

Zamiast odpowiedzi, dziki pochwycił bumerang i, świsnąwszy przeraźliwie, wyrzucił go w powietrze.

Śledziliśmy ciekawie ruch drewna; z początku leciało ono tuż ponad ziemią, kręcąc się szybko; poczem, przebiegłszy jakie 80 kroków, powoli jęło się wznosić, wracać, aż wreszcie, po upływie kilkunastu sekund, upadło tuż u nóg dzikiego.

— Brawo! — zawołał ojciec.

— Ależ to cudowna broń! — wykrzyknął z zapałem Michał. I, zeskoczywszy z konia, podniósł bumerang, chcąc naśladować krajowca.

Pomimo kilkakrotnych wysiłków nie udało mu się jednak wypuścić jak należy bumeranga; broń przebiegła, co prawda, sporą przestrzeń, ale nie wracała wcale.

Ja i ojciec próbowaliśmy także, lecz również bezskutecznie.

— No, teraz niech mały pokaże, co umie! — rzekł ojciec, wskazując na chłopca.

Na skinienie naszego czarnego mistrza młody Australczyk poskoczył, jak sprężyna i, wyszczerzywszy białe zęby z zadowolenia, wziął do ręki bumerang.

Właśnie miał go wyrzucić, gdy nagle z zarośli wypadł dziki, któregośmy dotąd nie spostrzegli i z żywemi gestami zbliżył się do towarzyszów.

Chwilkę szwargotali coś pomiędzy sobą, poczem, jakby zelektryzowani, podskoczyli do góry i, pozostawiwszy tarcze pod opieką swych kobiet, wdra-

pali się na pobliskie drzewo z prawdziwie małpią zręcznością.

— Cóż to ma znaczyć? — szepnął Michał.

Odpowiedź sama się nastręczyła. Dzicy, siedząc na najwyższych gałęziach, wpatrywali się z natężoną uwagą w grupę niedaleko rosnących krzewów, które wyraźnie się poruszały. Po chwili z zarośli wynurzyły się trzy długie, czerniawe szyje zupełnie podobne do wężowych.

— To nie węże — rzekłem, dostrzegłszy, że owe głowy były zaopatrzone w dzioby.

— Tylko co? — zagadnął ojciec.

— To jakieś ptaki.

— Kazuary—wtrącił Michał cichutko—podchodzą tutaj; zapewne chcą napić się wody z jeziora.

— Będzie polowańko; zdaje mi się, że dzicy nie wypuszczą takiej grubej zwierzyny.

Jak przewidziałem, tak się stało; obaj krajowcy zeskoczyli nagle ze stanowiska obserwacyjnego i ostrożnie przyczołgali się do nas, prosząc, abyśmy zsiedli z koni. Ma się rozumieć, że chętnie uczyniliśmy zadość ich żądaniu. Niebawem ukryliśmy się wszyscy doskonale w krzakach, skąd było widać cały stok pagórka i zbliżające się wolno kazuary.

— Poczekajcie, namówię ich, żeby pozwolili popisać się temu malcowi i rzekł ojciec.—Będziecie mieli sposobność przekonać się o jego wprawie.

Rzecz ułożono natychmiast; pełna butelka wódki i garść tytuniu przezwyciężyły niechęć starego krajowca; wziął on swój bumerang i wręczył go malcowi.

Przygotowania do polowania były niezwykłe; z dźwiganych przez kobiety tobołków obaj dzicy

wyciągnęli skóry, zdjęte z dawniej zabitych kazuarów i szybko narzucili je sobie na plecy; lewą rękę każdy z nich umieścił w szyi, w prawą zaś wziął bumerang, i po chwili ujrzeliśmy przed sobą dwa duże ptaki, poruszające głowami, schylające się do trawy, słowem do złudzenia naśladujące zachowanie się żywych.

Tak przebrani, czarni wyszli z ukrywających nas zarośli i powoli poczęli się zbliżać do kazuarów, nie przeczuwających podejścia.

Śledziliśmy każdy ich ruch, zaciekawieni rezultatem tego oryginalnego polowania. Niebawem zdradzieckie kazuary znalazły się o sto kroków zaledwie od swych ofiar. Właśnie chciałem trącić łokciem Michała, gdy wtem usłyszałem świst bumeranga.

Młody krajowiec, zrzuciwszy z siebie nagle przebranie, wyprostował się i z zamachem wypuścił broń do najbliższego ptaka.

Przekonaliśmy się jednak, że cios był źle obliczony; bumerang bowiem, zamiast uderzyć w cel, począł się wznosić i, nie dosięgnąwszy go, upadł o kilkanaście kroków od niezręcznego myśliwca.

Drugi dziki wyrzucił także swoją broń, lecz spłoszone ptaki zdołały jej uniknąć i po chwili znikły w krzakach.

Spojrzeliśmy na stojącego obok nas dzikiego. Był on jakby zawstydzony; wybełkotał parę niezrozumiałych słów, poczem, porwawszy swą lancę, rzucił się jak tygrys naprzód, kilkunastoma olbrzymiemi skokami dopadł schylającego się po bume-

rang chłopaka i, zanim zdołaliśmy krzyknąć, wymierzył mu straszliwy cios w plecy.

— Mój Boże, on go zabije!—krzyknął z płaczem Michał, biegnąc naprzód; ojcze, nie pozwól na to!

Poskoczyliśmy obaj na ratunek małego Australczyka; ojciec, wziąwszy strzelbę za koniec lufy, uderzył kolbą w plecy starego murzyna i potężnem uderzeniem pięści odepchnął go na bok.

— Łotrze, coś mu zrobił?—krzyknął, wskazując na leżącego malca.

Dziki nic nie odpowiedział; podniósł upuszczoną łancę i z najzimniejszą krwią począł ją ocierać w trawie.

Ukląkłem nad nieszczęśliwym chłopcem: miał rękę przeszytą na wylot ostrzem dzidy i jęczał żałośnie. Podniosłem go i poprosiwszy ojca o wódkę, wlałem kilka kropel w usta rannego, poczem przewiązałem krwawiącą rękę sporządzonym na prędce bandażem. Michał pomagał mi w tem.

Kiedyśmy skończyli opatrunek i obejrzeli się dokoła, dzikich już nie było. Korzystając z naszego zajęcia się chłopakiem, znikli bez śladu w gęstych zaroślach.

Ojciec nasz powrócił, prowadząc konie za uzdy. Chciał on chwycić okrutnego krajowca, lecz daremnie; cała gromadka uszła, zabierając z sobą wódkę i tytuń, przeznaczone na nagrodę dla biednego chłopca.

Zbytecznem byłoby dodawać, że zabraliśmy z sobą rannego i pielęgnowaliśmy go na wyścigi, póki nie przyszedł do zdrowia. Dziś gdy to piszę, jest on naszym kolegą, uczy się wraz z nami w gim-

nazjum w Adelaidzie i zdaje zawsze egzaminy celująco. Opowiada on wesoło o swym pierwszym egzaminie z władania bumerangiem, który składał przed swym okrutnym ojcem.

Co do Józia, ten, dowiedziawszy się o sposobie wykładów i wymierzania kar u dzikich, czyni należyte postępy w naukach i przy każdej sposobności wyraża zadowolenie, że urodził się dzieckiem Europejczyka, nie zaś czarnego Australczyka; przyznaje przytem otwarcie, że kara, na jaką zasłużył za niezłożenie pierwszego egzaminu, była żartem w porównaniu z tą, jaką musiał wycierpieć jego czarny kolega.

ZŁOŚLIWY SŁOŃ

Złośliwy słoń.

Leżałem wyciągnięty w moim hamaku i z rozkoszą wciągałem w płuca chłodniejące powietrze, które poczynało się nasycać wieczornemi oparami. Podzwrotnikowe słońce muskało ognistemi promieniami szczyty palm nad moją głową, poruszane biegnącym od strony puszczy wietrzykiem, ledwie dostrzegalnym.

W Indjach Europejczyk żyć zaczyna dopiero po zachodzie słońca. Od czasu przyjazdu mego do pułku z trudnością usiłowałem włożyć się w ten tryb życia, dziwny dla mieszkańca mglistego Albionu. Monotonne czynności młodszego oficera nie pochłaniały mi wiele czasu. Ukończywszy o 8-ej rano obowiązujące ćwiczenia z mymi cypajami, resztę dnia przepędzałem w słodkiej bezczynności i trzeba było jakiejś nadzwyczajnej okoliczności, aby mię z niej wyrwać.

Z przyjemnością spoglądałem na gwiazdę dzienną, gasnącą po za łańcuchem sąsiednich gór, czekając, aż się ochłodzi, chciałem bowiem pójść na zwykłą wieczorną pogawędkę z kolegami. Przedmiotem jej były prawie zawsze dawne i świeże przygody myśliwskie, których każdy z nas doznał niemało w czasie włóczęgi służbowej po Indjach.

O ósmej siedzieliśmy w komplecie na obszernej werandzie; nie brakło nawet chorowitego i zawsze stękającego Harry'ego.

— Ciekawa nowina — rzekł pułkownik, zapalając cygaro — dziś rano dowiedziałem się, że gdzieś w pobliżu plantacji pojawiła się gruba zwierzyna. Mój Nodi straszne rzeczy opowiada o jakimś złośliwym słoniu, w którego, podług wieści, chodzących między krajowcami, wstąpić miała dusza zmarłego niedawno, a odznaczającego się wielkiem okrucieństwem ich naczelnika. Ale on sam objaśni nas najlepiej. Jak to było, Nodi? — dodał, zwracając się do usługującego nam Indusa.

— Źle jest mówić o tem dużo, sir — odrzekł półgłosem Nodi, drżącemi rękami stawiając na stole chłodniki — on może trafić i tutaj.

Zabobonna trwoga, malująca się w oczach Nodiego, wywołała głośne śmiechy w całem towarzystwie.

— Nie będziemy czekali na to — odrzekłem. Gdybym wiedział, gdzie można spotkać tego waszego odrodzonego naczelnika, sambym poszedł go szukać, ażeby złożyć mu uszanowanie.

— Doskonała myśl! — zawołał pułkownik — dziś widziano go o 2 mile stąd na plantacji trzciny cukrowej, położonej tuż na skraju puszczy. Włóczęga, wracając po obiedzie do lasu, spotkał jakiegoś parobka i stratował go podobno na śmierć. Stąd owe tajemnicze przypuszczenia, które z taką trwogą wypowiedział mi przy obiedzie Nodi. Gdybyśmy we dwóch wyruszyli w nocy, o 3-ej stanęlibyśmy na miejscu; przypuszczam, że słoń, zasmakowawszy

w słodkiej trzcinie, ponowi i dzisiejszej nocy wyprawę na plantację. Usadowiwszy się więc w pobliżu, znajdziemy ładną sposobność, gdy będzie wracał z uczty, posłaćby mu kulę Martini'ego.

Nie namyślałem się długo.

Zjadłszy naprędce wieczerzę, wróciłem do domu i nakazałem kategorycznie memu służącemu, ażeby przygotował się na wyprawę. Ma się rozumieć, ani jednem słówkiem nie wspomniałem o jej celu.

O północy jechaliśmy już z pułkownikiem wązką drogą, jasno oświetloną promieniami księżyca w pełni.

Aniśmy się obejrzeli, gdy już minęły dwie godziny monotonnej drogi, i przed nami, na ciemnoszafirowem tle nieba, zarysowały się sylwetki zabudowań plantacji, nawiedzanej przez złośliwego słonia.

Jej właściciel, opasły Holender, dowiedziawszy się o celu naszej wycieczki, przyjął nas z otwartemi rękami i skwapliwie udzielił wszelkich objaśnień.

Ułożyliśmy się, iż pułkownik zajmie stanowisko na polu w trzcinie, ja zaś na skraju lasu, do którego prawdopodobnie wracać miała nad ranem zwierzyna.

Idąc śladami, pozostawionemi przez słonia, dotarłem do pierwszych drzew puszczy, która w tem miejscu podeptanemi magnoljami i porozrywaną tkanką pnączów zdradzała drogę obraną wczoraj przez słonia. Rozłożysty sykomor, którego gałęzie rozchodziły się samotnie w stronę pola, wydał mi się najodpowiedniejszym na pomieszczenie dla me-

go służącego, który miał mię umówionym sygnałem uwiadomić o zbliżaniu się zwierza.

Kazałem mu wedrzeć się na najwyższy konar i śledzić bacznie łany trzciny; sam zaś umieściłem się o kilkadziesiąt kroków dalej w gęstwinie ljan, tuż obok szlaku, pozostawionego przez słonia; w ten sposób zachowałem sobie pewną niezbędną swobodę ruchów.

Z obranego punktu przez szpary w gąszczu mogłem dojrzeć sykomor, na którym siedział mój służący, oraz niektóre części pola, należącego do plantacji.

Spojrzałem na zegarek; przy promieniach księżyca, zbłąkanych w pośród otaczających mię pnączów, dostrzegłem, iż była właśnie trzecia po północy. Do świtu pozostawało zatem całe cztery godziny.

Podobnie długie oczekiwanie pośród puszczy nie było najprzyjemiejsze; nadstawiałem ucha na każdy szelest i na wszystkie owe tajemnicze odgłosy, dochodzące mnie z wilgotnem tchnieniem wiatru.

Trzeba się było mieć na baczności; wiedziałem bowiem, że w Indjach, nawet w pobliżu zamieszkałych siedzib ludzkich, nietrudno się spotkać z węszącym zdobycz tygrysem.

Na drzewie byłbym zupełnie bezpieczny, nie chciałem jednak włazić na nie, gdyż w ten sposób pozbawiłbym się dobrego strzału.

Dla oszczędzenia sił, usiadłem sobie na zwoju sięgających aż do ziemi pnączów, i w tej pozycji, trzymając w ręku nabity eksplodującą kulą karabin i nie ruszając się w obawie natrafienia na jakiego

jadowitego węża, oczekiwałem niecierpliwie umówionego sygnału z sykomoru.

Mijały jednak kwadranse i godziny, a służący mój nie odzywał się; uwaga, zwrócona na monotonny szmer poruszanych wiatrem liści, wprawiła mię powoli w pewien rodzaj półsnu hypnotycznego, z którego daremnie starałem się otrząsnąć siłą woli. Kilka razy traciłem równowagę i uderzałem podbródkiem o dłonie, oparte na lufie; to mię wytrzeźwiało, lecz tylko na chwilę. Zapaliłem cygaro dla odpędzenia snu, gwałtem cisnącego się na powieki, i w zamyśleniu spoglądałem na jego ogień, iskrzący się w ciemności. Trabucos stlił się jednak zupełnie, a w otoczeniu mojem nic się nie zmieniło.

Poczynałem powątpiewać o skuteczności wyprawy, tem bardziej, że zegarek wskazywał szóstą. Zniechęcony, pozwoliłem się opanować niepokonanej drzemce.

Z tego błogiego stanu wyprowadził mnie jakiś nieokreślony odgłos, którego na razie nie potrafiłem rozpoznać. Otworzywszy oczy, ujrzałem wypływającą na horyzont ognistą tarczę słońca, której propromienie, wciskając sią w gąszcz, świeciły mi prosto w twarz. Na razie nie mogłem sobie zdać sprawy z tego, gdzie się znajduję; właśnie powstałem, ażeby podnieść wypuszczony z ręki karabin, gdy w tem na jasnem tle widzianego przezemnie skrawka nieba pojawiła się jakaś czarna, podobna do gęstej chmury masa. Poplątane ljany nie pozwoliły mi rozpoznać tego zjawiska.

— Otóż i nasz odrodzony naczelnik—mruknąłem, tknięty przeczuciem.

Z karabinem w ręku postąpiłem parę kroków naprzód, ażeby lepiej widzieć.

Spóźniłem się trochę, bo kiedym stanął w przestronniejszym miejscu, przekonałem się, iż nie zdążę już wystrzelić. Tuż przede mną, niby taran, sterczała olbrzymia trąba i tętniały głucho po wilgotnym gruncie cztery potężne nogi słonia, podobne do grubych pni palisady.

Instynktownie odskoczyłem w tył, ustępując z drogi pędzącemu na oślep królowi puszczy.

Wszakże małe, złośliwe oczy zwierzęcia dostrzegły mię pośród zielonych splotów, i naraz uczułem, że coś miękkiego a grubego, niby wąż boa, okręca się dokoła mych piersi, a równocześnie prawie zostałem uniesiony w górę olbrzymią siłą.

Dziwna rzecz jednak; pomimo strasznego bólu i braku tchu, skutkiem tych uścisków, zawieszony w powietrzu, zdawałem sobie jasno sprawę z mego położenia. Słoń potrząsał mną jak źdźbłem trzciny, nie przestając pędzić naprzód; gałęzie drzew boleśnie uderzały mię po twarzy; machinalnie podniosłem obie ręce, chcąc zabezpieczyć oczy.

— To ostatnia twoja chwila, Józefie — pomyślałem sobie.

Spodziewałem się, że słoń rzuci mię na ziemię i rozdepcze jednem stąpnięciem swej kolosalnej nogi. Olbrzym jednak zaciskał coraz bardziej trąbę; czułem, jak gną mi się żebra i cała klatka piersiowa... Przez te kilkanaście okropnych sekund tysiąc myśli z błyskawiczną szybkością przemknęło przez moją w tej chwili tak biedną głowę.

— Udusi mię... rozstrzaska o ten pień... i t. d. Już, już miałem uderzyć głową o potężną gałąź, gdy wtem, zupełnie niespodzianie, znalazłem się w wolnej przestrzeni. Leciałem gdzieś w górę, daremnie starając się zaczepić rękami za muskające mnie ljany.

Olbrzymi zwierz wyrzucił mnie, jak piłkę, aż pod same konary okolicznych drzew i, zatrzymawszy się w biegu, śledził małemi swojemi oczkami drogę, jaką odbywałem wpośród pnączów, czekając widocznie, aż spadnę mu pod nogi.

Tymczasem stało się coś, czego dotąd nie mogę sobie wytłómaczyć: spadanie moje przedłużało się dziwnie; zamiast znaleźć się na ziemi, przelatywałem powoli przez jakąś giętką, sprężystą siatkę, która chwytała mnie za ręce, to znów za nogi, wypuszczała ze swych objęć i brała mnie napowrót... Kilka razy już, już.. zatrzymałem się w jej splotach, gdy jedno poruszenie strącało mnie znowu niżej...

Jak długo trwało to straszne opadanie, nie wiem. Doznałem dzwonienia w uszach, i zdawało mi się, że służący mój daje sygnał umówiony. Usłyszałem jakiś strzał, a może to było uderzenie głowy o jakiś twardy przedmiot, dość, że mgła czerwona zasłoniła mi oczy i straciłem przytomność.

Przyszedłszy do siebie, spostrzegłem, iż ciało moje otoczone jest poplątanemi zwojami gęstych pnączów, drżących rytmicznie wraz z sąsiedniemi gałęziami.

Siatka ta uginała się za każdem mojem poruszeniem; to mi odrazu przypomniało położenie, w jakiem się znajdowałem.

Spojrzałem przez małą przerwę w tej zielonej tkaninie i widziałem dokładnie krzaki, rosnące u stóp olbrzymów leśnych. Oddzielała mnie od ziemi przestrzeń co najmniej 8 metrów; byłem więc zawieszony w powietrzu; silniejszy powiew wiatru, rozchyliwszy ljany, na których spoczywałem, mógł strącić mię w przepaść.

Schwyciłem się odruchowo za najgrubszą nitkę olbrzymiej sieci i, ubezpieczywszy się w ten sposób od nieprzewidzianego upadku, począłem rozmyślać nad sposobem wydobycia się z przykrego i niebezpiecznego położenia. Na siły swoje liczyć bardzo nie mogłem; trąba słonia dała mi się dobrze we znaki; uczuwałem bowiem dotkliwe bóle we wszystkich członkach.

Nabrawszy z trudem powietrza w zgniecione piersi, długo przywoływałem mego służącego, który, jak przypuszczałem, znajdował się gdzieś w pobliżu.

Daremnie jednak wołałem.

Głuche echo było jedyną odpowiedzią na moje krzyki. Snać towarzysz mój, nie mogąc mnie znaleźć, myślał, że zginąłem pod nogami rozwścieczonego słonia i pobiegł ze smutną wieścią do pułkownika.

Piekące dotkliwie słońce świadczyło, iż minęło już południe.

Cóż począć? W pobliżu nie było żadnej gałęzi, z pomocą której mógłbym się dostać na jakie, drzewo, a stamtąd na ziemię. Nie pozostało mi zatem nic innego, jak czołgać się po pnączach aż do sąsiedniej magnolji. Przedsięwzięcie to ze względu na brak sił było niezmiernie ryzykowne; nie mogłem się wszakże namyślać.

Zebrawszy więc całą energję, począłem prześlizgiwać się jak wąż po zielonych splotach ljanów w obranym kierunku. Niebawem jednak przekonałem się, że plan mój jest niewykonalny; szeroka przerwa pomiędzy pnączami przecięła mi drogę; musiałem zatrzymać się tuż obok olbrzymiego festonu łączącego magnolję z wysmukłym kokosem, wznoszącym dumnie głowę ponad okoliczne drzewa. Nie mogłem cofnąć się, ani posuwać naprzód.

Opuściwszy wygodny, naturalny hamak, na którym zawiesił mię wypadek, nie miałem teraz żadnej trwałej podpory.

Rozmyślając nad sposobem odkrycia sobie jakiejś drogi, spostrzegłem grubą ljanę, zwieszającą się tuż ponad moją głową. Spływała ona ze szczytu kokosowej palmy i ginęła w gęstych krzakach, rosnących tuż przy ziemi.

Musiałem jej dosięgnąć za jakąbądź cenę. Zrywający się wiatr pomógł mi do rozwiązania trudnego zagadnienia.

Usadowiłem się jak najpewniej na otaczających mnie pnączach i miarowym ruchem nogi rozbujałem zielone sploty.

Jeden śmiały rzut i dosięgłem zbawczej ljany, po której już, niby po linie, dostałem się z łatwością na ziemię.

Tuż obok śladów słonia, głęboko wyciśniętych na wilgotnym gruncie, leżał mój karabin. Podniosłem go skwapliwie, odwiodłem szybko kurek i dałem ognia. Spodziewałem się w ten sposób zwrócić uwagę ludzi, którzy prawdopodobnie mieli mię

za zgubionego. Na echo mego wystrzału odpowiedziały radosne okrzyki służącego, który wraz z pułkownikiem i ludźmi z plantacji daremnie od samego świtu szukał mego ciała.

— Myślałem, że słoń cię połknął! — zawołał z uśmiechem pułkownik, ściskając mi serdecznie dłonie — zniknąłeś nam bez najmniejszego śladu. Gdzieżeś podziewał się?

Musiałem niezwłocznie zaspokoić ciekawość zacnego pułkownika.

— A cóż słoń?—zagadnąłem z kolei, skończywszy opowiadanie swej dziwacznej przygody.

— Nikt go nie widział — odparł pułkownik — gdyby nie te świeże ślady i twoja nienaturalna bladość, myślałbym, że żartujesz z nas sobie.

— Usnąłeś zapewne, łotrze! — rzekłem, zwracając się do swego służącego — twojej drzemki o małom życiem nie przypłacił.

Indus, zamiast odpowiedzi, przyłożył tajemniczo palec do ust.

— Panie, ciszej — szepnął, przewracając oczami — nie trzeba wymawiać jego imienia. To... on...

— Wasz radża, chciałeś powiedzieć — odparłem z uśmiechem. — No, niechże i tak będzie... spodziewam się jednak, że jutro nie ujdzie już mojej kuli... Teraz mamy z sobą mały rachunek do załatwienia.

Jakoś w istocie w trzy dni potem złośliwy słoń, wracając nad ranem, otrzymał odemnie kulę w samo ucho.

Mój pierwszy jaguar.

Wspomnienie z włóczęgi po Ameryce.

Chociaż ze wstydem, muszę jednak przyznać się wam, iż strzelba zawsze mi lepiej pachniała od książki. Ile to razy, pamiętam, mój nauczyciel, pan Bonifacy, musiał mnie szukać po lesie; a niezawsze znalazl, bo łaziłem nieraz po moczarach i zawalistych zakątkach puszczy, przytykającej do naszej wioski, tropiąc rozmaitą zwierzynę.

Nic więc dziwnego, że, przepędziwszy większą część czasu na polowaniu, zamiast przy lekcjach, niewiele się nauczyłem.

Los mój skutkiem nieuctwa był tem przykrzejszy, że nie posiadam majątku; pewnego bowiem pięknego poranku, kiedym wrócił z lasu, zastałem w naszym dworze urzędników towarzystwa kredytowego i licytantów.

Sprzedano nam wioskę za długi; stary ojciec poszedł do mego żonatego brata, a ja nie mając żadnego fachu, któryby mi mógł dać kawałek chleba w rękę, po raz pierwszy poznałem się z chłodem i głodem.

Co tu opisywać owe smutne chwile, przepędzone w Warszawie? Ot, lepiej powiem odrazu, że, nie ma-

jąc gdzie się podziać, z biedy powędrowałem do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, sądząc w mej nieświadomości, że tam można będzie bez pracy wyżyć. Z niezadowoleniem przekonałem się wszakże, iż nawet na tamtej półkuli świata próżniakom darmo kęsa chleba nie dają.

Zmuszony głodem, kilka razy chwytałem za łopatę lub taczki, lecz nie długo to trwało; nieprzyzwyczajonemu ciężka praca rychło dawała się we znaki.

Pamiętam, na wiosnę 1900 roku udało mi się zarobić coś kilkadziesiąt dolarów (dol.=5 zł. 18 gr.). Poczuwszy srebro w kieszeni, począłem myśleć o tem, jakby przy jego pomocy urzeczywistnić moje marzenia o życiu przy jak najlżejszej pracy.

Chodzę po mieście S. Louis, do którego losy mnie zapędziły, gdy w tem na ulicy spotykam dwóch ludzi, ubranych w skórzane kurtki i uzbrojonych w karabiny; każdy z nich prowadził konia stepowego, obładowanego ogromnym stosem skór.

Byli to traperzy, czyli strzelcy zwierzyny; pełno ich w Zachodniej Ameryce na każdym kroku.

Nie zwróciłbym na nich uwagi, gdyby nie to, iż rozmawiali z sobą po polsku. Rodzinna mowa, nie słyszana od roku, chwyciła mię za serce.

— Hola, rodacy!—krzyknąłem, biegnąc za nimi — skąd to?

— Ze stepów — odparł młody traper, zatrzymując się.

W kilka minut znajomość została zawarta; odprowadziłem strzelców do składu futer, gdzie sprzedali korzystnie owoc swoich trudów, i we trzech

zawędrowaliśmy do gospody. Opowiedziałem im swą biedę, swoją niechęć do ciężkiej pracy przy taczkach, a oni nawzajem o swoich łowach i przygodach.

Te proste, obrazowe opowiadania, tchnące prawdą i — co najważniejsze — swobodą, zbudziły nagle śpiącą we mnie żyłkę do polowania i do życia na łonie natury, które, niestety, tak smutne skutki pociągnęło za sobą tam w kraju rodzinnym.

— Idę z wami, niech mnie kule biją! —zawołałem—chyba, że mnie nie przyjmiecie za towarzysza.

— Umiesz strzelać? — zagadnął Franciszek, starszy z traperów.

— Niestety! tylko strzelać, nic więcej odparłem, wzdychając.

— To dosyć. A pieniądze na karabin i amunicję masz? — dodał drugi.

Wystarczy na to moja kasa.

— No, to podaj łapę i chodźmy kupić broń.

Tak więc zupełnie niespodziewanie zostałem amerykańskim traperem. Na drugi dzień jechałem już koleją z nowymi przyjaciółmi na daleki zachód Ameryki, gdzie nie brak jeszcze zwierzyny.

W Utach, w lasach Gór Skalistych i w puszczach Nowego Meksyku znalazłem się w swoim żywiole; włóczęga z karabinem w ręku po wertepach dzikich, za zwierzyną, miała dla mnie urok nieprzezwyciężony. Umiałem poprzestać na małem, byłem wytrzymały, to też towarzysze moi twierdzili, że wykieruję się na niezłego trapera. Tymczasem jednak uważali mię za nowicjusza i traktowali, jak

terminatora. Najbardziej jednak dokuczało mi powątpiewanie ich o mojej odwadze.

— No, ciekawym, jak się sprawi nasz Władek, kiedy spotka gdzie w kącie niedźwiedzia lub pumę — mawiał z przekąsem Franciszek, odbierając ode mnie skórkę bobra lub lisa.

— Pokaże, jak wysoko można zadrzeć pięty — dodawał ironicznie Roch — i no, zresztą zobaczymy.

Te dowcipy burzyły krew we mnie; obiecywałem sobie, że nie cofnę się nigdy przed żadną najniebezpieczniejszą bestją, choćby miała mię w szmaty rozedrzeć.

W głębi duszy błagałem nieba, ażeby raz wreszcie dało mi sposobność dowieść, czem jestem.

Sposobność ta nadarzyła się niebawem.

Na początku kwietnia, po długiej, kilkutygodniowej wędrówce dotarliśmy wreszcie do brzegów rzeki Kolorado, gdzie Franciszek obiecywał nam obfitość wszelakiej zwierzyny, a głównie rzadkich bobrów, których skórki, jak wiecie, chętnie kupują i dobrze płacą.

Tuż nad wodą, w kępie drzew zielonych i topoli, rozłożyliśmy obozowisko. Wszyscy, nie wyłączając wytrwałego Rocha, czuliśmy się potężnie zmęczeni dziesięciogodzinnym marszem wśród upału po stepie, a nadto byliśmy głodni, jak wilki stepowe.

W południe zjedliśmy już ostatni kawałek suszonego mięsa. Wszystkie torby były puste. Roch w swojej znalazł tylko garść kukurydzy, z której każdy otrzymał po 15 ziarnek.

— Takie jedzenie nic nie warte — mruknął Franciszek, oglądając mój karabin. — Ot! — dodał,

zwracając się ku mnie — ty, jako najmłodszy, porwij sztucer i ubij gdzie jelenia. Słońce wkrótce zajdzie, zwierzęta znużone, tak jak my, spiekotą, schodzą się o tej porze na wodopój; przemknij się więc poza tamtemi krzakami i usiądź przy brzegu, obok tego łysego miejsca. Masz wiatr na rzekę, jeleń więc sam na strzał ci wyjdzie. My poczekamy i rozpalimy tymczasem ognisko. No, ruszaj, a spraw się dobrze.

Przyzwyczajony już byłem słuchać podobnych rozkazów; rad nierad więc nabiłem sztucer, zarzuciłem go na ramię i zapaliwszy u Rocha fajeczkę, powlokłem się ścieżką tuż nad brzegiem rzeki, upatrując na białym piasku i wśród bujnej trawy śladów jelenich.

Niebawem przekonałem się, że towarzysz mój miał słuszność; przeszedłszy bowiem nad ową suchą ławicą piaskową, natrafiłem na ścieżkę uczęszczaną przez rogaczy. Obejrzawszy uważnie miejscowość, obrałem sobie doskonałe stanowisko wpośród gęstych wierzbowych i olszowych zarośli, sięgających aż do samej wody. Z miejsca tego, siedząc wygodnie na pochylonym pniu, mogłem ogarnąć wzrokiem brzeg i mieliznę na dwieście kroków przed sobą.

W jakie pół godziny potem słońce tonąć poczęło w krwawej łunie na horyzoncie stepu poza rzeką widniejącego; woda, przepływająca z szelestem pode mną, pokryła się purpurą, zapożyczoną od zorzy wieczornej. Przysłoniłem oczy i spojrzałem na otwarty brzeg.

Wkrótce ponad chwiejącą się w lekkim wietrzyku trzciną spostrzegłem niby dwie suche gałęzie,

które wolno posuwały się ku brzegowi. Były to rogi jelenia, ostrożnie podchodzącego do wody. W parę minut wspaniałe zwierzę wynurzyło się całkowicie z wysokiej trawy, zatrzymało na brzegu o 100 kroków ode mnie, i podejrzliwie wciągnęło chrapami wonne, wilgotne powietrze. Doleciała je snać jakaś woń podejrzana, bo nagle skoczyło w bok i znikło.

Po chwilce ukazało się znowu, aby powtórzyć ten manewr. Znałem się na wybiegach jelenich; wiedziałem, że zwierz chce tylko pozornym odwrotem wywabić z zasadzki nieprzyjaciela, aby umknąć mu z przed oczu po równym stepie; dlatego też, oparłszy sztucer na widlistej gałęzi, cierpliwie czekałem, aż moja ofiara zbliży się na 50 kroków, żeby jej posłać kulę.

Jeleń, którego miałem przed sobą, należał jednak do wyjątkowo ostrożnych i doświadczonych; zachodził to z boku, to z frontu, dając co chwila susa, jakby go coś płoszyło. Przezroczysta, chłodna woda ciągnęła go wszakże ku sobie z nieprzezwyciężoną siłą. Uległ jej wreszcie i, zanurzywszy swój piękny łeb, pławił się rozkosznie w ożywczym płynie. W tej chwili wziąłem go spokojnie na cel i pociągnąłem za cyngiel; wystrzał zagrzmiał, niosąc echo ponad spokojnem zwierciadłem rzeki, het, aż ku lasowi, który majaczył na skraju żarzącego się słońcem horyzontu.

Kiedy dym, rozwiany wietrzykiem, zniknął wśród zielonych gałązek, otaczających lufę sztucera, ujrzałem jelenia drgającego konwulsyjnie na piasku.

— Nareszcie! Zarzuciwszy broń na plecy, zadowolony ze szczęśliwego strzału, wolnym krokiem

i z zimną krwią wytrawnego myśliwca ruszyłem w kierunku mej zdobyczy.

— Wytnę udziec, a po resztę przyjdziemy z Rochem po wieczerzy.

Tak myśląc, szedłem sobie obok gęstej ściany zarośli nadbrzeżnych. Kiedym skręcił ku owemu łysemu miejscu, śladem ubitego przed chwilą jelenia, z sąsiedniego krzaku dobiegło uszu moich dziwne jakieś mruczenie. Słyszałem je po raz pierwszy, pomimo to jednak poczułem lekki dreszcz po skórze. Niespodziane spotkanie w tej pustyni, pełnej niebezpieczeństw, należy rzadko do przyjemnych; odwróciłem szybko głowę i o trzy kroki zaledwie od siebie ujrzałem pomiędzy liśćmi i zakrzywionemi gałęźmi straszny łeb, z błyszczącemi zielonemi ślepiami utkwionemi we mnie.

Nie widziałem całego ciała, poznałem jednak natychmiast, do kogo należała ta głowa i potężne zęby.

Byłem już nieraz w niebezpieczeństwie; zwykle spotykało mię ono przygotowanym; spotkanie z jaguarem wypadło tymczasem najzupełniej niespodziewanie; musiałem więc przywołać na pomoc całą moją zimną krew, żeby nie stracić przytomności.

W pierwszej chwili machinalnie prawie sięgnąłem po karabin; natychmiast jednak przypomniałem sobie, żem go nie nabił po ostatnim wystrzale.

— Jakaż nieuwaga! pomyślałem — bierz się teraz do kordelasa; ładna historja...

Nie wiem, czy gęste i poplątane gałęzie przeszkodziły jaguarowi rzucić się na mnie odrazu, czy też pragnął uniknąć walki, dość, że kilkanaście se-

kund, mrucząc groźnie, mierzył mnie pałającemi ślepiami. Zrozumiałem teraz, że polowałem na jelenia równocześnie z królem puszcz amerykańskich i że ten postanowił wydrzeć mi zdobycz, na którą sam się zapewne czaił.

Wahanie się zwierza pozwoliło mi przygotować się na napaść; wyciągnąłem ostry i szeroki kordelas myśliwski i przykląkłem na piasku, tuż naprzeciw jaguara, który, wydobywszy się do połowy z zarośli, jeżył właśnie giętki grzbiet, gotując się do skoku.

Nie czekałem długo; zaledwie przybrałem odpowiednią pozycję, zasłoniłem się lufą karabinu i wystawiłem przed siebie kordelas, gdy nagle spadło na mnie gwałtownie cielsko jaguara; równocześnie i mój kordelas pogrążył się w czemś miękiem aż po samą rękojeść i strumień ciepłej krwi trysnął mi na twarz; w tej chwili uczułem, jak ostre pazury wpijają mi się w ciało. Natarcie było tak gwałtowne, iż nie zdołałem utrzymać równowagi i przewróciłem się.

Po pazurach przyszła kolej na zęby! Jaguar, nie zważając na nóż prójący mu wnętrzności, usiłował pochwycić w paszczę moją głowę! kolba karabinu przeszkodziła mu jednak. Oddech potwora palił mi twarz. Nadludzkim wysiłkiem wyciągnąłem uzbrojoną w kordelas rękę i, korzystając z tego, iż mój przeciwnik kruszył w zębach lufę sztucera, przerznąłem mu gardło rozpaczliwem cięciem. Był to ruch, w którym wyczerpały się resztki mojej energji i moich sił; czerwona mgła zasłoniła mi oczy; przez chwilę czułem jeszcze, jak szpony roz-

dzierały mi udo, potem straciłem świadomość... zapadłem się w ziemię.

Pazury jaguara nie przyprawiły mię jednak o śmierć.

W nocy, towarzysze zaniepokojeni wystrzałem i moją nieobecnością, poczęli mnie szukać i znaleźli na brzegu rzeki, w objęciach martwego zwierza.

— No, trzymaj się—mówił Franciszek, wlewając mi w usta jeszcze jeden haust wódki dla przywrócenia przytomności — jestem z ciebie kontent; zabić tygrysa kordelasem to sztuka, jakiej nie podjąłby się żaden z nas obydwóch; teraz śmiało możesz się nazywać traperem, mój chłopcze.

Nieprędko powróciłem do zdrowia; mój pierwszy jaguar omal że nie został zwycięzcą; przez całe życie będę nosił ślady jego pazurów i zębów.

W długiej, trwającej dotychczas włóczędze z nimi, spotykało mnie mnóstwo rozmaitych dziwnych i strasznych przygód, żadna z nich jednak nie wyryła się tak głęboko w mej pamięci, jak powyższa.

Polowanie na łosia.

Północny wicher, hulający od dwóch dni w tajgach i na stepie śnieżnym, ucichł wreszcie na chwilę, pozwalając ludziom i stworzeniom opuścić legowiska. Przez cały ten czas wszystko, co żywe, unikało zetknięcia z otwartą atmosferą, zetknięcia, mrożącego odrazu krew w żyłach, unoszącego olbrzymi zapas ciepła żywotnego z wichrem. Trzydziestopięciostopniowy mróz przy spokojnem powietrzu wydał mi się po prostu przyjemnym, kiedym wychylił głowę ze skromnego namiotu mego gospodarza, Kałmuka, u którego gościłem od kilku miesięcy. Psy i reny odczuwały także korzystną przemianę w stanie pogody, gdyż opuszczały swe schronienia.

Nasz Najtys, myśliwski kundel, gramolił się właśnie z pod wysokiej zaspy śniegu, w której przepędził owe straszne dwa dni wichury. Inne psy biegały już wesoło dokoła jurty, daremnie poszukując czegoś do zjedzenia.

Przymusowa wszakże bezczynność mieszkańców jurty wyczerpała wszelkie zapasy. Nasza gospodyni niechętnie i z narzekaniem rozpalała na środku namiotu zagaszony przez wiatr ogień i zabierała się

do gotowania suszonych ryb i herbaty, jedynych przysmaków, jakie pozostawały w jej śpiżarni.

Gospodarz mój wyszedł także z namiotu i okiem znawcy rozejrzał się po biało-niebieskawem niebie, na którego zachodniej stronie majaczyły gdzieś w dali śnieżne szczyty Ałtaju.

— Czy zanosi się na pogodę? — zagadnąłem.

Kałmuk poważnie kiwnął głową.

— Będziemy mieli kilka dni ciszy—odparł; — trzeba co zabić, inaczej czeka nas bieda. Renifera nie mogę przecież zarznąć.

Był on ubogi; nic więc dziwnego, iż zabicie jednego z ośmiu renów, które stanowiły cały jego majątek, byłoby dlań krokiem rozpaczliwym. Należało więc wybrać się do tajgi na polowanie. Zgodziłem się w lot na ten projekt, nie chciałem bowiem wprowadzać gospodarza mego w przykre położenie.

Przygotowaliśmy tedy niezwłocznie broń, ja swą dubeltówkę, Kałmuk—swego przedpotopowego garłacza, kupionego może przed dwudziestu laty za trzy ruble, i napełniwszy torby amunicją, kilkoma kawałkami obrzydliwej wędzonej ryby i flaszką okowity, ruszyliśmy skrajem tajgi, po zmarzniętej grubej skorupie śniegu, zaścielającej step, który ciągnął się na horyzoncie aż do szarawej linijki sosnowego lasu. Skórzane łyżwy ułatwiały nam znakomicie podróż; gospodarz mój, wprawny od dzieciństwa w tego rodzaju sposób przenoszenia się z miejsca na miejsce, mknął po gładkim śniegu z szybkością strzały. Ja starałem się, choć z wielkim trudem, zdążać za nim.

Na przedzie biegł Najtys, z wyciągniętym językiem, węsząc po drodze ślady zwierzyny.

Na twardej skorupie nic jednak nie można było dostrzedz, chyba jeden tylko Kałmuk potrafiłby odróżnić pomiędzy mnóstwem nieregularnych, kapryśnych wgłębień, ściętych mrozem. odciski stóp zwierzęcych. Pole śnieżne było olbrzymią białą tablicą, pokrytą hieroglifami, niezrozumiałemi dla oczu niedoświadczonego Europejczyka.

W godzinę po wyruszeniu z jurty znaleźliśmy się w tajdze. Grzązkie błota, nieprzebyte letnią porą, zarośnięte z rzadka karłowatemi jodłami, sosnami i krzewami jagodowemi, zamieniły się teraz, pod wpływem trzydziestostopniowego mrozu, w wygodną do podróży, bezpieczną do chodzenia, popękaną zlekka miejscowość, niczem nie zdradzającą swej natury.

Tajga, służąca w lecie zwierzynie za miejsce schronienia przeciw rojom nielitościwych komarów i much, w zimie nęci ją do siebie młodemi pędami krzewów i korą drzew. Dlatego też najłatwiej spotkać w niej łosia, jelenia, północnego zająca, lisa, a nawet niedźwiedzia.

Zatrzymaliśmy się przez chwilę w ustronnem miejscu, żeby odpocząć, i pokrzepiwszy siły łykiem wódki, sunęliśmy cicho, bez szelestu, pomiędzy zwieszającemi się nizko konarami, uważnie śledząc ruchy i zachowywanie się Najtysa, myszkującego już po tajdze.

Przeszliśmy w ten sposób z wiorstę, nie spotkawszy żadnego śladu. Towarzysz moj dostrzegł tylko na jednem z drzew popielicę, lecz w obawie spłoszenia zwierzyny, darował jej życie, zostawiając

sobie zdobycie cennej skórki na kiedy indziej. Mieliśmy wszystkiego trzy godziny czasu, bo w środkowej Syberji noc zapada już o drugiej po południu.

Mój towarzysz poczynał się niecierpliwić, gdy wtem Najtys, przeskoczywszy wysoką zaspę, nagromadzoną na wzniesieniu gruntu u podnóża tamy pochyłej, zatrzymał się nagle, jak wryty.

— Znalazł — szepnąłem, przyśpieszając biegu. Po chwili stanęliśmy obok psa; w istocie, znalazł on ślady, które poznałem natychmiast.

— To łosie — rzekłem — dwa stare i jeden młody; patrzcie, niedawno jeszcze obgryzały korę i gałązki z tego krzaku; muszą być niedaleko stąd na żerowisku.

Kałmuk potakująco skinął ręką i, rozejrzawszy się uważnie dokoła, ze strzelbą na pogotowiu popełzł śladem zupełnie świeżym.

Mnie serce żywiej zabiło, polowanie bowiem na łosia jest bardzo zajmujące, nawet na Syberji, gdzie przecie nie brak grubego zwierza; połączone jest ono nadto z pewnem niebezpieczeństwem, którego myśliwi nie przesadzali wcale, o czem niebawem mieliśmy się przekonać.

Opatrzyłem broń, żeby módz wystrzelić, kiedy okaże się potrzeba, i pozwoliłem Kałmukowi posuwać się przodem.

Niepewność nasza rozstrzygnęła się wkrótce. Nie upłynęło bowiem i dwudziestu minut, gdy uszu naszych doleciał szelest ciężkiego stąpania i roztrącanych gałęzi, i równocześnie prawie z zielonego muru choiny karłowatej wysunęły się trzy wielkie czworonogi.

— To łosie—mruknął Kałmuk, chwytając psa za obrożę.

Zwierzęta znajdowały się w odległości jakich 80 kroków i nie podejrzewały wcale naszej obecności.

Gospodarz mój, skulony za górką śniegu, drżącemi od wzruszenia rękami odwodził kurek u strzelby. Ja kazałem psu warować i również przygotowałem dubeltówkę.

— Czy strzelać do starego? — zagadnąłem towarzysza, który właśnie celował, uklęknąwszy na prawe kolano.

— Tak — odparł Kałmuk.

Zaledwie jednak domówił, gdy Najtys, nie mogąc zachować zimnej krwi, zerwał się nagle i zaszczekał głośno. Łosie zatrzymały się zdziwione... W tej chwili zagrzmiał szturmak Kałmuka; strzał wszakże chybił celu, z głowy bowiem starego samca odpadł tylko kawałek rogu.

Zwierz, dotknięty kulą, lecz zdrów zupełnie, zamiast zawrócić się i uciekać, wydał z piersi krótkie, gniewne rżenie, i zniżywszy rozłożyste rogi, rzucił się naprzód, nie zważając na psa, zastępującego mu drogę.

Chciałem dać ognia, lecz cel ginął mi co chwila poza jakimś rozłożystym krzakiem. Niebawem było już za późno. Łoś, zraniwszy boleśnie racicą Najtysa, dopadł mego gospodarza i z olbrzymim zamachem wyrzucił go w powietrze.

Kałmuk opisał w przestrzeni wielki łuk, i przewróciwszy parę koziołków, zanurzył się całkowicie w śnieżną zaspę, odległą o kilkanaście kroków.

Rozsrożony łoś, pozbywszy się w ten sposób jednego przeciwnika, zwrócił się teraz ku drugiemu, t. j. ku mnie. Uderzywszy w ziemię przedniemi nogami, miał właśnie powtórzyć atak, gdy moja kula, wymierzona celnie, powaliła go na miejscu. Zaraz po strzale, pozostawiwszy drgającego w śmiertelnych konwulsjach łosia, pobiegłem w stronę zaspy, w której znikł mój gospodarz.

Z niemałym trudem zdołałem go wydobyć z głębokiego na kilka łokci śniegu; na szczęście jednak, całego i zdrowego. Gruby, podwójny kożuch i skórzana kurtka uchroniły go od szwanku; był tylko odurzony upadkiem z wysokości.

Zdarzenie to wszakże nie odjęło mu dobrego humoru. Widok wspaniałej zwierzyny i nowy haust wódki zatarł przykre wrażenie, i Kałmuk, wyjąwszy myśliwski nóż, jął wesoło wykrawać udziec z łosia, aby go upiec co prędzej.

O zmroku byliśmy z powrotem w jurcie.

Przygoda ta jednak przekonała mnie, iż polowanie na łosia, które miałem dotąd za prostą zabawkę, należy zaliczyć do rzędu wypraw zaprawnych zlekka urokiem niebezpieczeństwa, tak ponętnego dla prawdziwego myśliwca.

Między gorylami.

Od trzech lat, niesiony żądzą poznania czegoś nadzwyczajnego, bawiłem w Afryce i, przyznam się, zagustowałem w tej krainie, gdzie przyroda zgotowała przybyszowi europejskiemu tyle nadzwyczajnych rzeczy.

Niezmierzone pustynie obok lasów nieprzejrzanych, niezdrowe, zabijające wyziewami febrycznemi, gorące niziny, obok gór niebotycznych, ukoronowanych srebrnym djademem wiecznych śniegów, potężne baobaby, pokrywające konarami morgę ziemi, olbrzymie słonie i nosorożce, najbogatsze w świecie kopalnie złota i miny djamentowe — czyż to znajdzie się gdziekolwiek indziej?

Jakoś Afryka, odwzajemniając się za te sympatje, oszczędzała mnie, chociaż, wbrew przestrogom, zapuszczałem się w okolice, nazywane „cmentarzami białego człowieka“, przepełnione nietylko zabójczemi owadami, ale niebezpieczniejszemi jeszcze ludożercami i drapieżnemi zwierzętami. Narażałem się na każdym kroku, ufny w swoją szczęśliwą gwiazdę.

I po co? w jakim celu?

Ot, pędziła mnie chęć widzenia czegoś takiego, co dotąd ukrywało się przed oczami Europejczyka. Chciałem doznać świeżych wrażeń i wydrzeć Afryce jakąś tajemnicę.

Miałem, prócz tego, silnie rozwiniętą żyłkę myśliwską i dla zadosyć uczynienia jej włóczyłem się całemi miesiącami w towarzystwie trzech przywiązanych do mnie negrów po najdzikszych i najniedostępniejszych wertepach.

Zdarzyło się, że dla upolowania jakiego niepospolitego zwierzęcia, przesiadywałem w puszczy i pół roku, żyjąc, jak prawdziwy buszman, manną z nieba. Szczęście wynagradzało zawsze moje starania; niebawem znalazłem się w posiadaniu wielu ciekawostek, których pozazdrościłoby mi niejedno muzeum.

Była tam kunsztownie wykonana broń murzyńska z nad rzeki Kongo, czaszki ludożerców Njam-Njam, okazy rzadkich ptaków i zwierząt, minerały z okolic gór Księżycowych i mnóstwo innych osobliwości.

Niestety jednak, kolekcji mojej nie ozdabiała jeszcze najciekawsza z całej Afryki rzecz: szkielet goryla.

Mówię: szkielet, bo o zdobyciu żywego goryla nie śmiałem nawet marzyć. Małpa ta, najbardziej zbliżona do człowieka, trzyma się w ustroniach leśnych i bardzo rzadko można ją oglądać, tak iż w niektórych okolicach uważana bywa za jakąś legendową istotę, coś niby nasze boginki leśne, chochliki i t. p. płody fantazji ludowej.

Właśnie dlatego postanowiłem za jakąbądź cenę widzieć goryla na własne oczy.

Z zamiarem tym nosiłem się przez rok blizko; przez ten czas starałem się czegoś dowiedzieć od Murzynów o ciekawem zwierzęciu.

Korzystałem z każdej sposobności i badałem strzelców, którzy połowę życia przepędzili w puszczy, polując na słonie i lamparty; pytałem kobiety, zbierające owoce leśne; kapłanów, poszukujących czarodziejskich ziół; niewolników pochodzących z głębi Afryki zachodniej, gdzie goryle najczęściej się napotyka, i z ich odpowiedzi starałem się wyrobić sobie pojęcie o sposobie pochwycenia tych ciekawych stworzeń.

Im dłużej się dopytywałem, tem dziwniejszych dowiadywałem się rzeczy.

Goryle — mówiono mi — są to ludzie, którzy ukrywają się w lasach i nie mówią dlatego, ażeby nie zrobiono z nich niewolników i nie zmuszano do pracy. Mają rozum i to większy, aniżeli się przypuszcza, tylko nie potrafią, podobnie jak niektóre dzikie ludy, rozniecić ognia. Jeżeli więc Murzyni, przenocowawszy w lesie, pozostawią na biwaku ognisko, goryle przychodzą, siadają przy niem i grzeją zziębnięte członki. Żaden jednak nie wpadnie na domysł, żeby ogień podtrzymać, dorzucając drzewa.

— Niema, panie, straszniejszej, złośliwszej i niebezpieczniejszej bestji w lesie nad goryla — zapewniał mnie pewien strzelec — jeżeli człowiek spotka się z nim niespodzianie, niechaj prędko przygotuje się na śmierć, bo ta go nie ominie. Zwierz rozszarpie go zębami, równie silnemi, jak u lwa, chyba

że dostanie kulą, która położy go na miejscu. O, tak, panie, goryl jest gorszy od lamparta; nie chciałbym za nic w świecie mieć z nim do czynienia.

Inny znów Negr, którego mi przyprowadzono zdaleka, utrzymywał, że przed dziesięciu laty, idąc lasem z dwoma towarzyszami, natrafił nagle na całą rodzinę gorylów, żerujących na drzewie.

Zaledwie zdołał zdać sobie sprawę z niebezpieczeństwa, już samiec przyskoczył doń z szybkością lamparta, rzucającego się na zdobycz, chwycił ręką za strzelbę, wymierzoną w jego piersi, włożył lufę w usta i rozgryzł ją jak patyczek.

— Nie widziałbyś mnie przed sobą teraz o panie — zakończył Negr — gdyby mój odważny towarzysz nie zastrzelił w samą porę rozjuszonego człowieka leśnego. Jemu tylko zawdzięczam, że nie rozszarpano mnie w kawały i nie zjedzono.

Był to jedyny Murzyn, który, jak się zdaje, widział na własne oczy i zblizka goryla.

Opowiadanie jego zaostrzyło jeszcze bardziej moją ciekawość.

— Niech się dzieje, co chce, robię wyprawę w głąb puszczy — rzekłem do służących — musicie mi towarzyszyć.

Oświadczenie to wywarło niezmierne wrażenie na biednych Negrach; czynili oni wszystko, co było w ich mocy, żeby mnie odwieść od szalonego, jak mówili, zamiaru.

— On jest bardzo zły i bardzo silny — powtarzali obaj—pozabija nas i pana także. Wolimy iść na tygrysy i na słonie...

Nie zwracałem, rzecz prosta, uwagi na to wszy-

stko, i w tydzień potem znajdowałem się już w wiosce murzyńskiej, położonej wpośród rozległego dziewiczego lasu, według zapewnień tamtejszych mieszkańców, licznie zamieszkałego przez goryle.

Szczęście i teraz nie opuściło mnie.

Na trzeci dzień po mojem przybyciu, raniutko, wpadł do mnie mój starszy służący, Salfo, z wiadomością, że goryle odwiedziły na schyłku nocy plantacje i porobiły w nich duże szkody.

Nie wierzyłem zrazu i poszedłem się przekonać o fakcie.

Pokazano mi świeże tropy na mokrym gruncie, poobjadane banany, połamane gałęzie, potratowany ryż, otrząśnięte z owocu gojawy, słowem, mnóstwo dowodów pobytu nocnych gości.

— Czy to tylko były goryle, a nie pawiany lub szympanse?

Wątpliwość tę rozwiały wyraźne tropy, niepodobne zgoła do tych, jakie pozostawiają wyżej wymienione gatunki małp.

Tak, nie ulegało kwestji, że goryle, jak gdyby wiedząc, że pragnę zawrzeć z niemi bliższą znajomość, udały się na moje spotkanie. Po prostu szydziły ze mnie, wyzywały...

Nie można było zwlekać ani jednej chwili: kazałem też moim Negrom zabierać się natychmiast do drogi.

W pół godziny potem, uzbrojeni od stóp do głów, zaopatrzeni w żywność, wkraczaliśmy do puszczy, okalającej samotną wioskę. Rzecz prosta, że postępowaliśmy śladami małp, lecz w gąszczu straciliśmy je zupełnie z oczu. Nie martwiłem się tem,

bo wiedziałem, że czarni zastąpią mi doskonale wyżła... jeżeli tylko będą chcieli.

Dla dodania im odwagi i gorliwości, obiecałem, że otrzymają po dużej butelce wódki, po funcie tytuniu i po pół gwinei, jeśli mnie doprowadzą do goryla.

Nadzieja libacji i ujrzenia srebrnych, błyszczących szylingów rozproszyła ich bojaźliwość, a nawet usposobiła dosyć wojowniczo.

— Znajdziemy mponga (tak murzyni nazywają goryla), strzelimy do niego i zabijemy bez litości! wykrzykiwali od czasu do czasu.

Do godziny dziewiątej przedzieraliśmy się bez wytchnienia przez puszczę, używając często siekiery i pałasza do utorowania sobie drogi. Tonęliśmy raz po raz po kolana w błocie, które miejscami stawało się tak głębokie, że musieliśmy zbaczać.

— Tu mponga nie przybywa—zapewniał Salfo—nie lubi wilgoci. Trzeba iść dalej, gdzie sucho.

Wędrowałem tedy dalej, oblewając się potem. Od wszelkiego przypadku trzymałem broń w pogotowiu, gdyż w tych matecznikach afrykańskich nietrudno było zejść gdzie pod krzakiem lamparta, lub napotkać bawołu, jeszcze niebezpieczniejszego od drapieżników kociego rodzaju.

Już znużony, chciałem zatrzymać się gdzie w pobliżu strumyka, wzdłuż którego postępowaliśmy od pewnego czasu, gdy drugi mój Murzyn, Mbungo zaczął bacznie rozglądać się dookoła, dając rękami znaki, dowodzące ważności chwili.

— No i cóż?—zagadnąłem, zbliżając się do niego.

— Mponga przechodził tędy.

— Jak dawno?

— Może wczoraj, a może pozawczoraj. Zlazł z tamtego drzewa, żeby się napić wody ze strumienia, bo mu pragnienie dokuczało. O, tu znać, jak szedł na czworakach, bo mponga, proszę pana, zawsze biega, jak słoń, albo bawół, nie jak człowiek.

— Skąd wiesz o tem?

— Ot widzę ślady, więc nie potrzebowałem widzieć jego samego.

— To prawda, ale czasami podnosi się on na tylne nogi, co?

— Bardzo rzadko, panie, i wtedy tylko, gdy chce się bić w piersi pięściami. To znaczy, że się bardzo gniewa; najlepiej w takim razie uciekać prędko, żeby nie mógł nas dogonić.

— Ja wam tu dam myśleć o ucieczce!—zawołałem Jeżeli który cofnie się choćby krokiem, to, na Boga, lepiej dlań będzie, jeżeli go rozszarpie goryl.

Groźba ta poskutkowała trochę. Mbungo, który już zmierzał w kierunku przeciwnym temu, w jakim prowadziły ślady, znowu zaczął się rozglądać i badać teren.

— Czy pan widzi tę trawę, po której depcemy?—zagadnął po niejakim czasie, wskazując palcem na bujne zielsko, rosnące pomiędzy drzewami.

— Więc cóż?

— Mponga bardzo ją lubi i zdaleka przychodzi, ażeby się nią uraczyć. Powiedział mi to pewien myśliwy, który raz schwytał młodego goryla...

— Czarny?

— Tak, ale doskonały strzelec.

— Masz tobie—pomyślałem z goryczą, pierwszy lepszy Murzyn, włóczący się z fuzją, która kosztuje pięć franków, chwyta małpy, które ja tak pragnę chociaż zobaczyć.

Opowiadania te podwoiły moją energję. Uważnie rozpatrując tropy, przekonałem się, że goryl rzeczywiście przyszedł do strumyka od poblizkiego drzewa. Miało ono najwyżej półtorej stopy grubości i stało pomiędzy dwoma rozłożystemi mahoniami, które ocieniały je ze wszystkich stron. Podniósłszy oczy wgórę, ujrzałem na wysokości 7 — 8 metrów ponad ziemią jakąś czarną masę, coś, niby wielkie gniazdo, uplecione niezgrabnie z suchych gałęzi.

— Co to takiego?—pomyślałem zaciekawiony.— Salfo! — dodałem głośno — wdrap no się na drzewo i zobacz.

Murzyn, oparłszy broń o pień, spełnił rozkaz ze zwinnością wiewiórki i w kilkanaście sekund znalazł się już w gnieździe. Zaledwie jednak przyjrzał mu się uważnie, zaczął nagle krzyczeć wystraszonym głosem:

— Biada nam, panie, biada! Natrafiliśmy na mieszkanie mponga! on zaraz powróci, rozgniewa się i pozabija nas za to, że tutaj przyszliśmy.

— Uspokój się—rzekłem,—goryle, o ile mi wiadomo, nie nocują dwa razy w jednem miejscu.

Z bijącem od wzruszenia sercem wdrapałem się i ja, również na drzewo, ażeby zblizka przyjrzeć się tak ciekawej rzeczy, jak legowisko goryla.

Była to po prostu kupa suchych gałęzi, poukładanych na poziomych konarach; ani śladu staranności, sztuki lub inteligencji w tej arcypierwotnej

budowie; pierwszy lepszy ptak troskliwiej wije swoje gniazdo.

— Czyżby małpa, stojąca najbliżej człowieka była do tego stopnia niezaradna i głupia? — myślałem. — Lecz nie, budowa gniazda niczego nie dowodzi; przecież Australczycy stawiają z gałęzi szałasy, równie prostej konstrukcji, a jednak nikt im nie odmawia prawa do miana ludzi.

Pomiędzy gałęziami walały się niedojedzone owoce leśne, pestki, źdźbła trawy, którą mi pokazywali przed chwilą Murzyni; bacznie przyglądając się sęczkom, zauważyłem nawet kilkanaście dość długich, ciemno - szarych włosów, które niezaprzeczenie musiały należeć do właściciela legowiska.

— Jesteśmy więc na dobrej drodze! — zawołałem, zacierając ręce. — Goryle muszą tutaj często przychodzić. Kiedy tak, to będziemy tutaj czekali, dopóki się jaki nie pokaże. Salfo!—dodałem—urządzimy sobie w gnieździe skrytkę; narąb - no zielonych gałęzi, pod któremi moglibyśmy się schować tak, iżby nas małpy nie dostrzegły.

— Och, panie, możemy strawić daremnie cały dzień — odparł Murzyn.

— Mamy dość czasu.

— Ale mpongo może nie przyjść i jutro nawet,

— To nic nie szkodzi, bylebyśmy go tylko zobaczyli.

— A jeżeli nie pokaże się i przez trzy dni?

— Dość tego! — zawołałem zniecierpliwiony.— Jesteście tchórze i nie dbacie wcale o nagrodę, którą wam obiecałem. Wszystko to są wykręty, znam się na nich. Będziemy tu czekali choćby miesiąc, i basta!

Murzyni, widząc, że nie pozwalam odwieść się od planu, poddali się w milczeniu moim rozkazom. W kilkanaście minut potem gniazdo goryla było doskonale osłonięte ze wszystkich stron gęstemi gałęziami. My zaś, leżąc na lekkiem rusztowaniu, rzucaliśmy dokoła przenikliwe spojrzenia, łowiąc uchem najlżejszy szmer.

Wszędzie jednakże panowała głęboka cisza; puszcza, znużona tropikalnym upałem, jaki zawsze panuje w Afryce pomiędzy 10-ą a 1-ą po południu, spała. Krzyki ptactwa, które rano uwijało się licznie pomiędzy konarami drzew, umilkły; oczekiwało ono w najbardziej pogrążonych w cieniu skrytkach, aż słońce przestanie rozsiewać dręczący żar. Wszystko oddawało się drzemce; nawet rośliny opuściły liście; w ciężkiem, wilgotnem i gorącem powietrzu najmniejsza gałązka nie zadrżała.

O takiej porze las wygląda jak martwa, pozbawiona mieszkańców pustynia.

Wiedzieliśmy doskonale o tem, iż żadne stworzenie nie opuszcza w upał swego legowiska i nie spodziewaliśmy się ujrzeć goryla prędzej, aniżeli nad wieczorem. Niebawem też leżąc nieruchomie w szałasie, uczuliśmy, jak na powieki zstępuje nam ociężałość, której daremnie próbowaliśmy się oprzeć. W godzinę potem wszyscy trzej spaliśmy smacznie, nie przeczuwając, jaki widok czeka nas po przebudzeniu.

. . . .

Otworzywszy oczy, przekonałem się ze zdziwieniem, że słońce rzuca już mocno ukośne promienie.

Sięgnąłem po zegarek, — czwarta minut trzydzieści pięć.

Przespałem więc sześć godzin bez przerwy. Dlaczegóż jednak Salfo nie obudził mnie?

Oglądam się i nie spostrzegam obok siebie Murzynów. Zniknęli, zabrawszy swe strzelby i rozrzuciwszy gałęzie, któremi byli przykryci.

Zdziwienie moje wzrasta, rozgarniam rękami więdnące liście i wodzę wzrokiem po puszczy.

Zamiast jednak Murzynów, na trawie, pomiędzy drzewami widzę... co?

Przecieram oczy, aby się upewnić, czy nie śnię.

Nie! — Widzę na jawie grupę, złożoną z kilkunastu potężnych goryló w.

Małpy siedzą sobie spokojnie i zrywają długiemi rękami ową trawę, będącą ich ulubionym przysmakiem, nie zwracając najmniejszej uwagi na moją obecność.

Po chwili znajduję wyjaśnienie tego dziwnego na pozór faktu. Oto lekki wietrzyk z głębi puszczy wieje w moją stronę i odnosi wyziewy, które w przeciwnym razie odrazu uprzedziłyby goryló w o tem, iż człowiek znajduje się tuż obok nich na drzewie.

Przyznaję, że w pierwszej chwili serce zabiło mi głośno, uczułem lekki dreszcz trwogi, przebiegający po całem mojem ciele od ramion aż ku stopom. Przeląkłem się, gdyż wiedziałem, co mi grozi w razie, jeżeliby małpy mnie zwietrzyły. Drżąca ręka szukała machinalnie dubeltówki i, napotkawszy lufę, ścisnęła ją kurczowo...

Mam broń, lecz na cóż ona mi się przyda?

Musiałbym dwoma strzałami powalić kilkunastu goryló w, inaczej rozjuszone zwierzęta rozdarłyby

mnie na sztuki... A więc trzeba leżeć cicho, bez ruchu i czekać.

Jak dawno goryle pojawiły się? Gdzie się podzieli moi Murzyni?

Najprawdopodobniej nie spali, a spostrzegłszy zdaleka małpy, uciekli natychmiast, pozostawiając mnie na łasce Opatrzności...

Zawrzałem oburzeniem przeciwko nikczemnikom, którzy nie czuli się nawet w obowiązku ostrzedz mnie o niebezpieczeństwie.

Jak dawno się to stało? Ha, kto wie, może od kilku już godzin znajduję się w towarzystwie goryłów, nie wiedząc wcale o tem!?

W chwilach wielkiego niebezpieczeństwa człowiek przerzuca się nagle od trwogi do zuchwałej odwagi. Coś podobnego działo się wtedy ze mną.

Zacząłem ze wzrastającą ciekawością obserwować małpy, jak gdybym znajdował się w ogrodzie zoologicznym, poza żelaznemi kratami, a nie w głuchej puszczy afrykańskiej, o pięćdziesiąt zaledwie kroków od groźnych bestji.

Patrzyłem, starając się nie uronić ani jednego ruchu tych rzadkich istot, które tak niespodziewanie miałem sposobność śledzić w ich rodzinnych matecznikach.

Leśni ludzie byli bardzo zajęci jakąś naradą. Powiadam naradą, bo ich zachowanie zupełnie mnie do tego upoważnia. Stare samce, porosłe długim na kilka cali, szarym włosem, podobne zdumiewająco z profilu do Murzynów, siedziały poważnie na trawie u stóp olbrzymiego mahoniu i, skubiąc od niechcenia trawę, wyrzucały od czasu z szerokich

piersi jakieś gardłowe dźwięki, które podchwytywało całe towarzystwo. Matki trzymały się cokolwiek na uboczu wraz z małpiątkami, które igrały i swawoliły, jak rozpieszczone dzieci, bijąc sie pomiędzy sobą, skubiąc stare za uszy, wyrywając się z ich objęć po to, żeby skoczyć na gałąź sąsiedniego krzaka...

Samice patrzyły z widocznym zadowoleniem na figielki swych dziatek i nie okazywały najmniejszego zniecierpliwienia. Przeciwnie, z rozczulającą troskliwością przygarniały do siebie wyrywających się bębnów, głaskały łagodnie po łebkach i zachęcały do jedzenia jagód leśnych, które dla nich zebrały.

Był to widok oryginalny, a zarazem wzruszający.

Najzłośliwsze stworzenia pod wpływem macierzyńskich uczuć stają się tkliwemi i łagodnemi względem swych młodych!

Tak, była to najformalniejsza małpia sesja. Najczęściej odzywał się stary samiec, któremu towarzysze jego okazywali niby jakiś szacunek.

— Czyżby te zwierzęta miały pojęcie o zwierzchnictwie i władzy? — pytałem w duchu. — Dlaczegożby nie! Alboż żórawie, ciągnące kluczem pod obłokami, nie obierają przewodnika? Ażali bawoły, słonie w puszczy nie uznają jednego z pośród siebie za najdoświadczeńszego, najmądrzejszego i nie powierzają mu pieczy nad bezpieczeństwem swojem?

Przykładów takich istnieje mnóstwo pomiędzy niższemi stworzeniami; nie popełniłem więc niedorzeczności, przypuszczając, że ów stary samiec piastował godność wodza w gromadzie mpongów, czyli ludzi. leśnych

Prawdopodobnie okazywano mu szacunek i posłuszeństwo nietylko dla jego doświadczenia, ale i dla niepospolitej siły fizycznej. Mimowoli podziwiałem jego potężnie rozrośnięte barki, atletyczną muskulaturę ramion i grubość karku. Inne goryle były prawie tak samo rozwinięte. Teraz łatwo już mogłem uwierzyć, że opowieści Murzynów o łamaniu i rozgryzaniu luf, o rzucaniu ludzi na odległość dziesięciu kroków, o gruchotaniu kości lampartowi nie należały do rzędu bajek przesadnych, lecz były rzeczywistością.

Nad czem obradowały małpy? Pewnie układały projekt powtórnej wyprawy na plantacje Murzynów, którzy dzisiaj nie spodziewali się najścia. Może też rozważano jaką inną, ważną kwestję? Kto to mógł odgadnąć?

Przestałem łamać sobie głowę nad rozwiązaniem tego pytania i oddałem się cały obserwacjom, do których, jak to łatwo można było przewidzieć, nie trafiłaby mi się powtórna sposobność.

Ktoś, nieświadomy, mógłby być przekonanym, przypatrując się z większej odległości, że ma przed sobą jakie dzikie plemię Murzynów, odpoczywające po łowach; goryle zachowywały się z godnością i powagą, jak wypadało panom puszczy.

Niebawem jednak zauważyłem pewne ślady nieporozumień; dwa samce, które dotąd zgodnie skubały obok siebie trawę, zerwały się nagle z ziemi i, stanąwszy naprzeciw siebie, jęły sie mierzyć groźnemi spojrzeniami, wyszczerzając straszne, błyszczące podwójnym rzędem zęby. Z gardła ich zaczęły wybiegać przeciągłe nizkie tony, które wnet

przeszły w głuchy donośny ryk, odzywający się przeciągłem echem w głębiach puszczy.

Zanim zdążyłem wymiarkować powody tej kłótni, obaj przeciwnicy rzucili się zażarcie na siebie. Rozpoczęła się walka, jakiej zapewne żaden europejczyk przede mną nie był świadkiem.

Powstrzymałem oddech, aby nie stracić ani jednego momentu tego jedynego zjawiska: widziałem dwa czarne, włochate ciała, splątane w potężnym uścisku i tarzające się konwulsyjnie po trawie; dwie głowy okrągłe z wytrzeszczonemi i zaszłemi krwią ślepiami, z rozwartemi paszczami, gotowemi do zatopienia zębów w przeciwniku... Słyszałem głuche uderzenia pięści w żebra, chrzęst kości, giętych atletycznemi ramionami, ponure, dreszczem przejmujące warczenie.

W tej chwili goryle wydawały mi się wcale niepodobnemi do ludzi; były to raczej dwa chciwe krwi i mordu potwory, oddychające namiętnością walki, która mnie, jej świadka, przejmowała dreszczem zgrozy.

Ten nagły wybuch nieprzyjaznych uczuć zakłócił harmonję zgromadzenia. Małpięta, strwożone, pierzchnęły na łona matek, które także były widocznie zaniepokojone. Reszta wstała z zajmowanych miejsc i okrążyła walczących.

Leżałem nieruchomie pod liśćmi gałęzi, śledząc przebieg tego pojedynku... Słońce, ukryte dotąd poza gęstemi zaroślami i koronami drzew, wyjrzało na chwilę przez jakąś szczerbę, oblało jaskrawem skośnem światłem grupę gorylów, moje schronienie i twarz moją, zapewne pobladłą ze wzruszenia.

Wtem przeciwnicy zaprzestali zapasów i rozłączyli się, brocząc krwią, która znaczyła purpurą zielony kobierzec flory leśnej. Spektatorowie zaczęli bacznie rozglądać się na wszystkie strony, wciągając w płuca powietrze, jakgdyby się starali wyczuć w niem jakieś podejrzane wyziewy.

Ten nagły popłoch zatrwożył mnie w najwyższym stopniu; czyżby goryle zwęszyły mnie?

Rzuciłem szybko okiem na wiotkie, długie gałązki sąsiedniego drzewa, aby zbadać kierunek wiatru. Rezultat obserwacji powiększył jeszcze moje obawy... Tak, nie myliłem się, prąd powietrza zmieniał się pod wieczór i teraz wiał wprost ode mnie ku miejscu, gdzie się małpy znajdowały.

Niech licho porwie! goryle odkryły obecność człowieka. Jeżeli mnie spostrzegą, zginąłem!

Instyktownie cofnąłem się w głąb szałasu, lecz niebawem przekonałem się, że ostrożność ta była już spóźniona.

Małpy, węsząc ciągle, zbliżały się do drzewa, jak gdyby pragnęły poznać lepiej, skąd im niebezpieczeństwo groziło. Naprzód wysunął się ów poważny goryl, którego uważałem za przewodnika stadka, i, krocząc na czworakach, jak pies, biegł szybko wprost na mnie.

— Co czynić? – szepnąłem.— Jeżeli strzelę, zdradzę się ostatecznie i wprowadzę we wściekłość bestje. Trzeba czekać, dopóki się da, i nie tracić zimnej krwi...

Pochwyciłem dubeltówkę, odwiodłem kurki, wysunąłem lufy i wziąłem na cel starego goryla; dwa zapasowe naboje trzymałem w zębach, ażeby

po strzale, bez straty czasu, módz nabić broń powtórnie. Od powierzchni ziemi do gniazda, w którem siedziałem, było 7—8 metrów; przestrzeni tej małpa nie mogła przecie przebyć jednym susem. W każdym więc razie miałem parę sekund na dokładne wzięcie na cel napastnika.

Już byłem zdecydowany pociągnąć za cyngiel, gdy nad moją głową, gdzieś wysoko, rozległ się donośny okrzyk przerażenia; równocześnie zaszeleściły gęłęzie i jakieś ciężkie ciało zsunęło się tuż obok mnie po gęstej siatce ljanów.

Ku niewypowiedzianemu zdumieniu poznałem w spadającym człowieku mojego Murzyna, Salfo.

Nieszczęśliwy daremnie usiłował pochwycić za jakaś gałąź lub pnącz. Wszystko wyślizgiwało mu się z ręki i w parę chwil potem padł ciężko tuż prawie u stóp zbliżającego się goryla.

Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie zrobił na mnie ten niespodziewany wypadek. Podobnie oddziałał on i na małpę, która zatrzymała się jak wryta, nie wiedząc, co czynić.

Salfo, ujrzawszy się w oko ze straszną bestją, usiłował się podnieść, lecz daremnie; widocznie musiał się potłuc w upadku z drzewa.

Niebezpieczeństwo było groźne, tuż bowiem za starym samcem kroczyła reszta gorylów, wydając głuche, gniewne warczenie.

W tej chwili, nie zwlekając, dałem ognia. Snać kula trafiła, bo goryl zachwiał się. Zamiast jednak upaść, podniósł się na tylne nogi, wyprostował imponującą postać i gwałtownie jął uderzać pięściami w szeroką pierś, z której wypłynęło dłu-

gie, chrapliwe i donośne ryczenie, podobne do głosu, jaki wydaje raniony lew.

Słyszałem nieraz od Negrów, że goryl w ten sposób objawia swoją wściekłość. Rzeczywiście strach było patrzeć w owej chwili na zwierza.

Oczy jego płonęły dzikim ogniem, włosy zjeżyły się na głowie, zęby zgrzytały, uderzana klatka piersiowa jęczała.

Mimowolnie opuściłem broń, czułem jakąś niewytłomaczoną trwogę na widok tego paroksyzmu wściekłości; miałem jakby sparaliżowane ręce.

Stało się! Goryle wiedziały już o zuchwalcu, który przyszedł do ich kryjówek i zabierały się do ukarania go.

W jednej chwili gromada rozjuszonych małp otoczyła nieszczęśnego Salfo i drzewo, na którem siedziałem. Jedna z nich chyłkiem pobiegła do leżącego na ziemi Murzyna, uchwyciła go ręką za ramię i podniosła je do gęby... Usłyszałem chrzęst gruchotanej w zębach kości i bolesny jęk Negra.

To mi powróciło przytomność umysłu. Wypaliłem powtórnie, kładąc na miejscu napastnika. W trzy sekundy potem moja odtylcówka była znów nabita.

Kiedym wszakże wychylił znów głowę z pomiędzy gałęzi, ujrzałem, ku wielkiej radości, że goryle, strwożone hukiem i śmiercią towarzysza, zabierały się do odwrotu. Tylko ów stary samiec stał jeszcze pod drzewem i uderzał w pierś pięściami.

Czułem, że lada moment zwierz rzuci się na Salfa i dobije go. Bez wahania więc posłałem mu dwie nowe kule.

Kiedy dym rozwiał się, goryl trzymał się jeszcze na nogach, ryk jednak słabnął, na ustach otwartych ukazała się krew, buchająca kłębami z przestrzelonego płuca.

Porzuciłem bezużyteczną w tej chwili dubeltówkę; z szybkością błyskawicy zsunąłem się z gładkiego pnia na ziemię, z nożem myśliwskim w ręku poskoczyłem ku słaniającemu się gorylowi i zatopiłem mu go w boku po same jelce.

Zwierz miał tyle jeszcze siły, że pochwycił zabójcze narzędzie lewą ręką, wyciągnął je z rany i odrzucił od siebie; potem zmierzył mnie zamglonemi oczami, zatoczył się i runął ciężko, przygniatając swem ciałem Murzyna.

Obejrzałem się. Stado małp znikło gdzieś w gąszczu; polana, gdzie przed chwilą odbywały się narady i walka samców, była pusta. Odetchnąłem z całej piersi, jak człowiek, który uszedł cudownie niezawodniej śmierci.

Nagle usłyszałem moje nazwisko, wymówione drżącym głosem. Podniósłszy głowę, spostrzegłem drugiego mego Murzyna, skulonego na samym prawie szczycie drzewa.

— Co tam robisz? — zagadnąłem.

Negr odpowiedział mi nie prędzej, aż zlazł na ziemię.

— Panie, my nie uciekliśmy — rzekł, trzęsąc się, jak w febrze. — Chcieliśmy tylko wdrapać się na wierzchołek, bo mpongi pokazały się na łące. Tam bezpieczniej.

— A Salfo?

— Gałąź ułamała się pod nim i spadł.

— Został ukarany za tchórzostwo—mruknąłem, zbliżając się do rannego.

Negr leżał zemdlony. Kilka łyków araku wlanego w usta i czarka wody z poblizkiego strumienia wróciły mu jednak przytomność. Opatrzywszy go, przekonałem się, że jest silnie potłuczony. Nadto goryl zgruchotał mu ramię niżej łokcia.

Z trudem przetransportowaliśmy go do wioski gdzie opowiadanie o przygodzie z ludźmi leśnymi wywołało prawdziwą sensację.

Nazajutrz cała ludność udała się ze mną w głąb puszczy i w tryumfie zabrała ciała dwóch gorylów, których szkielety, skóry i fotografje pośmiertne są dotychczas ozdobą mojej kolekcji.

W Krainie Ludożerców

I.

Jak Skorupa wybiera się jechać za morze.

Kuba Orczyk urodził się pod Poznaniem i od dwudziestego roku życia był flisakiem na Wiśle. Przez okrągłe sześć lat spławiał drzewo z Galicji aż do samego Gdańska na morze Baltyckie. Stanąwszy u celu podróży z tratwą, wracał znów do Galicji, najmował się na drugą tratwę i tak ciągle, bez przestanku, przez całe lato... Ciągnąć ciężkie wiosło, spać w budce ze słomy i jeść byle co—takie życie każdemu, koniec końców, musi się dać we znaki. To też Kuba od ust sobie odejmował, a oszczędzał, składając grosz do grosza, w nadziei, że kiedyś będzie mógł sobie kupić parę morgów gruntu i wziąć się do roli. Pan Bóg jeden wie, z jakim trudem Orczyk zdołał sobie zebrać po sześciu latach dwieście rubli.

Miał on przyjaciela, Jana Skorupę, również flisaka, pochodzącego z tej samej parafji, co i on. Obaj zawsze trzymali się razem, zawsze na jednej tratwie jeździli, z jednej misy jedli, z jednej butelki pili, a nawet sypiali przy sobie. Orczyk lubił Skorupę, bo to był chłop wesoły, uczynny i niegłupi. Z pod sercaby sobie ujął, a drugiemu dał. Zanadto tylko może lubił pić, i to było jego wadą; był także tro-

chę letkiewicz, bo nigdzie miejsca nie zagrzał: to się godził za parobka do gospodarza, to znowu za tracza, ale wnet rzucał zajęcie i brał się do innego, bo wszystkiego umiał po trochu.

I tak na niego było wiele, że wytrzymał przez dwa lata z rzędu na flisactwie, choć ciągle narzekał i myślał o czemś innem.

Otóż raz na Św. Michał obaj przyjaciele, Kuba i Jan, przypłynęli z wielką tratwą bali do Gdańska. Wzięli sporo grosza do kieszeni i dalejże, jak zawsze, na miasto, ludziom się przypatrywać.

Idąc wolno, zawlekli się kawał drogi za miasto aż do portu, gdzie zatrzymują się okręty, przybywające z morskiej podróży. Tutaj, tuż przy brzegu, ujrzeli wielki statek parowy, z którego właśnie wynoszono na brzeg paki z zamorskiemi towarami, a w pobliżu wysokiej góry, ułożonej z baryłek, skrzynek i worków, stało kilku marynarzy w koszulach z wykładanemi szeroko kołnierzami i w szerokich spodniach.

— To pewnie majtkowie*) z tego tu statku — rzekł Skorupa, trącając łokciem swego towarzysza — trzeba z nimi pogadać.

Obaj z Kubą, kręcąc się oddawna wśród Niemców, mowę ich trochę znali i rozumieli. Zbliżył się Jan do marynarzy i zapytał:

— A zdaleka to?

— Powróciliśmy z Australji, mój bracie — odrzekł Niemiec, uderzając po ramieniu Skorupę swą ciężką łapą.

*) Majtek jest to człowiek, służący na okręcie.

— Z Australji?—zadziwił się Jan...—A gdzieżto ta Australja?

— Gdzie? Długoby o tem mówić — rzekł majtek. — Jak pojedziesz, to się dowiesz.

— A siła czasu potrzeba na taką jazdę? — zagadnął Jan.

— Ha-ha! okrągłe dwa miesiące.

— O, dla Boga! — zawołał Orczyk, chwytając się za głowę.—I to ciągle morzem się płynie?

— Pewnie, że statek po lądzie nie pójdzie — zaśmiał się majtek.

— To pewnie dalej, niźli stąd do Krakowa — odezwał się Skorupa. — No, ale chodźmy wypić, to nam jeszcze co opowiecie o onej Australji.

Marynarze nigdy nie odmawiają kieliszka, niebawem też cała kompania siedziała w poblizkim szynku.

Jeden z majtków, rozmowniejszy od innych, zaczął flisakom tłómaczyć, że Australja jest to wielka wyspa, daleko za oceanem, prawie tak duża, jak cała Europa. Powietrze — mówił — jest tam łagodne, choć miejscami panują wielkie upały, ale zato zimy, takiej jak u nas, ze śniegiem i mrozami, niema wcale, tylko jest tak, jakby jesień — pora deszczów.

Opowiadał, że tam ludzie nietylko pszenicę sobie sieją, ale sadzą taką trzcinę, co z niej cukier można robić, albo też krzaki, dające kawę, zbierają bawełnę, a najwięcej hodują owiec, bo za wełnę dobrze płacą, a pastwiska są ogromne, prawie za darmo.

— To tam ziemia musi być niedroga? — odez-

wał się Kuba, który ciągle myślał o swoim przyszłym gruncie.

— Tania jest, bo ludzi mało; każdy może ją dzierżawić od rządu, albo kupić za marne pieniądze.

— Jabym kupił — zawołał Orczyk, podnosząc się — tylko że za nicbym nie chciał jechać przez wielką wodę do onej Australji.

— Tak, tak — prawił Niemiec — w Australji każdy łatwo może zostać właścicielem ziemi, hodować owce i krowy, a jak mu się nie powiedzie z bydłem, to idzie złoto kopać.

— Złoto? czy tam złoto w ziemi leży? — zagadnął Jan.

— A gdzieżby? jest zmieszane z piaskiem, i ludzie wypłókują je wodą.

— Słyszysz, Kuba? — rzekł po polsku Skorupa do swego towarzysza. — Czy te Niemcy aby nas nie obełgują? Jeżeli to prawda, to pojadę do tej Australji, jak mi Bóg miły! człek we dwa lub trzy lata grosza nabierze, wróci i będzie żył, jak pan! co?

— Et! głupstwa gadają — mruknął Kuba — nic temu nie wierzę.

— Pocóżby łgali? — odparł Jan.

Rozmowa ciągnęła się dalej. Jan dopytywał się wciąż o Australję; Niemcom przy kieliszku rozwiązały się języki.

Skończyło się na tem, że zaczęli namawiać obu flisakow do podróży za morze. Kuba ani słuchać nie chciał o Australji; ale Jan, który zawsze myślał o tem, żeby nic nie robić, a mieć pieniądze, zgodził się odrazu.

— Przygotuj-że się, bo za dwa tygodnie odpływamy — rzekł jeden z majtków, kiedy się już rozstawali z porządnie kurzącemi się czuprynami.

— Za przejazd zapłacisz sto marek, a resztę pieniędzy schowaj, bo roboty możesz zaraz nie znaleźć.

— O, mam trzysta marek, to wystarczy! — zawołał Jan, pokazując na piersi.

— No, to do zobaczenia!

— Do zobaczenia!

— Przyjdź za tydzień do kapitana i zapisz się, żeby ci miejsce zostawili na okręcie.

— Dobrze, przyjdę z pewnością.

Z temi słowy flisacy rozstali się z Niemcami i podążyli chwiejnym krokiem do domu.

II.

Chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi.

Dwa tygodnie szybko minęły.

W sobotę Jan otrzymał wiadomość od marynarzy, że statek wyrusza w drogę nazajutrz o świcie. Przyjaciele zaczęli się tedy żegnać.

Kuba, chcąc być jak najdłużej ze Skorupą, udał się wraz z nim łodzią na okręt.

Na pokładzie parostatku gwarno było i ruch panował wielki. Podróżni przybywali ciągle i zajmowali swoje miejsca.

Skorupa spostrzegł natychmiast znajomych majtków, którzy przywitali go wesoło.

Kiedy przyszło do ostatecznego pożegnania, które nie obeszło się bez kieliszka, obaj przyjaciele tak się rozczulili, że Kuba ledwie trzymał się na nogach.

— No, czas już, żebyś się wynosił, bo za chwilę odpływamy — rzekł jeden z majtków — idź temi schodami na pokład, a tam zobaczysz mostek z desek do małego parostatku, który odwiezie cię na brzeg. Ruszaj prędzej!

Popchnął go ku schodom, wyprowadził na górę, pokazał palcem drugi koniec pokładu i mostek, po którym schodzili ludzie.

Znalazłszy się nagle na otwartem powietrzu, Kuba poczuł, że nogi nietęgo jakoś go noszą i w głowie mu się okrutnie kręci.

Powlókł się jednak, zawadzając co chwila to o jaką pakę, których pełno było na pokładzie, to o worek, to wreszcie zataczając się tak, że potrącał mijających go majtków.

Z trudem wielkim udało mu się przejść ze dwadzieścia kroków; już, już znajdował się niedaleko owego mostka, gdy nagle nogi mu się zaplątały i runął jak długi na cały stos lin okrętowych, porzuconych u stóp masztu. Chciał się nieborak podnieść, ale jeszcze gorzej uwikłał się w powrozach, tak że prawie zupełnie w nich się zakopał, tylko mu nogi było widać.

Chwilę leżał, i zdawało mu się, że jedzie na karuzelu; w głowie jęło mu szumieć, opanowała go ciężka senność i niebawem przestał wiedzieć, co się z nim dzieje...

. . . .

Podczas gdy Orczyk smacznie chrapał pod stosem lin, ludzie schodzili po mostku, aż wreszcie na pokładzie pozostali sami tylko podróżni. Oficer, zapytawszy, czy jeszcze kto nie chce wysiąść, rozkazał zdjąć mostek. Mały statek zaświstał i odpłynął z powrotem do brzegu. Wielki okręt odpowiedział mu także swoją świstawką, od której aż w uszach zaświdrowało, i zaczął przygotowywać się do odja-

zdu. Wyciągnięto kotwicę*), puszczono w ruch maszynę i powoli ruszono z miejsca. Okręt wyminął kilkanaście innych statków, także stojących na kotwicy, i niebawem wypłynął z portu na morze. W godzinę potem ziemia była już ledwie widzialna na linji, gdzie się niebo styka z oceanem, a w dwie godziny znikla zupełnie. Dokoła okrętu, jak tylko okiem zasięgnąć było można, rozpościerała się woda i woda.

Powoli na pokładzie zapanował porządek; majtkowie poznosili na spód okrętu paki, zawalające niepotrzebnie miejsce, i zabrali się do ułożenia lin, rozrzuconych pod masztem.

Jeden z nich, ujrzawszy nogi, wystające z lin zaczął za nie ciągnąć.

Zbudzony tak gwałtownie z głębokiego snu, Kuba zdziwionemi oczami spoglądał na statek i nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć, jak się tu dostał.

— A ty co robisz tutaj? — zawołał majtek.

Kuba nagle oprzytomniał.

— O la Boga! — zawołał — toć ja jadę... Bójcie się Boga, ludzie! Zawróćcie statek do lądu, bo ja za nic nie popłynę do Australji!

Majtkowie wybuchnęli głośnym śmiechem:

— Ha, ha, ha! Patrzcie go, każe zawracać! — wołali, trzymając się za boki.

— Wrzucimy cię do morza, to sobie sam popłyniesz z powrotem do Gdańska — rzekł jeden.

---

*) Kotwica jest to wielki, podwójny hak żelazny, który zarzuca się na dno morskie; utrzymuje on okręt na miejscu.

— Ojoj! dodał drugi — a jeżeli nie chcesz, to cię wysadzimy za trzy dni w Anglji, stamtąd pójdziesz sobie piechotą do domu.

Flisak poznał, że żartują sobie z niego. Ambicja go wzięła.

— Jak będę chciał, to wrócę, choćby z Anglji, a jak zechcę, to pojadę ze Skorupą! — odparł hardo.— Pieniędzy na szyfkartę jeszcze mi wystarczy!

Powiedziawszy to, splunął i ruszył na przód okrętu, poszukać Jana.

Niezmiernie się Jan zdziwił, ujrzawszy niespodzianie swego przyjaciela.

— Setny z ciebie chłop, Kubo! - zawołał z radością. — Niech cię uściskam za to, żeś został i jedziesz ze mną.

— Bodajem był okulał, zanim tu się przywlokłem za tobą! — odparł Kuba, spluwając znowu.

Kiedy opowiedział Janowi, co mu się przytrafiło, ten pokiwał głową.

— Widocznie sądzono ci było jechać ze mną do Australji — rzekł. — Zobaczysz, że jeszcze kiedyś podziękujesz Panu Bogu za to, na co tak wyrzekasz.

Kuba nie dał się jednak pocieszyć; usiadł smutny w kącie i zaczął rozmyślać nad swoim losem, który mu kazał wbrew jego woli jechać za morze do nieznanego kraju.

— Ha, dziej się wola Boska! — rzekł w końcu.

Poszedł do kapitana, z bólem serca zapłacił za przejazd do Australji i spuścił się zupełnie na losy.

Dla kompanji dał się cygan powiesić!

. . . .

Długo, bardzo długo trwała podróż flisaków do Australji. Dni i tygodnie mijały, a oni nie widzieli nic więcej, oprócz olbrzymiej, nieskończonej powierzchni wody modrej, pofałdowanej goniącemi się wciąż falami, które podczas wiatru zamieniały się nagle w gniewne góry wodne, uderzające wściekle o statek. Kilka razy zatrzymano się na krótki czas dla nabrania zapasu węgla kamiennego, lecz ani Kuba, ani Jan nie opuszczali okrętu.

Z początku podróż bawiła ich: z przyjemnością przypatrywali się morzu, pląsającym w fali rybom, przejeżdżającym mimo okrętom; powoli jednak wszystko to przestało ich zajmować. Zdawało im się, że nigdy nie będzie końca tej podróży.

Nareszcie, po sześciu tygodniach jazdy, okręt zatrzymał się w jakimś porcie. Był to Taunswil, położony na północno-wschodnim brzegu Australji.

Flisacy zabrali swoje manatki i z bijącem sercem wysiedli na nieznany ląd, niepewni jaka dola czeka ich w tej obcej, a z opowiadań ludzi strasznej krainie.

III.

U celu podróży.—Wieści o kopalni złota.—Wyprawa po fortunę.

Dokąd się udać? co z sobą robić? — oto pytania, jakie zadali sobie Jan i Kuba, znalazłszy się już na lądzie australijskim.

I z pewnością nie umieliby sobie na nie odpowiedzieć, gdyby nie ich znajomi majtkowie. Widząc niezaradność obu flisaków, zaprowadzili ich na kolej, kupili im bilety, wsadzili do wagonów i wyprawili w głąb kraju.

— Tutaj nie macie co robić! — rzekł na pożegnanie tłusty Fryc, majtek, który okazywał im najwięcej przyjaźni.—Musicie jechać dalej, gdzie ludzi potrzeba. Skoro wysiądziecie z wagonu, rozpytajcie, gdzie są folwarki kolonistów angielskich, idźcie do pierwszego lepszego i szukajcie roboty.

Po dwudniowej blisko podróży koleją Jan i Kuba dojechali do stacji, leżącej w żyznej, pełnej pól i pastwisk okolicy, i z węzełkami na plecach, a kijami w ręku, puścili się na poszukiwanie pracy.

Już z okien wagonu zauważyli, że okolica, którą przebywali, różniła się bardzo od tego, co widzieli w kraju. Ziemia, jak ziemia: równa, płaska, tu

i owdzie pokryta falistemi wzgórzami, zdala widać było nieprzejrzane obszary stepów, pokryte kępami wysokiej, ostrej trawy, to znów lasy i zarośla. Rosły tam jakieś dziwne drzewa, o twardych długich a wązkich liściach, szarawej barwy, zwróconej kantem do słońca i przez to nie dających prawie cienia. Inne znów drzewa dochodziły do olbrzymiej wysokości i grubości, jakiej u nas w Europie się nie spotyka.

Obok nich rosło pełno akacji, z drobnym szarozielonym liściem, i innych drzew, pomiędzy któremi wznosiło się wiele palm o gładkim a wysokim pniu, ustrojonym na szczycie kilkunastoma ogromnemi liśćmi, niby pękiem zielonych piór.

Na polach uprawnych, których zresztą było niezbyt wiele, zamiast żyta i pszenicy, nasi wędrownicy widzieli tu kukurydzę, gdzieindziej wysoką trzcinę, z której wyrabia się cukier, drzewka kawowe, bawełniane i inne rośliny, zupełnie im przedtem nieznane. Na każdym kroku spotykali stada owiec i krów, pasących się na łąkach i strzeżonych przez konnych pastuchów.

Z początku przyjaciele podupadli na duchu, bo im się zdawało, że na nic się nie przydadzą w tym kraju, gdzie ludzie zupełnie inaczej gospodarują, aniżeli w Europie; powoli jednak nabrali odwagi i zaczęli wstępować tu i owdzie.

Z wielką biedą mogli wytłumaczyć, czego chcą, bo w Australji mówią po angielsku. Pomagając sobie jednak niemczyzną, zdołali wreszcie po kilku dniach włóczęgi porozumieć się z jednym kolonistą,

który napisał im list do swego sąsiada, potrzebującego właśnie cieśli i traczów.

Niewiele myśląc, udali się do owego kolonisty i ten, ku wielkiej ich radości, zgodził obu zaraz do siebie. Oprócz życia, obiecał płacić każdemu za obrabianie drzewa po gwinei*) na tydzień.

— A widzisz — rzekł Skorupa—bałeś się, nie chciałeś jechać, a teraz patrz, że tu o robotę nietrudno i dobrze za nią płacą. Trzeba się tylko pilnować, żeby nas stąd nie wypędzili.

Robota nie była łatwa: trzeba było ciąć drzewo i belki na strasznym upale. Ale powoli flisacy oswoili się z gorącem słońcem australskiem.

Wieczorami, po skończonej pracy, gawędzili ze swymi towarzyszami, dwoma Niemcami, którzy także od niedawna dopiero byli w Australji. Od nich dowiadywali się rozmaitych nowych dla siebie rzeczy o „Ziemi Królowej“, tak bowiem nazywała się prowincja Australji, do której rzuciły ich losy.

W kraju tym, większym od niejednego z państw Europy, jest zaledwie pół miljona ludzi, chociaż zmieściłoby się na nim i wyżywiło z łatwością 20 razy tyle. Grunty, bardzo żyzne, należą do rządu, który odprzedaje albo wydzierżawia je kawałkami wszystkim za niewysoką cenę Mieszkańcy tej części Australji, przeważnie koloniści z Europy, trudnią się rolnictwem i hodowlą bydła na wielkich łąkach, których tam nie brakuje. Niektórzy zajmują się poszukiwaniem złota, które tam znajduje się w wielu miejscowościach.

---

*) Gwinea—pieniądz angielski, równa się 23 zł. rublom

Kuba i Jan, zadowoleni z wysokiego zarobku, pracowaliby może na kolonji Bóg wie jak długo, gdyby nie pewien wypadek.

W miesiąc może po przybyciu na kolonję gruchnęła nagle po okolicy wieść, że o 30 mil stamtąd, w głębi kraju, odkryto niezmiernie bogate kopalnie złota.

Z początku nikt w to nie wierzył, ale kiedy ludzie zaczęli sobie powtarzać historje o szczęśliwcach, którzy zbogacili się w nowych minach *), i kiedy gazety zaczęły pisać to samo, nie można już było wątpić, że wieść jest prawdziwa.

Nadzieja łatwego zdobycia fortuny zawróciła niejednemu głowę, jak to często zdarza się w Australji; to też tłumy prawdziwe podążyły na owe miejsca. Parobcy opuszczali folwarki i powierzone sobie stada, robotnicy porzucali robotę, słowem, kto żyw, ten biegł po złoto.

Próżno właściciele ziemi, pozbawieni robotników, prosili, błagali, obiecywali podwyższyć wynagrodzenie; nic nie zdołało powstrzymać ludzi, ogarniętych gorączka złota.

Widzac, co się dzieje, Jan natychmiast wymówił swojemu gospodarzowi robotę i, nie namyślając się, oświadczył Orczykowi, że jedzie szukać złota.

— Kiedy wszyscy lecą, to widać, że mają po co — powtarzał z przekonaniem.

Tym razem już i Kuba nie odwodził towarzysza od zamiaru, i jemu też gadanie o złocie przewróciło w głowie.

---

*) Mina — tak się nazywa miejsce, obfitujące w metal lub rudę.

— I ja jadę z tobą — rzekł stanowczo — jak się nam nie uda, to powrócimy tutaj i znowu weźmiemy się do ciesiołki.

Jak rzekli, tak zrobili. Ponieważ i obaj Niemcy, co z nimi pracowali na kolonji, także postanowili szukać szczęścia w kopalni, wybrali się więc wszyscy razem.

Kupiwszy konie, łopaty, miski i kilofy, wyruszyli pewnego poranku w towarzystwie dwudziestu innych ludzi z okolicy, w kierunku owej kopalni, o której opowiadano cuda nadzwyczajne.

Partja poszukiwaczy złota, z którą wędrowali Skorupa i Orczyk, wyglądała, jak banda włóczęgów. Byli tam, oprócz starych kopaczy, najrozmaitsi ludzie: pastucha, parobcy, rzemieślnicy, ba! nawet majtkowie, którzy uciekli z okrętu. Rzadko który z nich posiadał narzędzia potrzebne do kopania złota.

Większa część szła z gołemi rękami, pieszo, z małemi zawiniątkami, przewieszonemi przez plecy. Niektórzy jechali na małych wózkach po kilku, inni pchali przed sobą taczki z całem swojem mieniem.

Jakiś Niemiec miał nawet wielkiego psa, któremu władował na grzbiet kołdrę, miskę, łopatkę i blaszankę z wodą. Nikt nie pytał, co będzie jadł, co na grzbiet włoży i czem będzie pracował; wszystkim chodziło tylko o to, żeby dostać się jak najprędzej do kopalni i zacząć grzebać w złotodajnym piasku

Ma się rozumieć, że każdy bez wyjątku spodziewał się prędko zbogacić.

Owi starzy kopacze przewodzili całej gromadzie. Słuchano ich chętnie, bo wiedziano, że mają doświadczenie i potrafią dać sobie wszędzie radę.

Przewódcy, spostrzegłszy, iż niektórzy z poszukiwaczy złota nie mają żadnych zapasów, kazali złożyć na wóz wszystką żywność i codzień wydzielali każdemu jednakowe porcje.

Ze wszystkich towarzyszów Jan i Kuba najwięcej polubili pewnego drwala, Niemca, i trzymali kompanię z nim razem. Nazywał się on Józef Braun i pochodził z Prus Zachodnich.

Na drugi dzień podróży, gdy, wysunąwszy się we trzech naprzód, znaleźli się na obszernej polance pod lasem, Braun pokazał im stado jakichś dziwnych zwierząt, które skakały na tęgich tylnych nogach, podpierając się grubym ogonem; przednie łapy miały krótkie, nie dostające do ziemi, mordy długie, zaokrąglone, uszy śpiczaste, sterczące jak u konia, ciało ich było porosłe krótkim, szaro brunatnym włosem.

— Kangury — rzekł Braun, wskazując na pasące się zwierzęta.

Ujrzawszy ludzi, kangury zaczęły umykać wielkiemi susami. Widząc to, Skorupa i Orczyk podcięli swoje konie i popędzili wraz z kilkoma innymi towarzyszami, którzy właśnie nadciągnęli, wołając za sobą duże psy. Kangury z początku uciekały bardzo prędko, ale niebawem zmęczyły się i dały się doścignąć psom, które też zaraz opadły największą sztukę.

Jeden kangur, dorównywujący wzrostem tęgiemu człowiekowi, poczuwszy zęby psie na ogonie,

przystanął nagle pod grubem drzewem, odwrócił się grzbietem do pnia, i dalejże oganiać się od psów przedniemi łapami!

Co który zbliży się do niego, to dostanie pazurami po karku.

Za chwilę przygalopowali jezdni, a tuż za nimi Orczyk, Skorupa i Braun.

— A to ci bestja, nie da się psom! – zawołał Kuba, śmiejąc się.

Braun wyciągnął z za pasa rewolwer i chciał strzelać do kangura, ale dał pokój, bo się obawiał, żeby przypadkiem którego psa nie trafić. Dopiero drugi zlazł z konia, i krótką pałką palnął zwierza po łbie, kładąc go na miejscu.

Skorupa, zaciekawiony, podszedł do kangura i zaczął go oglądać.

Był to stary samiec, nadzwyczaj tęgi i tłusty; u tylnych nóg miał długie i ostre pazury, któremiby mógł łatwo brzuch rozpłatać nietylko psu, ale i koniowi.

Kuba, ciągnąc z całych sił za gruby ogon, ledwie zdołał ruszyć go z miejsca.

— Cudaczne zwierzęta są w tej Australji—rzekł Kuba.

— Juści cudaczne—odezwał się Braun— przecie samice kangurów noszą swoje młode w torbach!

— Jakto w torbaah?—zagadnął zdziwiony Jan.

— A tak. Samica ma pod brzuchem torbę i młode kangury po urodzeniu wkłada tam, dopóki nie podrosną. Czasem stara wypuszcza je, żeby sobie pochodziły trochę i poskubały trawki, a potem znów wskakują same do onej torby.

— No, no! — dziwił się Skorupa.

Zabrano upolowanego zwierza na wóz. Wieczorem odarli go ze skóry i upiekli na wielkim ogniu.

Jan i Kuba, rzecz prosta, wzięli także udział w tej robocie, a w nagrodę za trudy otrzymali na kolację po dużym kawale doskonałej pieczeni, która im bardzo smakowała.

IV.

Spotkanie z dzikimi.

W parę dni po powyższych wypadkach gromadka poszukiwaczy zapuściła się w dziką, górzystą okolicę, ciągnącą się szerokiem pasmem po obu stronach łańcucha gór na wschodniem pobrzeżu Australji.

Niemało trzeba było wysiłku na zwalczanie tysiąca przeszkód, tamujących co chwila drogę.

Przedzierali się przez kolczaste zarośla, torując sobie drogę jak na polu bitwy, z siekierą w ręku; przeprawiali się ponad spienionemi górskiemi potokami, po lekkich, uginających się, naprędce rzuconych kładkach, stąpali ostrożnie tuż ponad brzegiem bezdennych przepaści, otwierających się na każdym kroku.

— W szalonej tej przeprawie utracono wóz z kilkoma końmi, które zabiły się, spadając w otchłań. Lecz to nie wstrzymywało ludzi. Nareszcie góry, oddzielające ich od kopalni, od stosów drogocennego kruszcu, znajdowały się już w tyle, poza nimi.

Naprzód, naprzód, byle jak najprędzej zanurzyć ręce w złotym piasku!

Śpieszono się, żałowano sobie chwili na odpoczynek: zaledwie krótki sen przywrócił ciału słabnącą siłę, już zrywano się i pędzono dalej.

Przebywszy z narażeniem życia pasmo gór, szli dalej olbrzymią równiną, poprzerzynaną licznemi, lecz ubogiemi w wodę rzekami. We wtorek, a więc w tydzień po wyruszeniu w drogę, partja znużona do najwyższego stopnia, rozłożyła się obozem na łące, w cieniu kilkunastu starych drzew, które miały dostarczyć opału.

Zaledwie jednak rozkulbaczono konie i porozkładano na ziemi ciepłe kołdry, gdy jeden z gromadki, stojący na straży, dał znak, iż ktoś się zbliża.

Zerwali się wszyscy na równe nogi i spoglądali w kierunku poblizkiego lasu.

— Dzicy! dzicy! — odezwało się kilka głosów.

Na te słowa Skorupa i Orczyk, zajęci rozpalaniem ognia, podnieśli także głowy do góry i ciekawie rzucili okiem w gąszcz.

— Czy widzieliście kiedy tutejszych dzikich ludożerców? — zagadnął ich Braun.

— Nigdy! — odparł Skorupa, któremu jakoś zimno się zrobiło na to pytanie.

— No to zobaczycie ich zaraz.

W tej chwili z pomiędzy gęstych zarośli wysunęło się kilkanaście czarnych, zupełnie nagich postaci, które na widok obozowiska zawahały się bojaźliwie.

Mężczyźni trzymali w ręku okrągłe drewniane tarcze, długie dzidy z napiłowanemi w zęby ostrzami, krótkie drewniane pałki i jakieś kawałki drzewa,

płaskie, lekko zgięte w łuk. Kobiety nie miały żadnej broni; dźwigały tylko kosze i rozmaite inne przedmioty. Niektóre niosły na plecach małe dzieci.

Cała ta czereda, zatrzymawszy się na skraju lasu, o kilkadziesiąt kroków od gromadki białych, patrzyła pożądliwym wzrokiem na kangura, który piekł się na ogniu.

Chcąc ośmielić dzikich, Braun rzucił im wnętrzności zwierzęcia.

Trzeba było widzieć, z jaką żarłocznością zaczęli je rozrywać pomiędzy sobą: silniejsi chwytali większe kawałki, siadali w kucki i pożerali, jak zwierzęta, swoją zdobycz; słabsi walczyli zawzięcie o resztki, wymierzając sobie wzajemnie kułaki i drąc się za długie, splątane włosy.

W jednej chwili surowe flaki kangura znikły w szerokich gębach. Skończywszy tę wstrętną ucztę, dzicy podchodzili nieśmiało do ogniska, oczekując, jak zgłodniałe psy, nowego datku.

— Dać im skórę z kangura! — zawołał ktoś.

— Tak, skórę z kangura! — powtórzono — niech się trochę pogryzą!

I świeża, jeszcze krwią ociekająca skóra upadła w pośród gromady krajowców.

Biali pokładali się od śmiechu, patrzac na dzikich, rozdzierających pazurami ofiarowany sobie kąsek.

Kilkanaście nagich, chudych ciał splątało się w jedną czarną górę żywego mięsa, poruszającą dziesiątkiem dużych głów, cienkich nóg i rąk. Z łona tego zbiorowiska ludzkiego wznosiły się ku nie-

bu głuche, chrapliwe okrzyki i dochodziła duszna, przejmująca woń potu.

— Tfy! Bydlęta, nie ludzie! — mruknął Orczyk, spluwając.

— Teraz to wierzę, że te bestje pożerają i ludzkie mięso — dorzucił Skorupa. — Nie chciałbym dostać się im na zęby.

Powoli ów stos żywych ciał zmniejszał się; krajowcy, którym udało się zdobyć kawałek skóry, odchodzili na bok; wkońcu pozostały same kobiety i dzieci, które daremnie szukały dla siebie jakiego ochłapu.

Poszukiwacze złota, zadowoleni, że im się nastręczyła taka doskonała sposobność zabawienia się na koszt dzikich, zaczęli ich częstować wódką i tytuniem.

Czarni przyjmowali wszystko skwapliwie i niebawem zupełnie pozbyli się dawnej nieśmiałości. Nałożywszy drewniane fajeczki, pozapalali je u ogniska, usiedli w kucki i puszczali poważni gęste kłęby dymu. Kobiety, które z początku trzymały się zdaleka, nabrały także odwagi i zbliżyły się do swoich mężów. Były one wątłe, chude, przepracowane; brzuch wystający; płaski nos, usta od ucha do ucha, pomarszczona skóra i brud, pokrywający grubą warstwą nagie ciało, czyniły je wprost odrażającemi.

Młode dziewczęta przedstawiały się cokolwiek lepiej, choć także wyglądały, jak straszydła. Pomimo to któremuś z białych przyszło do głowy, żeby pobawić się z niemi, potańczyć.

Szmid, przewódca partji, zbliżył się do jednej z dziewcząt i zaczął ciągnąć ją w taniec. Kilku innych poskoczyło do reszty. Wszczął się zamęt, kobiety, przestraszone, nie rozumiejąc, o co chodzi, zaczęły krzyczeć; dzicy, porzuciwszy fajki, pochwycili za tarcze przybierając groźną postawę.

— Oho! te czarne djabły chcą zadzierać z nami! — krzyknął nieco podochocony Szmid, przytrzymując wydzierającą mu się dziewczynę. — Dajcie no im nauczkę, a porządną!

Na tę bezmyślną i niegodziwą zachętę, awanturnicy wpadli na dzikich z nożami i siekierami, niby banda zbójów. Nieszczęśliwi murzyni zaczęli się bronić i wypuścili kilka włóczni.

Ten opór przyprowadził białych do wściekłości. Odezwał się naprzód jeden strzał, zaraz po nim drugi i trzeci. Wydobyli z za pasa rewolwery i zasypali dzikich gradem śmiertelnych pocisków.

Dwóch krajowców, ciężko rannych, runęło na ziemię, wijąc się z boleści; inni w szalonym przestrachu rzucili się pędem do lasu i znikli niebawem w gąszczu, uprowadzając ze sobą kobiety.

Orczyk i Skorupa przypatrywali się temu zajściu ze zgrozą i odrazą. Nadużycie ufności biednych krajowców i napaść podstępna towarzyszów oburzyły ich do głębi.

V.

Zemsta czarnych.

Nazajutrz po tej krwawej awanturze opuszczono obozowisko później niż zwykle.

Minąwszy las, partja znalazła się na niezmierzonym, nagim stepie. Jak oko sięgnęło, nie dostrzegłeś na równinie nic, oprócz morza wysokiej, spalonej żarem słonecznym trawy, której wysokie źdźbła kołysały się smutnie na wietrze, wydając jakiś suchy chrzęst. Ani jedno drzewo nie urozmaicało tego krajobrazu, na którym wszechwładnie panował oślepiający blask gorącego australskiego słońca.

Wędrowcy, znużeni strasznym upałem, ledwo się wlekli, ocierając pot, zraszający im twarze. Wszyscy z utęsknieniem wyglądali, rychło li ukaże się w odległości jaka grupa zieleni, gdzieby można znaleźć szmat cienia.

Daremnie. Step był strasznie pusty; zdawało się, że nie miał końca. Musieli więc szukać schronienia przed piekącemi promieniami słońca pod brzuchami koni, pod wózkami lub pod rozpiętemi na [illegible] kołdrami. Odpocząwszy chwilkę, zrywano się i pędzono dalej, aby nie tracić drogiego czasu.

Skorupa i Orczyk, znużeni nieznośnem gorącem, jechali o paręset kroków za towarzyszami, drzemiąc na siodle. Braun, który ciągle trzymał się razem z nimi, nie mogąc nadążyć piechotą, pozostał spory kawał w tyle.

W tem Kuba ujrzał, że poczciwy Niemiec przyśpiesza kroku, aby ich dogonić, i daje jakieś znaki rękami.

— Zatrzymajmy się—rzekł—on nam chce coś powiedzieć.

Jan ściągnął cugle swemu koniowi i obaj stanęli.

Braun pędził, ile mu nóg starczyło. Jeszcze nie dopadł towarzyszów, a już krzyczał:

— Pożar, pożar!

— Co on plecie?—zagadnął Orczyk—gdzie pożar?

— Głupi—mruknął Skorupa—coby się tu mogło palić, chyba ta ziemia, albo trawa.

W tej chwili Braun przypadł zdyszany.

— Uciekajmy, dla Boga!—zawołał—Janie, weź mnie na siodło za siebie, bo nas żywcem ludożercy upieką.

— Człowieku! zastanów się, co gadasz!—odparł Orczyk — co się pali? Kto nas chce upiec? Czy ci się w głowie popsuło?

— Powiadam, że łąka się pali; ani chybi, dzicy podłożyli ogień pod suchą trawę, żeby się zemścić za wczorajsze gwałty.

To mówiąc, wskoczył na siodło za Skorupę i popędził cwałem konia.

— Ot, koszałki opałki pleciesz—oburzył się Skorupa. — Ja nigdzie nie widzę dymu.

— No, to spojrzyj za siebie.

Jan obejrzał się. Niebo było pogodne, słońce świeciło jasno; na pierwszy rzut oka nic nie mógł dostrzedz. Dopiero po chwili zauważył zdaleka na samym widnokręgu czarną, nizką chmurę.

— Widzisz tę mgłę? — zapytał Braun — to dym, już go nawet czuć w powietrzu. Sucha trawa pali się, jak proch: jeśli nie uciekniemy, za pół godziny ogień nas ogarnie.

Teraz Jan zrozumiał grożące niebezpieczeństwo, zaciął więc konia i pogalopował naprzód.

Kuba, także przejęty strachem, podążył za nim.

Wiadomość o pożarze rzuciła popłoch pomiędzy wędrowców: kto żył, sadowił się na wózki, lub czepiał się siodeł, porzucał taczki i wszystkie ciężkie przedmioty, żeby tylko prędzej biegnąć.

— Do rzeki, do rzeki! — wołano zewsząd.

Nikt jednak nie wiedział, czy jaka woda znajduje się w pobliżu. Rzucono się więc na chybi-trafi naprzód, w kierunku krzaków, które majaczyły na samym skraju widnokręgu.

Była to szalona jazda. Konie, bite bez miłosierdzia, leciały z chyżością ptaków, pozostawiając za sobą chmury pyłu i oblewając się strumieniami potu

Wszyscy z trwogą śmiertelną w oczach oglądali się na zasłonę dymu, rosnącą w oczach.

Niebawem pokryła ona pół nieba; można już było bez trudności rozpoznać swąd, napełniający powietrze; przykra duszność cisnęła piersi; upał, i tak nieznośny, zwiększył się jeszcze.

— Prędzej, prędzej! Oho! — wołali przewodnicy partji — o, tam rzeka!

Wistocie w promieniach słońca błysneła srebrna wstęga wody, płynącej wpośród karłowatych krzewów.

Ten widok dodał otuchy uciekającym. Biedne konie pod gradem uderzeń, spadających na ich grzbiety, dobywały ostatka sił, ażeby się wydostać z ognistego pierścienia, zagrażającego ze wszystkich stron.

Pożar biegł jednak prędzej aniżeli ludzie; znajdowali się jeszcze o kilkaset kroków od zbawczej rzeki, gdy dosięgła ich olbrzymia chmura duszącego dymu, wśród której migały czerwone języki ognia.

Okrzyk przerażenia, który nagle wzniósł się ku niebu, zagłuszył na chwilę szelest zbliżającego się pożaru.

Ludzie i zwierzęta, oślepieni gryzącym dymem, z zatamowanym przez gorąco oddechem, potykali się, padali i podnosili się znowu z rozpaczliwym wysiłkiem na drżące nogi, czując uściski okropnej śmierci. Dzicy srodze mścili się za swą krzywdę!

Cudem prawie zdążono dobiedz do rzeki i woda zimna, orzeźwiająca, przyjęła w swe łono nawpół uduszonych. Konie, uczuwszy pod sobą zbawczy żywioł, klękały, żeby się w nim pogrążyć. Ludzie, z tlejącem ubraniem, wysuwali się z obłoków dymu i bezwładnie padali w wodę, inni zeskakiwali z wózków i brodząc, szukali głębszych miejsc, lub starali się przeprawić na drugi brzeg, dokąd pożar nie sięgał.

Ponad pluskiem zmąconej fali górowały straszne jęki tych, którzy, nie zdążywszy dobiedz do rzeki, wili się, jak potępieńcy w płomieniach.

Ale nikt z ocalonych nie słyszał tych rozpaczliwych błagań o ratunek, nikt nie śpieszył z pomocą, każdy myślał o sobie tylko, usiłując wydostać się z gęstych tumanów dymu i iskier palących płuca.

W tej strasznej chwili, Kuba, Jan i Braun, dopadłszy przed innymi rzeki, szczęśliwie przeprawili się na drugą stronę i odświeżywszy się w zimnej wodzie, galopowali dalej, pragnąc znaleźć się w wolnem od dymu powietrzu.

Na szczęście wiatru prawie nie było, czarna chmura nie pełzła więc po ziemi, lecz powoli wznosiła się ku niebu. O trzysta kroków od rzeki, która powstrzymała pożar, powietrze było już na tyle czyste, iż można było oddychać dość swobodnie.

Tutaj spienione konie zatrzymały się same, nogi pod niemi drżały, z nozdrzy wydobywał się świszczący oddech; jeszcze chwila, a biedne stworzenia upadłyby, aby już więcej nie powstać.

— Dzięki Bogu Najwyższemu za nasze ocalenie! — zawołał Orczyk, czyniąc znak krzyża na okopconem czole i drgających od wzruszenia piersiach.

— Chwała Ci, Boże! — zawtórował Skorupa zsiniałemi ustami.

Zsiadłszy z koni, spoglądali osłupiałym wzrokiem na czarną mgłę, okrywającą rzekę, starając się dostrzedz resztę towarzyszów. Kilku z nich, którzy posiadali konie, poszło za ich przykładem; największa atoli część pozostała w wodzie, nie mając dość sił dla przeprawienia się na przeciwległy brzeg.

Chcąc zobaczyć, co się stało z tymi nieszczęśliwymi, Orczyk, odpocząwszy kilka minut, ruszył

z powrotem ku rzece. Chmura dymu po wygaśnięciu pożaru zaczęła powoli ustępować: potworzyły się w niej szerokie luki, przez które już zdaleka widać było poprzewracane na brzegu wózki i konie, miotające się konwulsyjnie w wodzie.

Flisacy przyśpieszali kroku; zanim doszli do rzeki, dym uniósł się w górę i zawisł ciężkim obłokiem nad ich głowami. Teraz można było już widzieć wyraźnie zczerniały step, okopconą trawę nadwodną, wpośród której ciemniało kilka rozciągniętych ciał. Byli to nieszczęśliwi, których pożar uchwycił w swe palące uściski, zanim zdążyli dostać się do rzeki. Pozostali częścią siedzieli na przeciwnym brzegu, nawpół uduszeni, częścią stali po szyję w wodzie, oddychając z trudnością.

— Trzebaby ich powynosić nad ląd, bo sami nie dadzą sobie rady—rzekł Orczyk, spoglądając ze współczuciem na nieszczęśliwych.

— Pewnie, inaczej woda ich zabierze i potoną— dorzucił Skorupa.

I wraz z trzema czy czterema innymi weszli do rzeki.

Zaledwie wszakże oddalili się o kilkanaście kroków od brzegu, gdy wtem Braun, który pozostał na lądzie, wydał okrzyk przestrachu.

— Dzicy! Dzicy! Ratuj się, kto może!

Rzeczywiście kilkanaście czarnych postaci biegło ku nim z wzniesionemi do góry dzidami i maczugami.

— Jezus, Marja! Ratuj! — szepnął Orczyk.

VI.

Potyczka.

Dzicy nie mogli obrać odpowiedniejszej chwili do napadu, biali bowiem, uciekając przed pożarem, stracili całkiem głowę; byli niesłychanie przerażeni, pozbawieni zupełnie sił, a co gorsza, prawie niezdolni do stawiania jakiegokolwiek oporu, gdyż większa ich część porzuciła strzelby, dla ulżenia sobie w biegu. Co prawda, niektórzy mieli jeszcze rewolwery, ale woda mogła zamoczyć naboje.

Nic więc dziwnego, że na okrzyk Brauna mrowie przeszło im po skórze. Wszystkie oczy zwróciły się w kierunku wroga, który, pożarem napędziwszy swych krzywdzicieli w zasadzkę, chciał ich teraz podobijać oszczepem i pałką.

Na widok ludożerców, biegnących z ogłuszającemi okrzykami od strony nietkniętego pożarem brzegu, wędrowcy, nie bacząc na zarzewie, tlejące jeszcze w zwęglonej trawie, zaczęli opuszczać rzekę. Ci, co mieli dość sił, wsiadali na koń, aby uniknąć czemprędzej świstających w powietrzu włóczni i bumerangów *). Inni, osłabieni, zanurzali się pod wodę,

---

*) Bumerang jest to kawał łukowato wygiętego płaskiego drewna, grubego na pół, a szerokiego na 3 cale. Broń ta, wyrzucona poziomo, leci nad ziemią, potem wznosi się w górę, uderza w cel, cofa i powraca sama do miejsca, skąd ją wyrzucono.

ilekroć ujrzeli lecący na siebie jaki pocisk, albo nieruchomie, z osłupiałym wzrokiem, prawie nieprzytomni oczekiwali śmierci, nie myśląc wcale o obronie.

Szmid, zaskoczony znienacka na brzegu, bił się zajadle siekierą z dwoma krajowcami, ale po kilku chwilach padł tuż przy nogach Brauna, nawylot przebity oszczepem. Jeden Niemiec zaraz na początku otrzymał straszne cięcie drewnianą szablą w głowę, tak iż mózg jego, wytrysnąwszy z rozpłatanej czaszki, powalał ubranie stojącemu o kilka kroków obok Orczykowi.

Śmierć dwóch białych rozdmuchała jeszcze bardziej żądzę zemsty dzikich, którzy, rozstawiwszy się w łańcuch na brzegu, razili włóczniami każdego, kto tylko wynurzył się z wody.

Kuba, widząc się otoczonym ze wszystkich stron przez czarne, pomalowane na biało i na czerwono postacie, podobne do djabłów raczej, aniżeli do ludzi, struchlał. Kiedy jeden z ludożerców podniósł szablę drewnianą dla zadania ciosu, Orczyk nie ruszył się nawet z miejsca... Byłby go niezawodnie spotkał los Niemca, gdyby nie strzał rewolwerowy, który huknął nagle w pobliżu.

Dziki, dostawszy kulą w głowę, runął ciężko na ziemię i chrapiąc, tarzał się we krwi. Równocześnie jakaś ręka pochwyciła Kubę za ubranie i uprowadziła go w sąsiednie krzaki.

— Czegóż stoisz, jak głupi? Czy chcesz, żeby cię zabili i zjedli? — krzyknął mu ktoś nad uchem.

Kuba podniósł oczy i poznał poczciwego Brauna.

— Bóg zapłać!—zawołał.

W tej chwili dzicy ze strasznym wrzaskiem znowu rzucili się na nich.

— Do noży, do noży, Kuba! —krzyknął Braun. — Nie damy się przecie zarznąć, jak barany.

Orczyk, odzyskawszy utraconą na chwilę odwagę, sięgnął za pas, wyciągnął długi, myśliwski nóż i skoczył w sam środek ludożerców.

Braun uczynił podobnie, tylko zamiast sztyletu, pochwycił leżącą na ziemi siekierę zabitego Szmida i zaczął nią wywijać straszliwego młynka, gruchocząc dzidy i drewniane miecze, skierowane ku swoim piersiom.

Napotkawszy taki opór, dzicy rozpierzchli się na wszystkie strony. Nie uciekli jednak daleko, lecz zatrzymawszy się opodal, zaczęli rzucać bumerangi.

Zanim Kuba się spostrzegł, niebezpieczna ta broń, warcząc w powietrzu, przeleciała mu tuż około ucha; równocześnie uczuł dość silne uderzenie w szczękę.

Dotknąwszy ręką twarzy, zobaczył krew na swoich palcach; był więc rannym.

— Bodajeś przepadł! —mruknął z gniewem, wyciągając pięść w kierunku dzikiego, który go trafił.

Drugi bumerang, puszczony również zręcznie jak pierwszy, zrzucił Braunowi z głowy kapelusz.

Nasi przyjaciele, widząc, że to nie przelewki, przypadli do ziemi.

— Ach, jaka szkoda, że moja strzelba została przy siodle! —westchnął Braun —byłbym sprawił tęgą łaźnię tym djabłom.

Orczyk, ocierając krew, spływającą mu po szyi, patrzył z niepokojem na rzekę, gdzie dzicy, brodząc po pas, uganiali się za jego bezbronnymi towarzyszami. Woda, zafarbowana w wielu miejscach krwią, świadczyła, że już niejeden przypłacił śmiercią wczorajsze zbytki.

Ranni, szamocząc się, płynęli, porwani bystrym prądem i daremnie wzywali ratunku. Kuba, zaniepokojony, szukał oczami Jana, lecz nigdzie go nie mógł dostrzedz.

Czyżby poległ pod ciosami ludożerców, niosąc pomoc innym, czy też schonił się na przeciwległy brzeg? Na to pytanie Kuba nie potrafił odpowiedzieć.

— Janie, Janie! —krzyknął.—Bywaj!

Powtarzając kilkakrotnie to wezwanie, nadstawił ucha, czy pośród wycia dzikich, jęku rannych i rżenia koni nie dosłyszy głosu Jana.

— Czy Skorupa był w wodzie, kiedy czarni na nas napadli?—zapytał Braun.

— Właśnie obaj weszliśmy wtedy do rzeki, żeby powynosić na brzeg zaczadzonych dymem.

— Hm, to może został zabity—mruknął Józef, potrząsając głową.—No, cóż robią czarni? —dodał— bo ja nic stąd nie widzę.

Orczyk podniósł ostrożnie głowę.

— Przeprawili się na drugą stronę — odparł Orczyk—ale dwóch wciąż na nas czatuje.

— No, to trzeba zmykać, póki nie wrócą i nie zabiorą się do nas na nowo. Gdzie nasze konie?

— Konie? Aha, tam nad rzeką piją wodę.

— Słuchaj, Kuba, zostaniesz tutaj z siekierą, a ja chyłkiem między krzakami spróbuję dostać się do koni i wziąć strzelbę. Gdyby dzicy chcieli mnie gonić, zastąp im drogę, inaczej obaj zginiemy.

Wziął nóż i dał susa w krzaki, zanim czarni zdołali się spostrzedz. Za uciekającym poleciały dwa oszczepy, ale nie dosięgły go. Kuba, z siekierą w garści, oczekiwał, rychło-li dzicy go napadną; był przygotowany walczyć do ostatka.

Krajowcy jednak trzymali się zdaleka. Odetchnął więc głęboko i z biciem serca oczekiwał, co nastąpi.

Nie upłynęło i kilka minut, gdy nagle coś świsnęło ponad głową Orczyka i dał się słyszeć huk wystrzału. Zaraz potem dziki, trzymający bumerang, podskoczył gwałtownie do góry, rozpostarł ręce i upadł plackiem na twarz. Drugi, ujrzawszy, co się święci, odwrócił się nagle i zaczął uciekać. Zaszeleściały krzaki i z gąszczu wysunął się Braun, prowadząc za uzdę dwa konie.

— Bierz swój rewolwer i pal w powietrze! zawołał—zaraz przepłoszymy tych czarnych djabłów. Rozzuchwalili się, myślą, że nie mamy broni palnej, której się bardzo boją.

Nabiwszy na nowo strzelbę, Braun wszedł po kolana w wodę i jednym rzutem oka ogarnął pole bitwy.

W rzece nie było już nikogo; zabici i ranni popłynęli z prądem, dzicy zaś, przeprawiwszy się, gonili po spalonym stepie kilku biedaków, rzucając za nimi bumerangami i oszczepami.

Odległość pomiędzy dzikimi i ściganymi zmniejszała się szybko; jeszcze chwila, a nieszczęśliwi padliby pod ciosami oszczepów, dzieląc los swych towarzyszów pozostałych w rzece. Dwa strzały z dubeltówki Brauna powstrzymały jednak w sam czas zażartych krajowców.

Orczyk, idąc za przykładem swego towarzysza, wypalił sześć razy ze swego dużego rewolweru.

Co prawda, żadna kula nie trafiła, dla zbyt wielkiej odległości; huk licznych strzałów sprawił jednak skutek: dzicy, usłyszawszy go, zaniechali odrazu pogoni, starając się rozpoznać, skąd wypadły pociski.

Ujrzawszy Józefa i Orczyka, stojących z bronią w ręku naprzeciw nich, cofnęli się szybko poza donośność strzałow.

— A co!—zawołał radośnie Józef—ołów im nie smakuje! Gdybyśmy zaraz z początku poczęstowali ich kulkami, nie ośmieliliby się nacierać zblizka.

Braun i Orczyk, pragnąc odebrać dzikim chętkę do powtórnej napaści, dali jeszcze raz ognia w powietrze. Przekonawszy się w końcu, że czarni są już daleko, przeszli rzekę, aby połączyć się z towarzyszami.

Zaraz na brzegu oczy ich uderzył okropny widok: na gorącym popiele leżały dwa zwęglone trupy towarzyszów, których pożar dosięgnął, zanim zdołali schronić się w rzekę.

Opodal zaś leżało kilku zabitych i rannych, którzy padli pod ciosami krajowców.

Z biciem serca poskoczyli ku nieszczęśliwym. Rannych zanieśli zaraz do rzeki i opatrzyli ich na prędce.

Po odwrocie dzikich, spłoszonych strzałami, pozostali przy życiu poszukiwacze złota zgromadzili się pomału. Z trzydziestu dwóch pozostało tylko dwunastu. Oprócz Szmida i Niemca poległo jeszcze trzech, dwóch spaliło się, rannych było czterech, razem z Józefem dwadzieścia cztery osoby.

Brakło Skorupy i jeszcze trzech innych.

Ułożywszy rannych na trawie, Kuba pośpieszył w dół rzeki na poszukiwanie Jana. Zaglądał w krzaki, zapuszczał wzrok w głębię przezroczystej wody, nawoływał jak tylko mógł najgłośniej, wszystko bez skutku.

Kiedy wieczór zaczął zapadać, strapiony Kuba powrócił sam jeden do towarzyszy.

Obojętnie przyjmował ich podziękowania za odpędzenie dzikich, nie wziął nawet do ust pieczonej koniny, którą mu podsunął Braun; myśl o Skorupie odbierała mu ochotę do jadła. Siedział długo w noc przy ogniu, starając się odgadnąć, co się stało z jego towarzyszem.

VII.

Białe mrówki.—Rzeka bez wody.—Kaczka o czterech nogach. — Powódź.

Po doznanej klęsce niepodobna było zaraz puścić się w dalszą drogę do kopalni. Trzeba było wprzód ponaprawiać wozy mocno uszkodzone przez ogień, odszukać potopione w rzece narzędzia i broń, opatrzyć jak najlepiej rannych, pogrzebać poległych towarzyszów...

Roboty te zajęły cały następny dzień i kawał nocy. W końcu jednak przyprowadzono wszystko jako tako do ładu i wyruszono o świcie.

Kuba, zamiast pomagać innym, szukał wciąż Skorupy: zaopatrzywszy się w długi drążek z hakiem na końcu, przebobrował dno rzeki, mając nadzieję, że natrafi choć na ciało przyjaciela; gdzie tam: Jan przepadł bez śladu...

Zmartwiony Kuba musiał wkońcu pogodzić się z myślą, że nieszczęśliwy jego ziomek poległ w potyczce. Zmówił więc pacierz za jego duszę, zatknął nad rzeką krzyż z grubych gałęzi i ocierając łzę smutku, podążył za towarzyszami.

Po doznanej przygodzie wszyscy bardzo podupadli na duchu. Postępowali w milczeniu, rzucając

dokoła lękliwe spojrzenia, jakby oczekiwali lada chwila nowego napadu dzikich.

Na szczęście, krajowcy nie pokazywali się i bez żadnej więc przeszkody podróżowano przez step, który zdawał się ciągnąć bez końca.

Na noc rozłożono się obozem na małej wyniosłości i rozpalono ogień z zabranych umyślnie na ten cel gałązek, aby upiec resztę koniny. Zjadłszy to, wędrowcy pozostali bez żadnych zapasów, bo wóz z żywnością spalił się nad rzeką. Całą nadzieję pokładano w tem, że uda się upolować cokolwiek; inaczej groził wszystkim głód nie na żarty.

Następnego dnia musiano zadowolić się trzema papugami, które Józef zabił w locie. Piękne to były ptaszki; całe białe z żółtem i różowem, a na głowie miały czubki z piórek płomykowatych. Taki skromny obiad podniecił tylko wszystkim apetyt. Klęli więc, na czem świat stoi, czarnych, przez których spaliły się zapasy żywności, i wygrażali, że zabiją każdego napotkanego krajowca.

Gniew nie zdołał jednak zaspokoić głodu. Musiano położyć się spać bez wieczerzy, bo nikomu nie udało się przez cały dzień nic upolować, z wyjątkiem owych papug.

Nie upłynęła godzina, gdy wtem drzemiący smacznie Kuba poczuł nagle dotkliwe ukąszenia po całem ciele; otworzył więc oczy i przestraszony zaczął oglądać ubranie. Przy słabem świetle ogniska dostrzegł mnóstwo jakichś dużych owadów, żwawo uwijających się po nim. Snać sporo ich dostało mu się pod koszulę, bo ukąszenia stawały się coraz częstsze.

— A to co za robactwo!? — zawołał, zrywając się na równe nogi.—Oj, oj, nie wytrzymam!

Wykrzyknikowi Kuby zawtórowały przekleństwa innych; wszyscy czuli kąsanie i opędzali się napastnikom, których wszędzie było pełno.

— Uciekajmy, to białe mrówki!—rzekł Józef— pewnie w pobliżu są ich gniazda! A tośmy trafili!

— Uciekajmy! — powtarzano.

Wszczął się popłoch, każdy chwytał swoje manatki i umykał, jak oparzony. Za chwilę nikogo już nie było u ogniska.

Znalazłszy się w bezpiecznem miejscu, awanturnicy pośpiesznie zdejmowali z siebie odzież, sykając od nieznośnego bólu i zaczęli wytrząsać na trawę ogromne, na cal prawie długie owady, podobne do mrówek.

Kuba, spojrzawszy na swoje ręce, ujrzał na nich krew, ściekającą kroplami z licznych ran, zadanych szczękami strasznych owadów.

— To ci kąsają, szelmy!—mruczał, trąc palącą jak ogień skórę.—Nie wiedziałem, że to takie zjadliwe mrówczyska; toż oneby żywcem zjadły człowieka!

— Żeby tylko człowieka! — odparł mu Józef, wywijając w powietrzu swoją koszulą—one pożerają nietylko mięso, ale nawet drzewo, skóry najtwardsze, wszystko, co spotkają na drodze. U nas na kolonji w przeszłym roku tak stoczyły belki w szopie, że budynek zapadł się, i ani jednego drąga całego nie pozostało. Mrówki te przez jedną noc zja-

dły nam innym razem pięć dużych worków kukurydzy*).

Uwolniwszy się z wielkim trudem od zjadliwych mrówek, wędrowcy położyli się znów spać, ogołociwszy wprzód ziemię z trawy.

Nazajutrz Józef obudził Orczyka, kiedy słońce było już wysoko na niebie.

— Chodź żywo, to ci pokażę gniazda białych mrówek!—zawołał.

— A, mrówek!—odparł Kuba, przypomniawszy sobie nocną przygodę.—Gdzie one są?

Józef zaprowadził go o kilkaset kroków dalej, gdzie stało rzędem pięć czy sześć kopców, podobnych trochę do głów cukru, ale nie tak równych. Każdy z nich miał w obwodzie kilka łokci, a wysokości od 3 do 5-iu łokci, i był urobiony bardzo sztucznie z gliny, piasku i drobniutkich kamyczków.

Były one tak trwale zbudowane, że gdy Kuba, chcąc się przekonać o ich mocy, uderzył z całych sił obuchem siekiery w ścianę mrowiska, ta ani drgnęła. Ostrze ledwie zrobiło znak na jej powierzchni taki, jak na murze z dobrej cegły.

Gdy po chwili wrócili do koczowiska, ażeby osiodłać konie, towarzysze byli już gotowi do drogi.

Szli dalej markotni, upatrując jakiego zwierzęcia, albo choć stado papug, którymby można było posłać kulkę. Ale jak na złość step był pusty i żadnej zwierzyny ani śladu. Tak przewędrowano o pustym żołądku do południa. Kiedy słońce zaczęło bardzo dokuczać, zatrzymano się nad korytem jakiejś

*) Owady, o których mowa, są to termity, czyli białe mrówki. Podobne do nich owady żyją też w Afryce i Ameryce.

rzeki, w której atoli nie było wcale wody; na dnie łożyska rosły krzaki, a nawet jakieś drzewka; w głębszych miejscach widniały małe bagniska, pokryte trzciną i innemi roślinami, lubiącemi wilgoć.

Daremnie wszakże szukano źródełka. Spróbowano wykopać głęboką studzienkę i w niej niebawem zebrało się trochę mętnej, cuchnącej, gorzkawej wody. Cóż było robić? Każdy pił ją, byle ugasić nieznośną gorączkę.

— Dlaczego ta rzeka wyschła?—zagadnął Kuba.

— Ech! u nas w Australji rzadko w której rzece jest woda; teraz była sucha pora roku, niby lato, ale tylko patrzeć, jak deszcze zaczną padać; wtedy wody będziemy mieli aż zanadto. Patrzaj, niebo jakoś zaciąga się chmurami. Dałby Bóg, żeby nas trochę pokropiło; człowiek lżejby oddychał.

Włócząc się po dnie koryta rzeki, natrafili w jednem miejscu na sporą kałużę, zarośniętą trzciną, a w niej spostrzegli jakieś zwierzę, które ukryło się na ich widok.

— Hola! Dawajcie tu strzelbę, będzie obiad!

W jednej chwili urządzono prawdziwą nagankę z kijami i łopatami.

Wytraszone zwierzę wypadło z trzciny, chcąc uciekać, ale wyrzucona silnie łopata trafiła je w biegu i położyła trupem na miejscu. Kuba zbliżył się do zabitego zwierzęcia.

— A to co za licho?—zawołał.

— Kaczka na czterech nogach!

— Ha, ha, ha!—zaśmiał się Józef—to nie żadna kaczka, ale dziobak, taki zwierz cudaczny z ptasim dziobem.

Rzeczywiście, zwierzę miało płaski, szeroki dziób brunatne futerko, o krótkim włosie i błonę pomiędzy palcami u nóg, jak kaczka, albo gęś.

Józef, który miał sposobność już widzieć dziobaki, zapewniał, że te stworzenia znoszą nawet jaja, jak ptaki. Dziobaki kryją się zwykle za dnia po gniazdach, wygrzebanych w ziemi gdzieś nad rzeką, a nocą pływają w wodzie i łapią ryby.

Zadowoleni ze swej zdobyczy, wędrowcy obdarli ją natychmiast ze skóry, upiekli naprędce na rozżarzonych węglach i podzielili mięso pomiędzy siebie. Ponieważ dziobak był niewielki, każdemu więc dostało się po kęsku, zaledwie na przetarcie zębów.

Przeszukano starannie bagienko, ale już nie natrafiono na żadną zwierzynę. Stracono tylko daremnie kawał czasu.

Maszerowano dalej w chłodzie, gdyż duże chmury zasłoniły słońce; w powietrzu zaczynało być ponuro i duszno, zanosiło się widocznie na deszcz.

Jakoż rzeczywiście w dwie godziny potem zaświeciły na niebie czerwone błyskawice, zagrzmiało, trawa położyła się w podmuchach silnego wiatru i spadło kilka ciężkich, dużych kropel deszczu.

— Zmokniemy na nic—rzekł Józef—bo w Australji jak leje, to zawsze jak z cebra.

— Niech tam! na taki upał to nikomu nie zaszkodzi.

Słowa Józefa sprawdziły się w zupełności. Niebawem z ciężkich, czarnych chmur spadły na spaloną ziemię prawdziwe strumienie wody deszczowej. W jednej chwili poszukiwacze złota wyglądali, jakby z rzeki wyciągnięci. Ryk piorunów mieszał się

z ogłuszającym szumem ulewy, wiatr siekł twarze wielkiemi kroplami, błyskawice olśniewały wzrok.

Gromadka, chcąc nie chcąc, zatrzymała się, gdyż niepodobna było iść dalej. Konie, przerażone strasznym hukiem, niepokoiły się. Kuba musiał zleźć na ziemię ze swego wierzchowca i nakryć mu łeb kołdrą. Wszyscy skupili się razem i odwróceni plecami do wiatru, w milczeniu oczekiwali, aż burza minie.

— To mi się nazywa deszcz! — mruczał Józef, udając wesołego—jeżeliby tak choć raz padało u nas w Europie, ludziska myśleliby, że koniec świata.

— Pewnie! — odparł Orczyk—ja już mam wodę po kostki.

—Ech, poczekaj, a naleje ci się przez cholewy.

Rozmowa urwała się, huk gęsto padających piorunów zagłuszał słowa.

Tak minęła dobra godzina; deszcz jednak, zamiast się zmniejszać, stawał się coraz gwałtowniejszy; woda, nie mogąc wsiąkać tak prędko w ziemię, wznosiła się coraz wyżej i sięgała ludziom aż po kolana.

Zaczęto się niepokoić; rzucano co chwilę trwożne spojrzenia w kierunku rzeki. Niektórzy nadstawiali ucha, nadsłuchując czegoś pośród przeciągłych grzmotów.

— Czego oni patrzą?—zagadnął Orczyk, nachylając się do towarzysza.

Niemiec coś odpowiedział, lecz huk piorunu, który trzasnął gdzieś w pobliżu, stłumił głos.

Kuba rzucił więc okiem na step i ujrzał z przerażeniem, iż stoi wpośród ogromnego jeziora, którego brzegów nie było widać.

— Co to jest? Chyba zatrzymaliśmy się w nizkiem miejscu, kiedy woda tak się zebrała pod nami.

Józef przerwał mu, robiąc znaki ręką, żeby słuchał.

— Szumi.

— To chyba deszcz z wiatrem.

Niemiec pokręcił głową.

— Zdaje się, że będzie źle z nami; rzeka przybiera.

— Jaka rzeka?

— A no ta, cośmy w niej zabili dziobaka. Teraz wody w niej nie brak.

Przypuszczenia Niemca musiały być słuszne, bo inni ze strachem spoglądali na wodę, która dochodziła już za kolana i wciąż rosła.

— Na drzewa, na drzewa!—odezwały się głosy.

Na nieszczęście nigdzie nie było widać nietylko drzewa, ale nawet krzaka; z pod powierzchni wody wyzierały źdźbła wysokiej trawy, kołysane wiatrem i falą.

I nagle cała gromadka ruszyła z miejsca, brnąc z trudem w wodzie. Ktoś wskazał dużą czarną plamę, odznaczającą się niewyraźnie na tle nagle powstałego jeziora, i wszyscy skierowali się w tamtą stronę. Było to małe wzniesienie na stepie, którego woda jeszcze nie zalała. Należało czemprędzej się tam dostać. Orczyk i dwaj inni jeźdźcy wysunęli się naprzód, piesi pozostali w tyle za nimi.

Kiedy chmury rozeszły się trochę i deszcz zwolniał, zauważono, że owa czarna plama, do której dążyli, zmniejsza się z każdą chwilą: powódź

zalewała i ją, aż wreszcie pochłonęła zupełnie prawie, pozostawiając zaledwie maleńki wzgórek.

Tymczasem woda rosła w oczach: teraz sięgała ludziom już po piersi. Konie, unoszone przyborem, zaczęły parskać i przebierać nogami, jak gdyby traciły grunt pod sobą. Ludzie, zdjęci nieustannym strachem, natężali wszystkie siły, aby się oprzeć wartkiemu prądowi.

— Prędzej, prędzej! Wziąć się za ręce, bo nie oprzemy się! — wołano.

Utworzono więc długi łańcuch; wyżsi i silniejsi podtrzymywali niższych. Walczono rozpaczliwie z wodą, która stawała się coraz groźniejszą i parła coraz gwałtowniej. Nie można już było wątpić, że to wezbrana nagle rzeka zalała step, jak okiem sięgnął.

— Trzymać się mocno!—powtarzano—już niedaleko!

Wzgórek był odległy o sto kroków zaledwie, cóż jednak z tego, kiedy woda rosła straszliwie szybko. Po chwili mieli ją już po samą szyję. Nagle rozległ się okrzyk przerażenia: łańcuch rozerwał się i silny prąd uniósł ludzi, którzy daremnie usiłowali stanąć na nogi:

— Ratunku, ratunku!

Dwaj, nie umiejący pływać, zanurzyli się w fali i znikli niebawem poza tumanami deszczu. Pozostali, rozbierając silnemi ramionami wodę, starali się dostać wpław do wysepki.

Orczyk po łagodnem kołysaniu się poznał, że i jego koń także począł płynąć w tym samym kierunku.

VIII.

W pośród jadowitych wężów.

Niewątpliwie wędrowcy znaleźliby śmierć w falach wezbranej rzeki, gdyby nie to, że w sąsiedztwie pagórka woda była znacznie płytsza; upłynąwszy więc kilkadziesiąt kroków, poczuli z radością grunt twardy pod nogami i niebawem zaczęli się rozglądać dookoła, szukając oczami uniesionych prądem towarzyszów. Niestety, nigdzie ich nie było widać, pomimo że deszcz przestał padać.

Zmówiono więc krótką modlitwę za dusze topielców i zajęto się własnem, niebardzo wesołem położeniem.

Jakkolwiek bowiem deszcz nie padał, woda jednak podnosiła się ciągle, pokrywała coraz bardziej pagórek; wysepka zmniejszała się z każdą chwilą.

Wysepka ta, a raczej sterczący ponad wodą grzbiet pagórka, liczył nie więcej nad pięćdziesiąt kroków wszerz i sześćdziesiąt wzdłuż; co prawda, wznosił się jeszcze na parę łokci nad wodą, ale któż mógł zaręczyć, co będzie za kilka godzin.

Zmoczeni, smutni, podróżni położyli się pokotem na ziemi i w milczeniu oczekiwali, co nastąpi. Wypogadzające się niebo wlewało otuchę w serca:

każdy miał nadzieję, że przybór ustanie wraz z ulewą i że woda wkrótce opadnie, równie szybko, jak się podniosła.

Kuba, któremu udało się najprzód dotrzeć do zbawczego pagórka, długo nie mógł przyjść do siebie po tem, czego był świadkiem. Ta Australja ze ze swemi olbrzymiemi stepami, z dzikimi ludożercami, z rzekami bezwodnemi, w których żyją czworonogi dziobate, z nagłemi powodziami, przypominającemi potop biblijny, wydawała mu się okropną. I nagle zatęsknił za swoją szarą Wisełką, po której pływał tratwami, za życiem spokojnem, wolnem od trosk i niebezpieczeństw.

I po co on jechał za morze, aż tutaj do tej przeklętej Australji? Zginie w niej marnie, tak jak Skorupa, zanim ujrzy choćby jeden okruch złota. Dobrze mu tak! Dlaczego dał się namówić towarzyszowi? Dlaczego pił, jak bydlę, na statku, i pozwolił się zawieźć pomimowoli?

Tak rozmyślając nad swoim losem, Orczyk patrzył na mętne fale, roztrącające się tuż u jego nóg; zdawało mu się, że ku wysepce płynie jakaś ryba, której na razie nie mógł rozpoznać, ukląknął więc i spojrzał uważniej. Po chwili jednak cofnął się ze wstrętem i zerwał na równe nogi gdyż oczom jego ukazał się duży, czarny wąż. Gadzina, dosięgnąwszy lądu, zaczęła pełzać po trawie; na widok człowieka zatrzymała się, podniosła do góry mały łeb z błyszczącemi oczami, wydając lekkie syczenie.

Pojawienie się niebezpiecznego gościa wznieciło ogólny przestrach; wszyscy usunęli się z drogi ja-

dowitej gadzinie, ażeby uniknąć śmiertelnego ukąszenia.

— Kija, kija!—wołano.—Po łbie go!

Ale gdzie tu szukać kija!? Były tylko trzy łopaty, broń bardzo niedostateczna; i porywać się z nią na gada nikt nie miał najmiejszej ochoty.

Dopiero Józef, pochwyciwszy uratowaną strzelbę, nabił ją szybko śrutem i wypalił o dziesięć kroków w sam łeb wężowi.

— A, szelma! — rzekł, przewracając łopatą gadzinę nieżywą. — Ładnieby wyglądał ten, kogoby dosięgły jego zęby jadowite.

— Za parę godzin jużby było po nim, — odezwał się jeden z wędrowców.

— Skąd on się tu zjawił?—zagadnął ktoś drugi.

— Powódź zaskoczyła go tak, jak nas na stepie, ratował się więc na wysepkę.

— Oho, tam znowu coś płynie! — zawołał Józef. — Zdaje się, że to kangur.

— Kangur, kangur! Będzie pieczeń! Doskonale!

Rzeczywiście, ogromny, rudawy kangur, unoszony prądem, zmierzał prosto do wysepki, i po chwili ciężko wygramolił się na ląd. Był widać zmęczony i przestraszony, bo padł zaraz i nie podniósł się, chociaż dwóch ludzi przyskoczyło doń z siekierami.

Jeden cios pomiędzy oczy, a nieszczęśliwy zwierz nie żył. Wszyscy nie posiadali się z radości, ujrzawszy pożywienie, zesłane im przez Opatrzność w chwili właśnie, kiedy głód zaczynał im grozić.

Cóż, kiedy nie było przy czem upiec zwierzyny!

Czekano więc cierpliwie, póki słońce nie osuszy trawy na wysepce, żeby rozpalić jaki taki ogień.

Nieprędko zdołaliby zaspokoić podniecony apetyt, gdyby fala nie przyniosła im wyrwanego gdzieś daleko z korzeniami drzewa, którego gałęzie dostarczyły opału.

Właśnie wszyscy zabrali się do rozniecania ognia, gdy znowu duży wąż wylądował na wysępkę. Józef zastrzelił go, tak jak pierwszego, ale jego towarzysze zaczęli się niepokoić.

Co będzie jeżeli więcej tych niebezpiecznych gadów zechce szukać przytułku na pagórku?

Na zabijanie ich nie starczy w końcu nabojów. Dla zaoszczędzenia więc w przyszłości prochu i śrutu zaopatrzono się w długie, giętkie gałęzie, gdyż jest to najpewniejsza broń na węże.

Gady niewiele sobie snać robiły z tych przygotowań, gdyż zamiast omijać wysepkę, po dawnemu na nią wylądowywały i to coraz liczniej. W kwadrans potem wylazło ich z wody aż trzech naraz: jeden czarny i dwa żółtawe, małe, ale, jak twierdzili ci, którzy znali się na tem, bardzo jadowite.

Zaledwie jednak ukazały się na brzegu, gdy posypał się na nie grad uderzeń kijami i uśmiercił je na miejscu.

To się na tem nie skończy! — rzekł stary górnik, który został przewódcą po śmierci Szmidta — gady będą się hurmem cisnęły na nas, bo nigdzie indziej nie widać suchego szmata ziemi. Trzeba uważać ciągle i tłuc je, zanim zdążą wyleźć z wody. Ostrożnie tylko, bo o nieszczęście nie trudno.

Usłuchano tej dobrej rady: ośmiu ludzi z tęgiemi gałęziami, ogołoconymi z liści, rozstawiło się w roz-

maitych miejscach nad samą wodą, ażeby bronić wężom wstępu na wysepkę.

Nietylko jednak niebezpieczne gadziny, ale i różne inne stworzenia chroniły się tutaj przez powodzią. Józef, czatujący ciągle ze strzelbą, miałby dużo roboty, gdyby chciał do wszystkiego strzelać. Obeszło się wszakże bez prochu i ołowiu, bo z łatwością zabijano kijami zwierzynę, która sama pod ręce lazła. Najwięcej wylądowywało szczurów, którym darowywano jednak życie. Oprócz szczurów trafiło się pięć małych kangurów, które pomordowano bez litości, dla ich smacznego mięsa. Przypłynął nawet dziki australijski pies, dingo, podobny bardzo do naszego kundla. Biedne zwierzę wydostawszy się na suchy ląd, padło ze znużenia, jak martwe i tak smutnie patrzyło na idącego doń z kijem Kubę, że ten, litością zdjęty, pozostawił je w spokoju.

— Niech tam sobie żyje—mruknął flisak—przecie nikomu krzywdy nie zrobi, a miejsca starczy dla niego i dla nas.

Około szóstej po południu przybór już ustał, Deszcz nie padał, chmury rozproszyły się zupełnie, słońce zaszło wspaniale, znacząc niezmierny ognistozłoty szlak na powierzchni wód gładko stojących.

Kiedy zapadły ciemności, rozpalono cztery wielkie ogniska i skupiono się dokoła nich; pieczone kangury rozlewały w wilgotnem powietrzu woń przyjemną, która podniecała apetyt. Rzucono się więc na świeżutkie mięso; w czyjejś manierce znalazło się trochę wódki, z rozmoczonej na deszczu mąki sporządzono podpłomyki; niczego więc nie brakowało.

Nasyciwszy się, wędrowcy wysuszyli przy ogniu odzież i zamierzali udać się na spoczynek, którego byli bardzo spragnieni.

Czterech ludzi wyznaczono do odpędzania wężów od obozowiska, reszta położyła się spać jak najbliżej ognisk, tworzących wał niedostępny. Noc minęła bez wypadku, dzięki poświęceniu się straży, która od wieczora aż do samego rana toczyła zażarty bój z jadowitemi gadami.

Wschodzące słońce oświetliło swemi promieniami step, z którego woda znacznie ustąpiła. Wyższe miejsca wyjrzały już na powierzchnię, tworząc niezliczoną ilość mniejszych i większych wysp, bezładnie rozrzuconych; powódź minęła równie prędko, jak przyszła.

Na ten widok, okrzyki radości wyrwały się z piersi wędrowców; wszyscy padli na kolana, dziękując Stwórcy za szczęśliwe ocalenie od groźnego niebezpieczeństwa.

Gwiazda dzienna, wzniósłszy się ponad widnokrąg, oblała jasnością cały pagórek i ukazała nagle oczom naszych podróżnych obraz równie straszny, jak wstrętny.

Oto stoki pagórka, od wierzchołka aż do powierzchni wody, były pokryte niezliczonemi splotami wężów: obrzydłe gady, czując przyjemne ciepło słoneczne, leniwie poruszały się i pełzały w pośród trawy w pogoni za szczurami, które daremnie starały się uniknąć szeroko otwartych paszcz z jadowitemi zębami.

Przejęci dreszczem, poszukiwacze złota cofnęli się mimowolnie, aby być jak najdalej od tego zbio-

rowiska wstrętnych istot, obok których musieli noc przepędzić. Teraz dopiero zrozumieli całą grozę swego położenia.

Gdyby nie ogniska, tamujące dostęp żmijom, niejeden z nich padłby ofiarą zabójczych ukąszeń. Byłoby szaleństwem chcieć wypędzić gady; należało tedy opuścić czemprędzej pagórek, aby lekkomyślnie nie narażać życia.

Zabrawszy ocalone z powodzi manatki, podróżni weszli w wodę i brnąc po kolana, puścili się dalej na wschód.

W miarę tego, jak oddalali się od rzeki, woda stawała się coraz płytszą. Przeszedłszy parę staj, natrafili wreszcie na suchy ląd, z którego woda podczas nocy już spłynęła.

Odtąd pochód odbywał się bez przeszkód.

W dziesięć dni po opuszczeniu kolonji, gromadka ujrzała wreszcie tak upragniony cel podróży.

Wzdłuż rzeki, a raczej strumyka, wznosiło się na nagim stepie kilkadziesiąt drewnianych baraków i nieprzeliczona ilość rozrzuconych tu i owdzie płóciennych namiotów.

Były to właśnie nowe kopalnie, o których opowiadano sobie nadzwyczajne rzeczy.

IX.

Niespodziewane spotkanie. — Życie w kopalni. Pogoń za fortuną.

Poszukiwacze złota, z którymi przybył do kopalni Orczyk, utracili w drodze wszystkie swoje narzędzia. Ci, co nie posiadali pieniędzy na zakup nonowych, musieli wynająć się za robotników na cudzem; inni a pomiędzy nimi Braun i Orczyk, zapłaciwszy w urzędzie pewną kwotę za prawo kopania złota, zabrali się niezwłocznie do pracy. Kuba postanowił trzymać się swego nowego przyjaciela. Nabyli więc obaj do współki działek ziemi i zagospodarowali się na nim zaraz nazajutrz po przybyciu.

W kopalni sprzedawano za grube pieniądze miski do płukania złotodajnego piasku, łopaty, kilofy i wiadra do noszenia wody. Na te niezbędne dla górnika narzędzia Orczyk wydał połowę swych funduszów; oprócz tego musiał kupić zapas mąki, kukurydzy i solonego mięsa, co także pochłonęło kawał grosza, bo handlarze zdzierali za wszystko bez litości. Koniec końców zostało mu zaledwie kilka złotych monet, które były obecnie całym jego majątkiem.

— Niech się dzieje co chce! — myślał Kuba z goryczą w duszy—albo stracę ciężko zapracowany grosz, albo znajdę skarb.

Józef, który już w przeszłym roku próbował szczęścia w jakiejś kopalni, nauczył Orczyka, jak się brać do płukania piasku. Podzielono pomiędzy siebie pracę w ten sposób, że Kuba nosił ziemię, którą sam ukopał, towarzyszowi, ten zaś wydobywał z niej okruchy złota. Odbywało się to bardzo prosto: do paru kwart piasku nalewano wody i szybko kręcono miskę, tak żeby wszystko się dobrze zmieszało. Rzecz naturalna, że piasek, jako lżejszy, tańcował w wodzie, a złote ziarneczka, bardzo ciężkie, osiadały na dnie. Kiedy odlano z wierzchu wodę z piaskiem, ukazywały się błyszczące okruchy i blaszki rozmaitych kształtów. Było to właśnie drogocenne złoto.

Kuba spodziewał się, że z każdego garnca przepłukanej ziemi zbierze przynajmniej szczyptę złotych okruchów, lecz doznał niemiłego zawodu, ujrzawszy na dnie miski kilka zaledwie maleńkich ziarneczek, które razem nie ważyły tyle nawet, co ziarnko pszenicy.

— Toż tu prawie nic niema! — zawołał z niechęcią.

— Jakto nic?!—odparł Józef.—Ja ci mówię, że to jeszcze wcale nieźle; gdzieindziej piasek zawiera daleko mniej złota. Nie narzekaj, tylko żwawo bierz się do roboty.

— Cóż my zarobimy?

— Ha, zawsze choć po pół gwinei dziennie. Na początek dobre i to.

— I wszystko wydamy na życie.

— No, no, cierpliwości! Możemy odrazu trafić na gniazdo i zbogacimy się jednego dnia.

— Co to jest gniazdo?

— Tak się nazywa kilka lub kilkanaście większych brył złota, leżących razem, w jednem miejscu.

Te słowa poprawiły humor Orczykowi. Bez szemrania wziął się do roboty; kilofem i łopatą odrzucał na bok wierzchnią warstwę gliny, pod którą leżał piasek, zawierający złoto; dobrawszy się doń, napełniał duży worek i niósł go na plecach do rzeki, gdzie Józef urządził płuczkarnię.

Przez pierwsze kilka dni próbowano ziemi, wziętej z rozmaitych miejsc i z rozmaitej głębokości, aby wynaleźć najbogatszy pokład. Zarobek był więc bardzo skromny i ledwie wystarczył na wyżywienie się.

Po tygodniu natrafiono jednak na warstwę, zawierającą znaczną domieszkę złota. Kuba, grzebiąc kilofem w glinie, znalazł, ku wielkiej swej radości, sporą bryłkę, która ważyła aż 50 gramów.

Józef, obejrzawszy ją, powiedział, że jest warta cztery gwineje.

— No, zdaje mi się, że się nam tutaj powiedzie! — zawołał. — Za ten kawałek złota kupimy sobie porządny przyrząd do płukania, bo z miską robota idzie bardzo wolno. Zgoda?

Kuba zgodził się bez wahania.

Poszli więc niezwłocznie do jednego z baraków, aby czemprędzej załatwić sprawunek.

Było to nad wieczorem; kopacze po całodziennej pracy śpieszyli do szynków, aby pokrzepić swe wy-

czerpane siły lichą wódką. Józef namówił towarzysza na kieliszek, weszli więc oba do jednego z baraków, na którym wielkiemi literami było wypisane: „*Restauracja*“ i zasiedli przy ogólnym stole.

Izbę napełniali szczelnie kopacze złota, najrozmaitszych narodowości; byli tam: Anglicy, Niemcy, Francuzi, Włosi, Hiszpanie, ba, nawet czarni, jak węgiel, Murzyni i żółci Chińczycy z długiemi warkoczami! Wszystko to rozmawiało, krzyczało, śpiewało, kłóciło się, paliło fajki i wypróżniało butelki, roznoszone przez właściciela.

W hałasie tym trudno było słyszeć; Józef musiał aż trzy razy żądać wódki, zanim mu ją podano.

— No, napijmy się na szczęście! — rzekł Kuba, trącając się kieliszkiem. Mamy dobry początek, ale może pójdzie jeszcze lepiej i znajdziemy jutro drugą taką samą bryłkę.

— Cyt, zamknij gębę, głupcze — rzekł Józef — czy chcesz, żeby jaki nicpoń nas podsłuchał?

— To coby było złego?

Niemiec machnął ręką.

— Zaraz znać, żeś nowicjusz — rzekł — nie wiesz, że w kopalniach roi się od zbójów, którzy tylko węszą, kogoby ograbić. Milcz więc, a jak się kto spyta, czy masz zarobek, to powinieneś mu odpowiedzieć, że twój placer *) nic nie wart i że zamyślasz go porzucić.

— Dobrze o tem wiedzieć.

---

*) Tak się nazywa działek ziemi, wydzierżawiony przez górnika w kopalniach.

— Patrzno na tego brodatego draba, który siedzi obok nas i pije właśnie wódkę. Założyłbym się, że słyszał, coś powiedział. No, chodźmy, bo znowu wyrwiesz się z czem niepotrzebnem.

Wstali, zapłacili złotym piaskiem, który w kopalniach zastępuje wszystkim pieniądze i chcieli wyjść, gdy wtem jakiś pijak silnie potrącił Orczyka.

— A bodaj cię nagłości ogarnęły!—zaklął głośno Kuba, odpychając natręta tak, iż ten się potoczył pod ścianę.

— Hola! Kto tam mówi po polsku — odezwał się jakiś głos w pobliżu.

Przez tłum przecisnął się ktoś i położył rękę na ramieniu Orczyka.

Ten odwrócił się spojrzał i roztworzył szeroko oczy ze zdumienia.

— Skorupa!

— Tyś-że to, Kuba?—odparł tamten, chwytając go w objęcia i ściskając.

— Bójże się Boga, człowieku! Więc ty żyjesz?

— Ano, przeciem nie duch i nie powracam z tamtego świata.

— A ja myślałem, że dzicy ludzie zabili cię w rzece!

— Głupstwo! Zemknąłem na drugą stronę, że się za mną kurzyło: włos mi nie spadł z głowy. Potem spotkałem się z dwoma innymi, którym się także udało wczas drapnąć i razem wywędrowaliśmy tutaj. To ja bałem się o ciebie mój Kubo. Teraz dziękuję Bogu, że cię od złego ustrzegł.

Była to prawdziwa niespodzianka: Kuba odzyskiwał przyjaciela oddawna już opłakanego. Opowiedziawszy sobie wzajemnie o doznanych przygodach, wyszli z szynku.

— Gdzie ty robisz? — zagadnął Orczyk.

— Et! Nie mam swojego kawałka, tylko pracujemy wszyscy razem. Niebardzo nam się wiedzie. Te gałgany pewnikiem mnie oszukują.

— Wiesz co? przyłącz się do nas; zapłacisz nam pięć gwinei, to cię przyjmiemy.

— Dlaczego nie?—potwierdził Józef—we trzech będzie raźniej i bezpieczniej.

Jan przystał bez namysłu i natychmiast przeniósł się na placer swych przyjaciół.

Nazajutrz pracowali już razem.

X.

Skarb.—Nocny napad.—Zakończenie.

Ktoby myślał, że Orczyk i Skorupa dorobili się wkrótce majątku, ten byłby w błędzie. Kopanie złota jest tak samo ciężką pracą, jak każda inna, a nie zawsze zyskowniejszą. Z pomiędzy stu górników znajdzie się zaledwie jeden, któremu posłuży szczęście. Inni po paroletniej pogoni za fortuną, tracą zdrowie i w końcu powracają równie ubogimi, jak przybyli. Nasi flisacy wzięli się z początku do pracy z całym zapałem; od świtu do nocy kopali piasek, dźwigali worki, wypłukiwali złoto, stojąc po kolana w wodzie na spiekocie; kładli się z bolącym krzyżem, ze sztywnemi od wysiłku członkami, aby nazajutrz znowu robić to samo.

I cóż? Wypłukane z takim mozołem złoto starczyło zaledwie na opędzenie najważniejszych potrzeb. Chleb bowiem, mięso, mąka i inne artykuły żywności drogie były w kopalni. Biedacy nie tracili wszakże nadziei: spodziewali się ciągle, że natrafią na jaką wielką bryłę, która odrazu ich zbogaci.

Na nieszczęście owa, tak upragniona bryła nie ukazywała się; piasek zawierał tylko drobne okruchy; rzadko bardzo znaleźli jaki większy kawałek.

W ciągłem oczekiwaniu na usmiech szczęścia mijały tygodnie i miesiące. Przeniesiono się w inne miejsce, ale i tam nie szło lepiej. Skorupa, nieprzyzwyczajony do gorącego klimatu i wilgoci, zaczynał postękiwać; Orczyk takoż nie czuł się zupełnie zdrowym. To też zniechęcenie opanowało powoli obu przyjaciół. Niejednokrotnie żałowali swej nierozwagi i postanowili wracać na kolonję, gdzie mieli bez ryzyka dobry zarobek; ale jakaś nadzieja nie pozwalała im opuścić kopalni.

Dochodziły ich często wieści, że ten i ten znalazł gniazdo i w jednej chwili z nędzarza został zamożnym człowiekiem; widzieli nawet na własne oczy tych szczęśliwców.

— Ha, kto wie, może jutro i nam się to samo trafi! — mówili.

I przedłużali swój pobyt w kopalni z dnia na dzień, łudząc się pięknemi nadziejami. Zapominali, niebaczni, o tych wszystkich, którzy straciwszy ostatni grosz, odbierali sobie z rozpaczy życie, o tych, co umierali na febrę, i o innych, którzy padali gdzie w kącie pod kulami niewiadomych rabusiów; pamiętali tylko o wybrańcach losu.

Tak upłynął rok cały. Kuba, Jan i Józef podobni byli raczej do kościotrupów, aniżeli do ludzi; praca wycieńczyła ich do ostatka. Lada dzień śmierć mogła ich pochwycić pośród tych stosów piasku, w którym szukali szczęścia.

Trzeba było raz powziąć postanowienie.

— Słuchaj, Janie—rzekł pewnego razu Kuba— ja powracam na kolonję. Dość mam tych kopalni.

— Jeszcze tydzień zostańmy tutaj—odparl Skorupa.—Jeżeli co znajdziemy, to dobrze; zabierzemy złoto i jazda! A jak nie, to trudno; widać, że nam nie sądzono mieć pieniędzy.

— Dobrze więc, tydzień, pamiętaj!

Dobywając ostatka sił, wzięli się do pracy, wyzywając po raz ostatni szczęście.

Snać los nie chciał, żeby go przeklinano, gdyż w dwa dni po tem postanowieniu uśmiechnął się niespodziewanie biedakom.

Skorupa natrafił na duże gniazdo, w którem leżało kilkanaście większych i mniejszych bryłek złota. Na jego wołanie nadbiegli towarzysze i z biciem serca, drżącemi z radości rękami, wyjęli szlachetny kruszec z piasku.

— Nareszcie! Bogu najwyższemu dzięki!

Biedacy nie wierzyli własnym oczom, patrząc na te żółte kamyki! Tak, to jest złoto, ciężkie, prawdziwe złoto!

Zważono je natychmiast i przekonano się, że wszystkie bryłki razem były warte sto ośmdziesiąt funtów szterlingów, to jest prawie 4000 złotych.

Radość odebrała szczęśliwcom rozsądek: śpiewali, śmiali się, ściskali wzajemnie, krzyczeli, nie bacząc, iż zwracają uwagę sąsiadów.

Długo w noc nie spali, upojeni szczęściem; milcząc, leżeli w namiocie, rozmyślali o przyszłości i dopiero nad ranem sen skleił im powieki.

Zaledwie jednak Orczyk zmrużył oczy, gdy doleciał go jakiś podejrzany szmer; zerwał się i wychylił ostrożnie głowę na zewnątrz.

— Kto idzie? — zapytał.

Zamiast odpowiedzi rozległo się kilka strzałów rewolwerowych, a pięć postaci skoczyło ku namiotowi. Jedna z kul trafiła Kubę w prawą rękę, inne przedziurawiły płótno tuż około jego czaszki.

Napastnicy, przewróciwszy namiot, rzucili się na Skorupę i Józefa. Zawiązała się zacięta walka, Jan pochwyciwszy rewolwer, który miał zawsze pod głową, zaczął palić do złoczyńców; Niemiec bronił się siekierą dwóm drabom, którzy usiłowali go przewrocić; Orczyk, nie posiadając broni, musiał być bezczynnym świadkiem bójki. Nie mogąc nic innego zrobić, podniósł się i pobiegł w kierunku baraków, wołając z całego gardła o ratunek.

Rozpaczliwe jego wołania rozbudziły sąsiadów; kilku górników wyszło z namiotów z rewolwerami w dłoniach i pośpieszyli w stronę, skąd dochodziły krzyki napadniętych.

Kiedy jednak kopacze przybyli na plac walki, nie zastali już napastników. Spłoszeni przez nadchodzących, uciekli, nie zdążywszy dokonać zamierzonego rabunku Kuba, Jan i kilku kopaczy, pozostawiając ciężko rannego Skorupę, przeszukali okoliczne doły, lecz nigdzie nie odnaleźli rabusiów, znikli oni bez śladu.

Napaści tego rodzaju często zdarzały się w kopalni; nie było tygodnia, żeby nie zamordowano i nie okradziono jakiego zbogaconego górnika.

Złoczyńcy musieli snać przewąchać, że flisacy znaleźli znaczniejszą ilość złota i postanowili ich zrabować.

Długo, długo leczył się Skorupa z odniesionej rany. Wyzdrowiawszy nareszcie, oznajmił, iż powraca natychmiast do Europy.

— Milsze mi życie i zdrowie od marnego grosza — rzekł stanowczo.

Orczyk, rzecz prosta, pochwalił zamiar przyjaciela. Niebawem też obaj opuścili kopalnię, pozostawiając w niej Józefa, który ciągle jeszcze miał nadzieję, że znajdzie drugie gniazdo. Po wielu przygodach Skorupa i Orczyk szczęśliwie dostali się do Gdańska, z którego przed piętnastoma miesiącami odpłynęli do Australji.

Dziś są właścicielami kilkunastu morgów gruntu w okolicach Poznania, pracują gorliwie na roli, pożenili się i nie myślą już wcale, żeby zdobyć fortunę łatwym sposobem.

KONIEC.

SPIS RZECZY.